

*Każdy zasługuje na miłość i szansę
na lepsze, bezpieczne życie.*

Agnieszka
LIS

UKRAINKA

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Agnieszka
LIS

UKRAINKA

SKARPA
WAR
SZAW
SKA



Natalie uśmiechnęła się delikatnie. Jej bar znany był w okolicy przede wszystkim z czaru rozta-
czanego przez właścicielkę, choć wyróżniał się także niespotykanym w okolicy jedzeniem. Pielmieni za-
mawiali wielbiciele mięsa, a weganie mogli znaleźć w ofercie kilka rodzajów wareników. Farsze zmie-
niały się w zależności od fantazji właścicielki.

– Kawy? – zaproponowała cicho.

To pytanie Natalie zadawała wiele razy dziennie. Kilkadziesiąt, a może nawet i kilkaset? To było
dobre pytanie, bezpieczne. W ekspresie przecież cały dzień przelewała się kawa. Właścicielka nalewała ją
wywiczonym ruchem, okraszając lurowaty napój swoim uśmiechem.

Czasem potrzebne było coś więcej. Kilka słów, może zdań. Uspokajających, balsamicznych.
Z tego też Natalie słynęła. Właśnie z tego i z pierogów, bo przecież nie przyciągała klientów podła kawa,
typowa amerykańska lura, ani całkiem przeciętne burgery. Jej bar zawsze był pełen gości, bo Natalie po-
trafiła słuchać.

– Ona jest suką – powiedział mężczyzna. Natalie znała go wyłącznie z imienia. Nie miała pojęcia,
kim jest, gdzie pracuje ani co potrafi. Tyle jej wystarczało.

– Oczywiście. A ty jesteś dobrym człowiekiem – powiedziała.

– Właśnie. – Mężczyźni czasami łkali, czasami tylko się zamyślali. Natalie zwykle miękkim ru-
chem dolewała kawy, czasem stawiała przed klientem talerz gorących pielmieni polanych masłem, cza-
sem hamburgera. Dodawała zwykle ogórka z zalewy i trochę sałatki z kukurydzy. To też była jej specjal-
ność.

Może więc więcej było elementów, które składały się na lokalną sławę tego miejsca.

– Tutaj możesz mówić, co chcesz. Chorobę duszy da się niekiedy wyleczyć słowami. Nie zawsze,
ale warto próbować. Jesteś jej wybrankiem, a i ty bardzo ją kochasz. Wolno ci raz po raz o tym zapo-
mnieć, ale tylko na chwilę. Zjedz, odpocznij i wracaj do ukochanej – mówiła czasami.

Innym razem zaś tłumaczyła:

– Jesteś ojcem, choć bywa, że o tym zapominasz. Przypomnisz sobie jednak w odpowiednim mo-
mencie i wtedy wszystko się ułoży.

– Jestem do dupy – mówili niektórzy.

– Nie – odpowiadała wtedy łagodnie. – To życie. Po prostu życie. Potrzebujesz odpocząć? Połóż
się, przykryję cię.

– Skąd wiesz, że cię kocham? – szeptali wtedy mężczyźni, którym zdawało się, że w aureoli zło-
tych włosów pochyła się nad nimi anioł o porcelanowej cerze.

„Bo ja też ciebie kocham, tato” – myślała wtedy Natalie, ale nic nie mówiła.

– Bob, wynocha! – słychać było raz po raz w barze.

Klienci przyzwyczaili się do temperamentnych okrzyków Natalie i chwilowego bałaganu, regular-
nie wprowadzanego przez kilkuletniego chłopca. Zwykle wpadał za nim starszy, o skórze ciemnej niczym
heban. Samuel też krzyczał na kilkulatka, były to jednak raczej głośne przekomarzenia się niż awantury.

– Natalie, zrobisz stek? – pytał czasem jakiś klient, gdy rzadko, ale zdarzało się, że pierogi już się
skończyły, a burgery bywały lepsze gdzie indziej. I wtedy okazywało się, że Natalie ma dar. W kuchni
stawała się artystką. Każde danie, poza hamburgerem, w jej wykonaniu stawało się dziełem sztuki. Przy-
gotowywała więc czasem steki, a czasami coś, co rzadko ktoś zamawiał. Trudna nazwa. Nikt takich nie
potrafił usmażyć. „Syrniczki” mówiła na nie Natalie, w wywieszonym na ścianie menu jednak figurowała
nazwa „pancakes”. Drobnymi literami dopisano „with cheese” i nikt, kto ich nie spróbował, nie potrafił
wyobrazić sobie, co to tak naprawdę oznacza. Puszyste naleśniki z serowego ciasta, czasem z rodzyn-
kami, często posypane sownicie grubą warstwą cukru pudru. To były bardzo szczególnie pancakes.

Więc może to też wyróżniało bar Natalie.

Mało kto jednak potrafił docenić jej kuchnię. To był przecież tylko skromny bar na skraju dziel-
nicy. Bogaci z Buckhead tu nie zaglądali, a biedni... Dla nich zwykle ważniejszy był uśmiech Natalie.
Choć, być może, z czasem się to zmieni? Może zaczną tu zaglądać hipsterscy poszukiwacze kulinarnych
wrażeń? Młodzi ludzie z wypchanymi portfelami rodziców, ubrani w podarte dżinsy za średnią krajową
i przybrudzoną flanelową koszulę w kratę z wyhaftowanym na plecach logo ekskluzywnej marki. Może
będą chcieli spróbować okraszonych anielskim uśmiechem pielmieni, domagając się do nich wegańskiej
śmietany. Być może, kiedyś. W przyszłości.

– Samuel, zostaw Boba i stań za barem. Słyszałam dzwonek, ktoś przyszedł – poprosiła Natalie,
rozdzielając przekomarzających się chłopaków.

Samuel czasami jej pomagał, choć miał swoje sprawy i obowiązki. To Natalie przekonała go, by kontynuował naukę, by nie dał się wessać ulicy i jej stałemu rytmowi nudy, drobnych przestępstw, używek, więzienia. Natalie była dla niego obcą, ale to właśnie jej słuchał.

Może dlatego, że wyglądali jak dzień i noc. Ona biała jak śnieg na pustkowiu Alaski, on czarny niczym heban. Żartowali z tego, czasem ona ubierała się na czarno, on na biało. Czasem odwrotnie. Przekomarzali się i pomagali sobie wzajemnie.

Klienci uwielbiali Natalie. Nie za paskudne hamburgery ani kawę, która w żaden pozytywny sposób nie odróżniała jej baru od dziesiątków innych w Grove Park. Przychodzili tu, by usłyszeć filuterne grzechotanie jej bransoletek, zobaczyć jej delikatny uśmiech i usłyszeć brzmienie rodzinnych przepychanek. Choć czasem głośne, zawsze były pełne miłości.

I właśnie dla tego brzmienia tu się pojawiali.

Wcześniej

ROZDZIAŁ 1

Zuriana zahamowała gwałtownie, zatrzymując auto dosłownie kilka centymetrów od wpatzonego w nią sześciolatka. Nie wyglądał na przestraszonego, jej serce za to biło jak oszalałe.

Mały po prostu sięgnął po piłkę, musiał położyć się na asfalcie, by wyciągnąć ją spod koła samochodu. Złapał zabawkę, uśmiechnął się szeroko i odbiegł.

Kobieta uspokoiła oddech i z wściekłością wysiadła z samochodu. Nawet nie trzasnęła drzwiami, zostawiła je otwarte na oścież. Na samym środku wąskiej ulicy. Energicznie przeszła kilkanaście kroków i z impetem otworzyła moskitierę zaniedbanego drewnianego domu. Drzwi wejściowe pozostały niedomknięte, wystarczyło tylko je pchnąć.

– Louise? Jesteś? Gdzie jesteś, Louise?

Zrobiła kilka kroków, rozglądając się i krzywiąc nos.

– Domyślam się, że tam, gdzie zawsze – powiedziała już do siebie.

Skierowała się na piętro. Schody trzeszczały przy każdym kroku, jakby miały się załamać. Zuriana doskonale wiedziała, w którą stronę spojrzeć. Dużego wyboru zresztą nie miała, były tam zaledwie dwa pokoje i łazienka. Obie sypialnie stały otworem, w jednej z nich na zbarłożonym łóżku leżała w poprzek kobieta w poplamionym szlafroku.

– Znowu piłaś? – Zuriana westchnęła z rezygnacją. – O mało nie potraściłam twojego małego. Samuel lata kompletnie bez nadzoru. Nie możesz tyle pić, do cholery!

Zacisnęła dłonie w pięści i uderzyła nimi o łóżko. Westchnęła bezradnie i szarpnęła Louise. Leżąca jęknęła, wymamrotała coś pomiędzy: „zooo!staw mie” a „i!ć do diaaaaabła”, tyle że, jak zrozumiała Zuriana, w mniej parlamentarny sposób.

Ktoś zaczął trąbić. Zuriana zostawiła Louise i podeszła do okna. Wychyliła się do połowy z zamiarem wykrzyczenia, co o tym myśli, dostrzegła jednak sąsiada wysiadającego właśnie ze swojego auta, równie zdezelowanego jak jej własny. Mark machnął do niej i po kilku chwilach był już na górze.

– Twój samochód w tym miejscu może oznaczać tylko jedno – powiedział do Zuriany.

– Zanieśmy ją do wanny.

Wspólnymi siłami zataszczyli Louise do łazienki i z głuchym łupnięciem wrzucili do wanny. Już pierwsze krople zimnej wody podziały na pijaną kobietę. Podskoczyła niczym królik rażony prądem.

– A teraz wstawaj, ogarnij się i zajmij dzieckiem – powiedziała Zuriana z rezygnacją. – O reszcie pogadamy później, lody mi się roztopią w samochodzie.

Razem z Markiem wyszli z domu w milczeniu. Dopiero na ulicy Zuriana stwierdziła zmartwiona:

– Trzeba z tym w końcu coś zrobić. Dziś o mało nie rozjechałam Samuela. W końcu jej go zabiorą.

– Może tak byłoby dla niego lepiej – skwitował sąsiad.

– Nie grzesz. Z matką dzieciak zawsze ma lepiej.

– Z taką ja ty może i tak – odparował Mark.

– Była świetną matką. Dopiero gdy Abel odszedł...

– Nie może się pozbierać, ale na śmierć nie ma lekarstwa. – Mark pokręcił głową.

– Ale wróci do normy.

– Dzieciak potrzebuje matki tu i teraz.

– A mnie naprawdę rozpułną się lody.

Unieśli dłonie w geście pożegnania i każde ruszyło do swojego domu. W tę samą stronę. Od zawsze mieszkali na tej samej ulicy. Chodzili do tej samej szkoły, robili zakupy w tym samym sklepie. Zresztą, wszyscy się tu znali. Żyli niedaleko centrum Atlanty, a jednak w innym świecie. Miasto na ich oczach zmieniło się w metropolię, centrum największych międzynarodowych korporacji, a oni żyli spokojnym, niezmiennym rytmem. I nie szukali żadnych rewolucji. Tak było dobrze, choć mogłoby być lepiej.

Zuriana podjechała pod własny dom, wyciągnęła torby z zakupami i ustawiła je w kuchni na podłodze. Otarła przedramieniem pot z czoła, była wyczerpana. Tegoroczne upały wszystkim dawały się we znaki.

– Znowu kupiłam za wiele. – Westchnęła, lustrując wypakowaną po brzegi lodówkę. – Choć przyjazd Roberta trzeba uczcić.

Weszła po schodach, skrzypiących tak samo jak w domu Louise. Otworzyła drzwi do łazienki na takim samym dokładnie poddaszu. Większość domów w pobliskich kwartałach wyglądała tak samo.

Staneła naga przed lustrem. Wciąż była piękna. Wysoka niczym modelka, z nogami do samej szyi i długimi czarnymi włosami. Właśnie te włosy były obiektem zazdrości wszystkich koleżanek, potem sąsiadek – nie kręciły się. Zuriana spinała je w gruby kok z tyłu głowy, a w chwilach chandry złościła się na nie. Były ciężkie niczym teatralna kurtyna i gęste jak las wodorostów u wybrzeży Kalifornii. Hebanowa skóra lśniła w przefiltrowanym firanką słońcu. Ani mijające lata, ani ciąża nie zmniejszyły jej proporcji.

– Wenus z Atlanty – mruknęła sarkastycznie.

Nałożyła lekką koszulkę i majtki, po czym zeszła na dół.

– Wielkie gotowanie czas zacząć – powiedziała sama do siebie.

Trzy godziny później siedziała przy kuchennej wyspie zmęczona, ale bardzo z siebie zadowolona. Pięknie pachniały pieczeń i ciasto cytrynowe. W lodówce chłodziła się pasta z suszonych pomidorów, znakomita do tostów. „Jutro jeszcze przygotuję sałatkę, musi być świeża, Robert taką lubi najbardziej” – pomyślała i uśmiechnęła się, jak zawsze na myśl o synu.

Usiadła przed włączonym telewizorem i zwinęła się w kłębek. Prawie zasypiała, gdy usłyszała chrobotanie przy drzwiach. Podskoczyła. Dzielnica uchodziła wprawdzie za niebezpieczną, ale tylko dla obcych. Lokalsi żyli tu ze sobą w symbiozie.

Uniosła głowę i aż podskoczyła z radości, gdy w wejściu zobaczyła wysoką, umięśnioną postać syna.

– Robert! Miałeś przyjechać jutro!

– Spodziewałem się cieplejszego przyjęcia – skomentował ze śmiechem. – Poza tym... hm, jesteś wciąż bardzo atrakcyjną kobietą, mam, jednak...

Zuriana opuściła głowę i spojrzała na swoje nagie nogi.

– Nie spodziewałam się gości – rzuciła, po czym zniknęła w sąsiednim pokoju i po chwili wróciła ubrana. – Na szczęście, co nieco mam już przygotowane – powiedziała, ściskając syna.

– Wydaje mi się, że jestem silny i wysportowany – stwierdził mężczyzna. – A za każdym razem udowadniasz, że ze mnie słabeusz.

– To znaczy? – Zuriana nie kryła zdziwienia.

– Kiedy mnie tak ściskasz na wejściu, nie mam siły się przeciwstawić. – Objął z czułością matkę.

– A co masz przygotowane?

– Kolację, oczywiście – odpowiedziała z powagą.

– Mamo, jadłem już.

– Nie dyskutuj.

– Jakim cudem zachowujesz taką sylwetkę? – Zdziwił się, widząc zawartość lodówki.

– Zdradzę ci sekret – odpowiedziała zadowolona. – To jedzenie jest dla ciebie.

– Tego się właśnie obawiałem. Ale ja jestem jeden...

– Właśnie. Mój jedyny. Nie dyskutuj z matką, myj ręce i siadaj do stołu.

Po posiłku rozsiedli się na kanapie, w tle brzęczał telewizor.

– Na ile masz przepustkę?

– Na tydzień – odparł z powagą, która szybko udzieliła się też Zurianie.

– Skoro na tak długo, to...

Robert pokiwał głową.

– Dostałem rozkaz. Jadę na misję.

Kobieta uniosła rękę do ust.

– Nie wierzę. To niemożliwe. Nie zgadzam się.

– Mamo... – powiedział delikatnie, zupełnie nie jak facet robiący sto pompek na jednej ręce.

– Ten kraj oszalał. Nie zgadzam się na żadne misje.

– Mamo, służę w elitarnej jednostce. W Fort Bragg nie pytają, czy się zgadzasz i czy masz ochotę, tylko czy się nadajesz. I każdy chce się nadawać.

– Kiedy?

– Terminu jeszcze nie znam. Zapewne we wrześniu. Może później, kto wie? Kilka tygodni, dwa miesiące? Nie wiem. Dostanę rozkaz, jadę. Nie zapytasz dokąd?

– Boję się pytać.

– Wojna w Ukrainie...

– Czyli pojedziesz do Polski.

Pokiwał głową. W salonie niewielkiego domu szeregowego na cichej ulicy Atlanty zapadła dzwoniąca w uszach cisza, choć telewizor wciąż wydawał niesłuchane przez nikogo dźwięki.

Zuriana uśmiechnęła się do syna, wstała i powiedziała:

– Pójdę już do sypialni. Ty masz już pościelone w twoim pokoju. Nie zmywaj, ja jutro posprzątam.

Kiedy jednak następnego dnia rano wstała przed szóstą, by zdążyć wszystko ogarnąć przed pracą, kuchnia lśniła, a pokój jej syna był pusty. Przez chwilę pomyślała, że to był tylko zły sen. Nie było tej rozmowy, Robert przyjedzie dopiero dzisiaj, zostanie trzy dni, w czasie których będą wzajemnie się rozpieszczać. Jeść najpyszniejsze jedzenie, zapraszać znajomych, a może nawet pójść do kina.

Na co dzień nie miała z kim chodzić do multipleksu ani z kim porozmawiać. Wizyty syna były dla niej jak słońca rozrzucone po kalendarzu.

W pokoju Roberta dostrzegła jednak torbę, a w szafie kilka ubrań złożonych w kostkę. Uświadomiła sobie, że syn jak zawsze o poranku poszedł biegać. Wracał około siódmej, razem zjadali śniadanie, potem ona wychodziła do pracy, on spotykał się ze znajomymi, czasem odwiedzał salę treningową, w której jako szczeniak uczył się wygrywać z workiem do ćwiczeń. Choć potem porzucił boks na rzecz krav magi. Wieczory zwykle spędzali razem.

Zuriana zeszła do kuchni, przygotowywała sałatkę i czekała na powrót syna, zaciskając wargi w hamowanym gniewie.

„Jestem sama. Sama jak palec” – pomyślała.

– Wszyscy mnie zostawiają! – wykrzyknęła w końcu. Z nożem w ręku usiadła na kanapie i poczuła płynące łzy. – Jeszcze tego mi trzeba. Nie dość, że samotna i porzucona, nikomu niepotrzebna, to jeszcze mazgaj. Bierz się, Zuriano, w garść!

Kiedy Robert wrócił do domu, zastał matkę uśmiechniętą, delikatnie umalowaną i starannie ubraną.

– Moja najpiękniejsza mama na świecie – powiedział z podziwem. – Szybki prysznic i jestem.

– Rozumiem, że nie masz wyjścia. Musisz jechać – zagaiła, gdy już kończyli posiłek.

Kiwnął tylko głową.

– Jestem zła – powiedziała. – Wydawało mi się, że ten kraj znormalniał. Że Wietnam nas czegoś nauczył. I Afganistan. I że ten nasz śpiący Joe w końcu przestanie wymachiwać rewolwerem przed całym światem, zajmie się naszymi problemami, nie tymi, które ma ktoś inny po drugiej stronie globu. Jestem wkurzona.

– Na prezydenta? – Robert próbował załagodzić.

– Każda z tych misji to było, w pewnym sensie, fiasko. Po Wietnamie weterani do dziś stanowią obciążenie dla systemu.

– Tak ich, mamó, postrzegasz? Jako obciążenie dla systemu? To żołnierze. Może bohaterowie, może tchórze, ale robili to, co im kazano!

– I o to właśnie mam pretensje. Nie do nich, tylko do tych, którzy im kazali! Po co się tam pchaliśmy? Zarozumiałe amerykańskie biały!

– Czy ty właśnie okazałaś się rasistką? – Próbował łagodzić sytuację.

– Czarni zwykle nie śpieszą się do wywoływania wojen. Cienimy spokój i bezpieczeństwo.

– Mamó, wszyscy jesteśmy Amerykanami.

– Właśnie. Chcemy naprawiać świat i zbawiać kraje, które wcale tego nie potrzebują. Nie chcą nas i naszej zafajdanej demokracji! Mają swoje systemy, swoje prawa, swoje życie...

– Nie mówisz poważnie, mamó.

– A Afganistan? – Zuri nie ustępowała. – Fiasko kompletne. Pomijając już pieniądze, za które tutaj można by wybudować szkoły i nareszcie naprawić dziury w naszej ulicy. Nic tam nie dziaaliśmy. Tam była dzicz i nic się nie zmieniło. Pomimo naszych nakładów, kosztów, czasu, rozdzielonych rodzin... Ludzie pozostali tacy sami. A teraz ty masz pojechać na drugi koniec świata i nasza rodzina zostanie rozdzielona...

Robert milczał, a ona znów poczuła gorące łzy. Przymknęła powieki i przygryzła wargi.

– Tak naprawdę chodzi mi oczywiście o to, żebyś tam nie jechała.

– Ale pojedę, mamó, bo taki dostałem rozkaz. Poza tym... Polska. Nie uważasz, że to w pewnym sensie znamienne?

– To raczej bez żadnego specjalnego sensu, ale tak, owszem, może i znamienne. Spotkasz tam kilka niedźwiedzi na ulicach, wypijesz morze wódki, bo ona leci tam z kranów, i wrócisz z przekonaniem, że był to czas zmarnowany.

– Może i tak. – Uśmiechnął się. – Będziemy stacjonować w Rzeszowie.

– Jeszcze lepiej. – Wywróciła oczami. – Jakieś fatum czy co? Nawet nie potrafię wymówić poprawnie tej nazwy. – Wzruszyła ramionami.

– To tak jak ja. Nie nauczyłaś mnie – ciągnął prowokacyjnie. – Może dlatego cieszę się, że wła-

śnie tam będziemy stacjonować.

– Cieszysz się na misję? – Zuriana aż się zapowietrzyła.

– Oj, mam. Pyszne to ciasto. A tego jedzenia wystarczy dla całej naszej dywizji. Może kogoś zaprosimy?

– Mark na pewno się ucieszy.

Robert uniósł brwi i sięgnął po kolejny kawałek ciasta.

– Jutro pobiegam dłużej. A co do Marka... Może zadzwonisz po niego?

– Jestem samotna.

– Wiem, mam. Nie mam pretensji.

– Wczoraj o mało nie przejechałam dzieciaka Louise.

– Co zrobiłaś?

– Wybiegł mi praktycznie pod koła. Koło ich domu.

– Był sam?

– Louise spała.

– Znowu pije? – Robert wyraźnie się zafrasował.

– Miała tylko kilka miesięcy przerwy. Martwię się o nią. I o małego.

– Jak on ma na imię? Samuel? – Kiwnęła głową. – Dojdzie kiedyś do nieszczęścia.

– Nie kracz. A teraz lecę do pracy. Bo jeszcze będziesz musiał utrzymywać starą matkę.

– Starych wokół dość, ale rzecz nie dotyczy mojej matki.

Robert został sam w rodzinnym domu. Sprzątnął po śniadaniu i wyszedł na taras. Wrócił do środka i rozejrzał się uważnie, najpierw na dole, a potem ruszył na piętro, jakby przypominał sobie dawne lata. Potem, już w swoim pokoju, w którym zmienił się tylko wystrój ścian – pewnego lata zerwał plakaty zespołów muzycznych, o których dziś już nie pamiętał – przesunął łóżko. Odsunął jedną z desek w podłodze, wyjął stamtąd niewielkie zawiniątko. Nie oglądał zawartości, otrzepał tylko z kurzu i schował do swojej torby. Dopiero wtedy zadzwonił do kumpla ze szkoły. Umówili się na popołudnie.

Kiedy wieczorem wrócił do domu, Zuriana czekała już z kolacją na tarasie. Jakby na zawołanie pojawił się Mark, przyniósł ze sobą zgrzewkę piwa.

– Bo wino jest dla białych burżujów – stwierdził.

Robert się roześmiał. Mark doskonale wiedział, że syn Zuriany nie lubi piwa. I oczywiście było, że z okazji spotkania tego wieczoru się go napije. Odrobinę.

Upał w końcu zelżał, oddychało się łatwiej. Noc uspiła duchotę, obudziła za to cykady. Jedli sałatki, pili piwo, śmiali się, dokładnie tak, jak zwykle robili to przyjaciele. Zapadła już noc, Zuriana pomyślała, że czas zakończyć spotkanie. Następnego dnia też szła do pracy. Nie zdążyła tego jednak powiedzieć.

Przyjemny wieczór przerwał im Samuel. Wpadł do ich domu, nie troszcząc się o pukanie. – Mama! – wykrzyknął zdenerwowany. – Mama! – powtórzył i wybiegł.

Cała trójka przez chwilę patrzyła na siebie skonsternowana, a potem równocześnie zerwali się i skierowali do wyjścia. Pierwszy był Robert, dogonił malca, zgarnął go pewnym ruchem na ręce i razem z nim dobiegł do domu Louise.

Matka Samuela leżała u stóp schodów, wyraźnie poturbowana.

– Mówiłam, żeby nikogo nie wzywał – powiedziała skwaszona. – To tylko noga.

– Otwarte złamanie – stwierdził chłodno Robert. – Plasterkiem tego nie wyleczymy.

Kiedy Zuriana i Mark dotarli na miejsce, Bob był już po rozmowie z pogotowiem.

– Przygotuję ci torbę do szpitala – powiedziała Zuriana.

– Nie chcę iść do szpitala – jęknęła Louise.

Zuriana tylko wzruszyła ramionami i znikła na górze. Po kilku minutach zeszła z torbą w rękę.

– Szczoteczka i pasta do zębów, mydło, ręcznik, koszula nocna, klapki. Co jeszcze? – zapytała rzeczowo.

– Zapakuj mi dodatkową nogę. Tę zapasową. Przyda się. Tylko się nie pomył, prawą.

– Piłaś? – Zuriana nie podchwyciła żartobliwego tonu przyjaciółki.

– Od czasu, jak mnie włożyłaś w ubranie pod zimną wodę, to nie.

– Bo jeśli by stwierdzili, że jesteś pod wpływem, a masz pod opieką dziecko...

– Jestem trzeźwa – odpowiedziała stanowczo Louise. – Choć chętnie bym się napiła. Noga napierdziela mnie tak, że na trzeźwo trudno wytrzymać. A woda ognista łagodzi nawet ból duszy, z girą też by sobie poradziła.

– Całe szczęście.

– Że mnie boli?

Zuriana spojrzała na przyjaciółkę z wyrzutem.

– Po prostu się martwię.

– Zajmiesz się Samuelem?

– Jestem obrażona, że o to pytasz.

Louise podziękowała skinieniem, bo właśnie przyjechała karetka.

– Sam, bądź grzeczny u cioci Zuriany.

– Chcę do ciebie – zapłakał sześciolatek.

– Mama szybko wróci – wtrącił ratownik. – Może nawet i jutro. To tylko złamanie. Skomplikowane, ale tylko złamanie. Nie martw się.

Zuriana zajęła się malcem, Robert z Markiem ustalali z ratownikami wszystkie szczegóły. A gdy odjechali, Robert znów wziął Samuela na ręce i zaniósł tym razem w drugą stronę.

– Jutro pojedziemy do mamy. Osobiście cię tam zawiozę.

– I będziesz mnie tak niósł? – Mały wyraźnie się zainteresował.

– Może nie przez całą drogę. – Robert się zaśmiał. – Jesteś już trochę za duży. Ale trochę tak.

– To dobrze. Bo mama jest za słaba i nie mam nikogo, kto mógłby mnie ponosić.

ROZDZIAŁ 2

Natasza podniosła głowę znad podręcznika.

– Po jakie lichy to robię? Wszystko i tak jest do kitu.

Westchnęła i spojrzała za okno. Nie działa się dokładnie nic. Za oknem dogorywała jesień, teoretycznie złota, w praktyce dżdżysta jak dusza Jokera. Zateśniła za tamtym miejscem, które wciąż nazywała domem, choć przecież mieszkała gdzie indziej już od kilku lat. „Tęsknię za czasami, kiedy było dobrze” – pomyślała.

Usłyszała hałas z drugiego pokoju. Zacisnęła wargi i uniosła oczy.

Zamknęła podręcznik i schowała go do szuflady. Nauczyła się niczego nie zostawiać na wierzchu. W tajemniczy sposób wszystkie przedmioty znikają. Choć trudno jej było sobie wyobrazić, że można sprzedać podręcznik. Albo częściowo zapisany zeszyt.

Choć może słowo „sprzedać” nie jest adekwatne. Bardziej wymienić... A potem Natasza mogła zwracać butelki, jeśli były za kaucją. Rzadko bywały.

Przeszła do pokoju, który kiedyś nazywali salonem. Niegdyś był przytulny. Na skórzanych kanapach można było się wtulić w ciemnofioletowe poduszki, puchaty dywan w kremowe wzory ocieplą wnętrze, dekoracyjnie upięte firany dodawały elegancji... Wszystko wydawało się przemyślane, nawet układ kryształów w serwantce. Tak było, gdy doglądała tego mama.

Teraz...

Ojciec stał nad kanapą, podpierał się ręką i chwiejąc się, spoglądał wokół, jakby pierwszy raz widział to miejsce.

– Dzie jes? – zapytał, nie kłopotząc się o dykcję.

– Siadaj, tato – powiedziała. Jeszcze się nie bała, to nie ten etap. Wszystkie nerwy miała jednak napięte, sytuacja mogła zmienić się w każdej chwili. – Nie ma. Usiądź tutaj.

Posadziła ojca na kanapie. Uniosła mu obie stopy, ułożyła bezwładne ciało na boku. Zawsze w takiej sytuacji zastanawiała się, jak to jest możliwe, że ciało nieprzytomnego człowieka jest aż tak ciężkie. Z roku na rok radziła sobie jednak coraz lepiej. Ojciec stawał się coraz drobniejszy czy może to ona nabierała wprawę?

W takich chwilach zastanawiała się, czy nie powinien tego robić któryś z braci. Ich jednak tutaj nie było.

Kręcąc głową, nakryła mężczyznę kocem. Przypomniała sobie, że kiedyś ten pled był czysty. Jeszcze rok temu regularnie go prała. Z czasem przestało jej się chcieć.

Weszła do łazienki, przebrała się. Nie miała ochoty nigdzie wychodzić, jednak... Tego nauczyło ją doświadczenie. Powinna być gotowa do wyjścia, na wszelki wypadek. Czasami musiała wyjść natychmiast, choć może słowo: „uciec” byłoby bardziej adekwatne. A lepiej nie robić tego w piżamie. Przebrawszy się, wróciła do swojego pokoju, wyciągnęła podręcznik i notatnik. Przez pół godziny uczyła się kolejnych słówek. A potem znów usłyszała hałas. Wyrzała ostrożnie za drzwi, po czym bez namysłu chwyciła torebkę i po cichu wyslizgnęła się z domu za plecami ojca, który właśnie przeszukiwał serwantkę. Nie było w niej żadnego alkoholu, nigdy go tam nie było, a jednak za każdym razem szukał. A gdy zaczynał, Natasza wiedziała, że musi natychmiast wyjść z domu. Inaczej nie będzie w stanie tego zrobić przez kilka najbliższych dni.

Usiadła na przystanku autobusowym, ławka była zimna.

„Powinnam już wyciągnąć z szafy zimową kurtkę” – pomyślała. Wstała i spacerowała nerwowo po chodniku, z nadzieją, że ojciec nie pozbiera się wystarczająco szybko, by przyholować swoje deliryczne zwłoki na przystanek.

Tym razem zdążyła wsiąść bezpiecznie. Już w autobusie sięgnęła do torby i uświadomiła sobie, że zostawiła podręcznik na biurku.

Może ojciec go nie sprzeda. Może nie wymieni. Książka jest stara i bardzo zużyta. Ale na pewno podrze, chociażby ze złości.

Natasza miała przed sobą dwa rozwiązania. Mogła pojechać do Rzeszowa i spacerować po mieście albo pojechać do przyjaciółki. Pierwsza opcja byłaby miła miesiąc wcześniej. Wrzesień rozpieszczał temperaturą, nawet późnym wieczorem nagrzanym słońcem mury oddawały ciepło. Teraz jednak było po prostu zimno. I mżyło. Spacer więc przedstawiał się mało interesująco.

Ostatecznie obie wersje sprowadzały się do tego samego. Po pierwsze, Rzeszów. Po drugie, krótki spacer. Po trzecie, Karolina.

Natasza zawsze mogła na nią liczyć. Dostała od niej więcej, niż się spodziewała. Więcej niż...
Wolała tego nie roztrząsać.

Dziewczyny poznały się w szkole policealnej. Natasza przyjechała do Polski z rodzicami kilka lat wcześniej ze wzorowym świadectwem maturalnym. Była najlepsza w klasie, wróżono jej wielką przyszłość... Nikt nie wiedział, bo nie zamierzała o tym opowiadać, że mama chorowała. Rzadki rodzaj nowotworu oka, którego lekarze we Lwowie nie potrafili wyleczyć. Inaczej miało być w Rzeszowie. Specjaliści podobno mieli doświadczenie, dostęp do leków...

Ciągle dojeżdżanie do kliniki ze Lwowa było za drogie. Terapia wymagała wielotygodniowych pobyków na miejscu, wynajmu mieszkania, utrzymania, płacenia za bieżące wydatki... Rodzina jednogłośnie zdecydowała o przeprowadzce do Polski. Sprzedali pięciopokojowe mieszkanie w dobrej dzielnicy i kupili niewielkie gospodarstwo w Nowej Wsi pod Rzeszowem. Ziemi było niewiele, a dom, mniejszy niż ich lwowskie mieszkanie, wymagał remontu.

Nikt jednak tego remontu nie planował, pieniądze były potrzebne na co innego. Leczenie było najważniejsze. Bywało ciężko, ale codzienność rozświetlała nadzieja. Miało być dobrze. Musiało tak być.

Kiedy mama miała dobre dni, sprzątała. Ustawiała kryształki i polerowała szyby w serwantce. Uszyła firanki i upięła je w misterne konstrukcje. A kiedy nastały dni słabsze, po prostu leżała. Wtedy Natasza robiła wszystko, by dom funkcjonował bez zmian. Sprzątała i gotowała obiady, same ulubione dania ojca i dwóch braci. Mamie przygotowywała smakołyki, choć chora jadła mało, coraz mniej. Uśmiechała się, ale Natasza miała wrażenie, że matka zapada się w sobie.

Aż w końcu dotarło do nich, że wszystkie te wysiłki są bezcelowe. Mama nie wyzdrowieje. Natasza uświadomiła to sobie pewnego słonecznego, wiosennego dnia. Wszystko wokół kwitło. W sąsiednim sadzie pachniały jabłonie. U sąsiadki przed domem czerwienił się łąn tulipanów, zamiast trawnika był tam również dywan cudownie żółtych, cieszących oczy mleczy. Ptaki szalały, owady napełniały powietrze swoją obecnością. Było pięknie. Natasza musiała wypowiedzieć te słowa kilkakrotnie na głos, by zrozumieć, co tak naprawdę znaczą. By w końcu w to uwierzyć.

Tego dnia weszła do domu, usiadła przy stole i rozejrzała się po skromnym wnętrzu, jakby widziała je pierwszy raz. Albo ostatni. Właśnie wtedy zrozumiała, że nic już nie będzie jak dawniej. Tego popołudnia zrozumiała też, że nie złoży papierów na żadne studia. Miała to zrobić właśnie teraz, za kilka tygodni, tak zakładał plan. Zgodnie z nim po roku leczenia mama miała wyzdrowieć, Natasza pójść na studia, a w domu rozpocząć się remont.

Mama leżała w szpitalu. Ojciec i bracia przyjechali wieczorem, wszyscy pracowali na jednej budowie. Kiedy wrócili, posiłku nie było na stole. Dom pozostawał cichy i ciemny, jakby nikogo w nim nie było, choć była Natasza. Cały czas siedziała przy stole.

– Co ty? Daj jeść! – zażądał ojciec, gdy zorientował się, że córka siedzi w kuchni. Odwróciła wzrok w jego stronę.

– Mama nie wróci – stwierdziła spokojnie.

– A ty co? – zareagował Oleg, starszy brat.

– Głupot nie gadaj – dodał drugi, Jurij.

Natasza nie odpowiedziała. Podniosła się ciężko i przeszła do swojego pokoju. Znacznie mniejszego od tego, który zajmowała we Lwowie. Położyła się na wąskim łóżku i leżała tak przez całą noc, nie reagując na żadne wołania.

– Jesteś czarownicą – oznajmił ojciec kilka dni później, gdy i do niego dotarło, że żona nie wróci już do domu. – Wykrakałaś!

Natasza nawet nie odpowiedziała. Ten czas przetrwała jak w malignie. Nie pamiętała żadnych szczegółów, jedynie powidoki. Jakieś mgliste obrazy, niewyraźne sylwetki poruszające się beładnie na obrzeżach jej świadomości. Przytłumione dźwięki, żadnych konkretów.

Od dnia pogrzebu zmieniło się wszystko.

Sama nie pamiętała, jak to się stało, że złożyła dokumenty do szkoły policealnej. Wybrała gastronomię, w końcu wszyscy muszą jeść, to dobry zawód. A ona lubiła gotować, nie zastanawiała się więc długo. Bo jakie to właściwie miało znaczenie?

Matka nie żyła.

W korytarzu szkolnym po raz pierwszy spotkała Karolinę. Nadepnęła jej na stopę, nieostrożnie cofając się dwa kroki od tablicy ogłoszeń. Sprawdziała wyniki rekrutacji. Karolina syknęła i uśmiechnęła się jednocześnie.

– Będziemy chyba na jednym roku – powiedziała pogodnie do Nataszy.

I od tego dnia stały się nierozłączne. Jedna jasna jak pszeniczny łąn, niebieskooka jak morska

woda rozświetlona nisko padającymi promieniami słońca i o niemal przezroczystej skórze prześwietlonej błękitnymi żyłkami. Druga ciemnowłosa, o piwnych oczach pełnych bursztynowych blasków i cerze muśniętej słońcem.

Karolina była zawsze roześmiana, łatwo nawiązywała kontakty, znała wszystkich i lubili ją wszyscy. Nie lubiła za to się uczyć, uważając ślęczenie nad podręcznikami za niepotrzebną stratę czasu. Zajęcia praktyczne, owszem, postrzegała jako życiowo przydatne, ale teorię traktowała jak zbędny balast. Natasza wręcz przeciwnie. Z powagą podchodziła do każdej pracy domowej, czytała tekst w podręczniku i odrabiała – nawet jeśli nie były zadane – wszystkie ćwiczenia pod tematem. Od czasu do czasu pisała nawet prace domowe dla Karoliny, które ta musiała jedynie przepisać, choć i na to czasem brakowało jej czasu.

Karolina mieszkała dwie przecznice od szkoły, zwykle więc po zajęciach trafiały do niej do domu i w pokoju z tapetą w różowe kwiatki spędzały całe popołudnia. Rzeszowianka wprowadziła Nataszę w towarzystwo, sprawiając, że jej pochodzenie, język z lekkim zaśpiewem i znak krzyża wykonywany w drugą stronę nie miały żadnego znaczenia. Natasza sprawiła, że Karolina bez problemu zaliczyła wszystkie semestry, a nawet skończyła szkołę ze średnią powyżej cztery.

Jednym słowem – dziewczyny stały się nierozłączne.

Już po kilku tygodniach Natasza została po raz pierwszy na noc u Karoliny, a wkrótce to miejsce stało się jej drugim domem.

I właśnie tam planowała pójść teraz Natasza, choć wcześniej musiała się przespacerować. Karolina i tak będzie wiedziała, co się stało.

Kiedy dotarła do przyjaciółki, bez żadnych zbędnych pytań na stole pojawiły się dwa talerze, a potem czysta pościel.

Natasza sądziła, że będzie kiepskim towarzystwem. „Mam dość – myślała – Polski, braku perspektyw, pijanego ojca, braci, którzy wypięli się na nasze życie”.

A jednak Karolina potrafiła tak wpłynąć na Nataszę, że już po półgodzinie siedziały przed telewizorem i zaśmiewały się z nowych skeczów ulubionego kabaretu Karoliny.

Dopiero późnym wieczorem, kiedy już leżały w łóżkach, Natasza stwierdziła poważnie:

– Muszę w końcu coś zrobić ze swoim życiem.

– Ale po co? – Karolina szczerze się zdziwiła. – Lepiej nic nie rób. Jesteś młoda, mądra i piękna.

Nie zmieniaj tego!

– Nie mam pracy, mam za to ojca alkoholika, dom w ruinie i żadnych perspektyw na przyszłość.

– Przyszłość, moja droga, stoi przed tobą otworem.

– Raczej leży i kwiczy.

– Przestań. Nie bądź głupia. Skończyliśmy szkołę. Znajdziemy pracę. I ty, i ja. W pizzerii na sąsiednim osiedlu szukają kelnerki.

– Jednej.

– Na okrągło żadna z nas tam robić nie będzie, zmienniczka jest potrzebna. Życie jest tu i teraz.

– Mówisz?

– Wiem. Nie wątp. Jeszcze będzie najpiękniej.

ROZDZIAŁ 3

Z upływem lat Natasza martwiła się bardziej niż bardzo. Przejmowała się oczywiście ojcem, ale przede wszystkim żywiła żal do braci. Gdy tata wpadał w szal, a zdarzało się to coraz częściej, nie miała na kogo liczyć. Wtedy po prostu uciekała do Karoliny.

Martwiła się też o dom, choć w wymiarze materialnym to przecież wyłącznie rzeczy. Podupadało miejsce, a ono oznaczało wspomnienia. Pamięć matki. Świadcstwo ich ostatnich miesięcy rodzinnego szczęścia. Patrzyła na to z żalem, chciała widzieć czyste firanki i kompletne wyposażenie. Ojciec wyprzedawał wszystkie cenne przedmioty, nawet jedzenie pojawiało się w domu tylko takie, które nie wymagało lodówki. Natasza cieszyła się, że wciąż jest prąd, choć wodę czerpała z podwórzowej studni. Co prawda, wody w domu jeszcze nie odłączyli, ale wołała nie nabijać rachunków.

Przez ostatnie kilka miesięcy pracowała w barze. Była kimś pomiędzy barmanką a kelnerką, a i w kuchni czasami urzędowała. Radziła sobie. Lubiła wszystko, co związane z kulinariami. Szef ją cenił, klienci lubili i wszystko wydawało się wspaniałe, choć pensja nie powalała wysokością.

W trakcie pandemii Natasza gotowała pierogi na wynos, opiekowała się dziećmi sąsiadów, którzy pracując zdalnie, nie ogarniali internetowych lekcji, prac domowych w coraz to innych programach, nie mieli też czasu na rozmowy z odizolowanymi od rówieśników pociechami. Zajmowała się też drobnymi poprawkami krawieckimi, choć tych było jak na lekarstwo. Ludzie nie wychodzili z domów, nie potrzebowali porządnych ubrań. Wystarczały wygodne dresy.

Zakończenie życia w rzeczywistości wirtualnej dla wszystkich miało być oddechem, powrotem do normalności. Natasza krótko się nim cieszyła. Bar, choć wkładała w niego wszystkie swoje siły i całe możliwe zaangażowanie, zbankrutował. A może tylko właściciel uznał, że już mu się nie chce. Pokonał go polski marazm, podatki, pogoda... albo miraż lepszego życia. „Gdzieś” zawsze wydaje się lepsze niż „tutaj”.

Właściciel więc pożegnał się ciepło z Nataszą, dał jej niewielką odprawę, głównie wyrażoną w wyposażeniu baru (szklanki i talerze w jej domu znikwały regularnie, wyprzedawane przez ojca, więc każdy element zastawy się przydawał), zamknął bar i wyjechał na rubieżę Europy. On twierdził, że do wielkiego świata, ale kto go tam wie. Dla Nataszy nie miało to żadnego znaczenia.

Szybko znalazła zatrudnienie w kolejnym barze. Tam klienci lubili ją równie mocno, niestety, właściciel również upodobał sobie jej osobę. Nie przeszkadzał mu w tym solidny brzuch, dwadzieścia lat różnicy, żona i trójka dorastających dzieci. Natasza była jego pracownicą, cała więc miała być jego.

Nie popracowała tam długo. Tułała się od baru do baru, zahaczając po drodze o jedną restaurację, w której robiła za pomoc kuchenną. Ręce jej puchły od gorącej wody, bo chociaż zmywarki były oczywiście na stanie, to jednak używane od wielkiego dzwonu, głównie na wieść o kontroli z Sanepidu. Na co dzień właściciel uważał, że sprzęt jest zbyt drogi, by go „tak szybko” zużywać. Dodatkowo Nataszy nie cierpiała kucharka, zapuszczona kobieta w średnim wieku, z tuszą godną zapaśniczki sumo i fryzurą *à la nora lisa* pod spróchniałym drzewem. Kobieta uważała, skądinąd słusznie, że nie tylko młodsza, ale także obrotna i chętna do pracy dziewczyna stanowi dla niej konkurencję, a po co miałyby się wysilać. Poza tym „patriotycznie” wołała Polki, najlepiej córki znajomych. Mogły być po szkole gastronomicznej, dla czego nie, byle nie umiały za wiele. Miały jej przede wszystkim słuchać we wszystkim. To było w oczach kucharki bezcenne.

Po każdej utracie pracy Natasza leczyła poobijaną duszę u Karoliny. Piły razem napar z lipy, oglądały wciąż te same kabarety, czasem tylko włączając do repertuaru coś nowego.

Powodów do zmartwień Nataszy zatem nie brakowało. Teraz jednak ogarnął ją strach. Wojna. Wojna w Ukrainie.

Oczywiście, nie mieszkała tam już. Prawdopodobieństwo, że na nią i jej mizerny polski dom spadną bomby, było niewielkie. We Lwowie jednak zostali przyjaciele. Ciotki, wujowie, kuzynostwo. Jej rodzina nie miała już tam własnego mieszkania, ale było tam tyle miejsc, w których wciąż mogła się zatrzymać! I za którymi tęskniła. I przyjaciółki... Wprawdzie żadna z jej szkolnych znajomości nie mogła się równać z tym, co udało im się stworzyć razem z Karoliną, bo brak codziennych kontaktów zrujnował relacje, które wydawały się na całe życie, jednak... Przecież nie zapomniała. Wiera, Olena, Maria... Razem stawiały pierwsze litery, opowiadały o pierwszych pocałunkach, przeżywały nastoletnie miłości. No i chłopcy... Może dziś bawiło Nataszę wspomnienie ówczesnych westchnień i śmieszły fryzury na zdjęciach. A jednak wszystko to było jej drogą.

Tymczasem... wojna.

Do tego po raz kolejny straciła pracę i jedyne, na co miała ochotę, to zaszyć się w łóżku, najlepiej z książką, i pić gorącą herbatę z sokiem malinowym, taką, jaką niegdyś robiła jej mama.

Co z tego jednak, skoro ojciec właśnie wpadł w swój cotygodniowy szał. Kiedyś ciągi miewał od czasu do czasu, teraz – nie było tygodnia, by nie pokazał, na co go stać. „Ot, żal za zmarłą żoną” – mawiali ludzie wokół. „Każdy ma swój sposób na żałobę” – dopowiadali inni. „Tak bardzo ją kochał, musi odreagować”. Prób tłumaczenia było wiele.

Czas jednak mijał, a pijaństwo się pogłębiało. Ostatnio ojciec już w ogóle nie trzeźwiał i rękę miał coraz cięższą. Nataszy zwykle udawało się uciec, tylko kilka razy ją sprął, na tyle jednak solidnie, że zaliczyła i siniaki, i rozcięty łuk brwiowy.

Przyjaciółka Nataszy od kilku miesięcy mieszkała sama. Rodzice kupili jej niewielkie, dwupokojowe mieszkanie w starej kamienicy. Odremontowali, część prac wykonując własnoręcznie lub rękami znajomych i sąsiadów. Po polsku, żeby było taniej. Wyszło jednak ładnie. Przytulne ściany w kolorze budynku waniliowego, w kilku miejscach tapety, jasne dywany, sporo zieleni. Kuchnia z pomarańczowymi szafkami, nowa łazienka.

Karolina tak zaplanowała mieszkanie, żeby w drugim pokoju mogła mieszkać Natasza. Nie mówiła tego głośno, ale dla wszystkich było to oczywiste. Pokój nazwała pracownią, postawiła tam biurko, jednak najważniejszy był wygodny tapczan.

Tego dnia rodzice Karoliny mieli przyjść na obiad, dziewczyny siedziały więc w kuchni, gdzie Natasza przygotowywała obiad. Kiedyś robiła to często, trochę w formie podziękowania, a może nawet i zapłaty za ratunek, jaki znajdowała pod dachem przyjaciółki, teraz też chciała pomóc dziewczynie w odpowiednim podjęciu gości.

– A ty wiesz, że przyjedzie jeszcze więcej Amerykanów? – rzuciła Karolina.

– Amerykanie nic nie pomogą na mój brak pracy – odpowiedziała ze smutkiem Natasza.

– Nieprawda. Skoro tu są, to muszą żyć. Na razie jest ich niewielu, ale gdy przyjedzie więcej... Muszą wyjść na miasto, sprowadzą rodziny. Po ulicach będą chodziły ich żony. Zaczną wybierać ciuchy i kupować nasze jedzenie, bo im samym robić się nie chce. Podobno Amerykanki są strasznie leniwe i nie potrafią gotować. Będą więc potrzebne nasze bary. Restauracje. Sklepy. Fryzjerzy. Szkoły. Wszystko.

– Brzmi pięknie. – Natasza wzruszyła ramionami. – Chyba jednak za wielkie pokładasz w nich nadzieje. Otworzą przed nami krainę mlekiem i miodem płynącą? Będą dbali o siebie. O swój interes i własne sprawy. Nie wierzę w mężów opatrnościowych dla podrzeszowskiej biedoty.

– Nie jesteśmy żadną biedotą! – Karolina się uniosła, patrząc z wyrzutem na przyjaciółkę.

– Może ty...

– Żadna z nas!

– Masz kochającą rodzinę i spokojny dach nad głową. Ja korzystam z twojego, bo w moim szaleje ojciec, który wyprzedaje wszystkie możliwe sprzęty. Zostałam z tym sama i bez pracy. Obydwaj bracia mają to gdzieś. Oleg robi karierę sprzątacza w Londynie, a Jurij pracuje na okolicznych budowach i spotyka się ze mną wyłącznie na cmentarzu w sobotę dymitriewską. Chcesz dodać coś jeszcze?

– Jesteś mądra i pracowita. Dojdiesz tam, dokąd będziesz chciała, bez względu na przeciwności. Biedni to są ci, którzy nie mają marzeń. A teraz chodź na kawę z pianką. W amerykańskiej sieciówce.

Natasza wzruszyła ramionami.

– Nie stać mnie na pianki. Straciłam pracę, jeśli jeszcze nie dotarło. Poza tym niedługo przyjdą twoi rodzice i trzeba ich należycie ugościć.

– Nie marudź, tylko słuchaj uważnie. I nie rób mi tu żadnych głupich min. Wiem, co mówię o tych Amerykanach. To już pewne. Przylatują w przyszłym miesiącu. I zaczynają organizować wszystko, czego potrzebują. Między innymi kantinę.

– Chcesz powiedzieć, że szukają pracowników do kuchni?

– Popatrz, jaka ty jesteś domyślna. Znaczą się, mądra. Mówiłam? Daleko zajdziesz.

– Gdzie trzeba się zgłosić?

– Już nigdzie. – Karolina wzruszyła ramionami.

– To czemu mi robisz nadzieję, skoro wszystkie miejsca już zajęte? – Natasza spojrzała na przyjaciółkę, zaciskając wargi.

– Taka mądra, a głupia jak but – skwitowała z westchnieniem Karolina.

– To się w końcu zdecyduj – burknęła Natasza.

– Nigdzie się nie będziesz zgłaszać, ja już cię wpisałam na listę. Jutro masz spotkanie. Weź ze sobą koniecznie papiery ze szkoły i co tam jeszcze uważasz. Może referencje z tych poprzednich barów.

O dziesiątej piętnaście w Arenie.

– Mówisz o tym centrum wystawienniczo-kongresowym?

– To już dawno jest siedziba Amerykanów. Niedługo będą ją zmieniać, gdzieś się przenosić, nie mam pojęcia gdzie. Co to jednak za różnica? Skoro będą płacić? A za pianki ja zapłacę. Za kawę też. Z obiadem zdążysz jeszcze piętnaście razy. Zakładaj więc kapotę i maszerujemy.

Poszło zaskakująco dobrze. Właściwie to w ogóle nie była rozmowa. Natasza weszła do niewielkiego pomieszczenia, przed drzwiami którego stało w kolejce jeszcze kilka osób, gdy za biurkiem zobaczyła jednego ze swoich byłych szefów. Ucieszył się na jej widok i powiedział:

– Wreszcie ktoś, kto się zna trochę na robocie, a nie kolejna pinda, która będzie się snuć po okolicy w poszukiwaniu amerykańskiego męża. Zaczynasz w przyszłym tygodniu, może być?

Mogło być, zdecydowanie, tym bardziej że Natasza poznała lokalizację. Amerykańska baza powstawała w pobliżu lotniska w Jesionce, mogła tam dojść z domu piechotą w dwadzieścia minut. Po prostu sąsiednia wiocha.

Zaraz po rekrutacji zadzwoniła do Karoliny.

– Widzisz, mówiłam ci. Nic nie dzieje się przez przypadek. Każdy bar, każda szklanka, którą wytarłaś, a nawet i umyty garnek teraz zaprocentują. Jesteś wielka!

– Nie przesadzaj, to tylko...

– I bardzo skromna – przerwała przyjaciółce Karolina. – Wpadnij do mnie, opijemy sukces herbatką lipową.

– Nie mogę. Obiecałam ojcu...

– Komu?

– Muszę ogarnąć chałupę. Tam już śmierdzi. I nie, nie dlatego, że obiecałam ojcu. To tylko wykręt. Chcę to zrobić dla siebie. Lubię spoglądać na świat przez czyste szyby. I chodzić po czystej podłodze, nawet jeśli wszystkie dywany zostały już wymienione na wódkę. Więc jadę do domu.

– Spoko – zgodziła się potulnie Karolina. – Za to jutro idziemy na imprezę do Haliny, pamiętasz?

Prawdę mówiąc, Natasza nie pamiętała, być może dlatego, że wcale nie chciała. Nie lubiła Haliny, koleżanki, która była razem z nimi na roku. Niezbyt lotna, choć nadrabiająca pracowitością, wciąż dukała Nataszy – a to że nie tak odmieniła końcówkę, a to że inaczej wypowiedziała jakieś słowo. Poza tym Halina miała wybitnie nonszalancki stosunek do przedmiotów, także ubrań i butów – rzeczy istotnych dla Nataszy. Ważnych nie dlatego, że lubiła się dobrze ubrać, tylko dlatego, że miała dwie pary butów, letnie i zimowe, kilka par majtek, dwie spódnice, spodnie i parę bluzek. Natasza potrafiła coś przerebić, naprawić, z dwóch starych zrobić jedno nowe. Halina zaś popisywała się najmodniejszymi fatalaszkami, krytycznie rzucając okiem na ubiór Nataszy. Nigdy wprost tego nie skomentowała, za plecami Ukrainki nie bawiła się jednak w dyplomację. No i zawsze kąśliwie docinała, gdy Natasza dostała lepszą ocenę od niej. „Obcy” mieli mieć więcej praw.

A Natasza nie czuła się obca. Owszem, urodziła się w Ukrainie. Owszem, tam mieszkała i zdała maturę. I nosiła ukraińskie nazwisko, bo to przejmuje się po ojcu. Matka jednak była Polką i czasem Natasza myślała, że wcale nie dla leczenia wymusiła rodzinny powrót na polską ziemię. Po prostu tutaj chciała umrzeć. Tutaj, w Polsce, u siebie.

– Wiesz, w Ukrainie wybuchła wojna. Nie mam ochoty na imprezy.

– Rozumiem cię doskonale – odparła niezrażona Karolina. – Jednak ani twój, ani mój smutek nic tu nie zmieni. Możemy się razem zastanowić, co zrobić, żeby pomóc. Ja jutro idę jako wolontariuszka na zbiórkę do centrum kryzysowego. Już napłynęło sporo darów, trzeba je posegregować i przygotować do wysyłki. Poza tym szukają chętnych do wyjazdu na granicę. Trzeba tam dostarczyć najpotrzebniejsze rzeczy – żywność, koce, podstawowe leki. Ja zamierzam się zgłosić. Ale to pojutrze. Jutro jest impreza, pożyczę ci kieckę, tę niebieską.

Natasza westchnęła.

– To nie *fair* – odpowiedziała. Niebieską sukienkę uważała za najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek widziała. Cudownie podkreślała kolor jej oczu, odkryte plecy kusiły spod zasłony gęstych blond włosów, niesymetryczny dół odsłaniał nogi tak w sam raz, nie za dużo, ale wystarczająco.

– Oczywiście, że *fair*. Ale musisz mi obiecać, że nie będziemy się bawiły zbyt długo. Zamierzam oddać się pracy społecznej już przed południem następnego dnia, więc imprezę kończymy najpóźniej o jedenastej.

Obiekcje Nataszy były całkowicie niepotrzebne. Owszem, na urodzinowej imprezie Haliny stawili się wszyscy zaproszeni, jednak mało kto pił. Grupki rozsiadły się na kanapie i w fotelach, dyskutując

o inwazji Rosji na Ukrainę. Mało było śmiechu i wygłupów. Przeważał nastrój powagi, lekko wzniosłej, trochę patetycznej, szybko jednak wszyscy zgromadzeni doszli do wniosku, że można zrobić tylko jedno: pomagać.

– Zastanawiałem się, czy dzisiaj przyjść – powiedział jeden z kolegów. – Wojna, a my mielibyśmy pić wódkę, śmiać się, tańczyć? Wygoniła mnie z domu matka, mówiąc, że siedząc w czterech ścianach i gapiąc się w telewizor, nic dobrego nie działam. A w kupie różnie. Miała rację.

– Moja matka powiedziała to samo – dodał kolejny.

– I ja też powiedziałam to samo – wyszeptła Karolina do ucha Nataszy.

– Bo ty jesteś mądra jak jego matka – odpowiedziała Natasza z powagą, czym sprowokowała mordercze spojrzenie przyjaciółki. Akurat ta rodzicielka uchodziła za gorliwą bigotkę, do tego namiętną plotkarę, która stosowała podwójne standardy moralne. Kali kraść mnie – źle, Kali kraść dla mnie – dobrze.

– Bo nasze matki to mądre kobiety – stwierdzili zgodnie koledzy, a Karolina i Natasza opuściły głowy, ukrywając rozbawienie.

Wyszły z przyjęcia o dwudziestej drugiej. Postanowiły iść piechotą, choć Natasza szybko uznała, że to był głupi pomysł.

– W lutym nie warto chodzić po ulicy w szpilkach! – stwierdziła.

– Przeszkadza ci odrobina lodu na chodniku? – zapytała Karolina, po czym wdzięcznym lotem upadła prosto na lód, właściwie w kałużę. Cienka warstwa puściła pod jej ciężarem i Karolina niemal natychmiast poczuła wilgoć pod tyłkiem.

– Ta odrobina lodu w czymś ci przeszkodziła? – zapytała Natasza niewinnym tonem, jednocześnie podając przyjaciółce rękę.

– Nie, skądże. Lód mi nie wadzi. Ale woda na poślądkach tak. – Karolina stęknęła, podnosząc się, i syknęła, stając na prawej nodze. – Skręciłam kostkę.

Natasza wywróciła oczami.

– Jesteś perfekcyjna – skwitowała. – Masz wyczucie czasu i miejsca. Jesteśmy niemal naprzeciw pogotowia.

– Bo ja wiem, kiedy i co zrobić. Pomóż.

Dotarły na pogotowie w ciągu kwadransa, choć miały do pokonania zaledwie sto pięćdziesiąt metrów.

– Przed nami długa noc – stwierdziła Karolina, widząc kłębiący się tłum.

– Będę ci opowiadać bajki.

– Bajki opowiada się na dobranoc, przed zaśnięciem, a my tutaj spać raczej nie będziemy – trzeźwo skonstatowała Karolina.

Usiadły w kacie, a właściwie Natasza posadziła przyjaciółkę i poszła załatwiać formalności. Czeakały prawie sześć godzin, choć około pierwszej wydawało się, że robi się spokojniej i trafią do lekarza lada moment. Natasza zamierzała właśnie powiedzieć to Karolinie, gdy raptem zrobił się ruch, gwałtowny przeciąg i obie miały wrażenie, że nagle ludzie zaczęli wchodzić, a właściwie wbiegać do poczekalni z każdej strony. Szybko okazało się, że na autostradzie doszło do wypadku i zastosowano zasadę „wszystkie ręce na pokład”.

Ostatecznie więc dziewczyny wróciły do mieszkania Karoliny dopiero przed szóstą rano.

– Jak po dobrej imprezie – stwierdziła Natasza, wyciągając Karolinę z taksówki. – A miałyśmy nie balować.

– Tak to jest, wierzyć w obietnice młodych, zupełnie nieodpowiedzialnych dziewczyn. – Karolina próbowała poprawiać humor sobie i Nataszy.

Przez unieruchomioną kostkę, która okazała się na szczęście jedynie skręcona, Karolina nie mogła uczestniczyć w pracy wolontariuszy. Wyręczała ją w tym Natasza, w dwój- albo i trójnasób. Wychodziła przed ósmą rano, wracała zwykle po dziewiątej wieczorem. W tym czasie segregowała dary, które mnożyły się jak chleb i wino w Kanie Galilejskiej.

Polacy otworzyli serca, mieszkania i portfele. Być może był to odruch serca, a być może po prostu strach. Wojna była tuż za granicą, to cienka bariera. Niezależnie od powodów ważne było to, że w stronę granicy jechały konwoje wypełnione różnymi dobrami. Ubraniami, żywnością, lekami, zabawkami. Wszystkie możliwe do zamieszkania miejsca były naprędce remontowane, odmalowywane, a w sklepach, chociażby w IKEA, błyskawicznie zabrakło wszelkich najtańszych produktów. Zniknęła pościel i ręczniki, szklanki, najprostsze meble i lampy, a nawet zabudowy kuchenne.

Przez całe tygodnie Polacy rozmawiali tylko o jednym – ile kto przyjął osób, czy robił już i kiedy

zrobi następne zakupy na kolejną zbiórkę, czy pojechał na granicę, czy odremontował puste mieszkanie po babci, a może uczestniczył w gotowaniu posiłków.

Natasza zastanawiała się czasem, czy to przypadkiem nie pamięć o tym, czego Polacy sami doświadczali w minionych dekadach. Zachodnia Europa przyjmowała polskich uchodźców, gdy tutaj szalała komuna, gdy zaszantażowany brat donosił na brata, gdy katowano ludzi za wypowiedź niepoprawną politycznie. Czy był to rodzaj spłaty długu?

Jakakolwiek była motywacja Polaków, efekt okazał się spektakularny. Zaangażowanie całego społeczeństwa przekroczyło wszelkie oczekiwania. Natasza cieszyła się z tego bardzo i była obecna wszędzie tam, gdzie mogła.

A potem, niemal z marszu, poszła do pracy, tak jak się umówiła w czasie spotkania w Centrum Wystawienniczo-Kongresowym G2 Arena. Była zmęczona i zdenerwowana. Wojna, nawet gdy patrzysz na ludzki porwy serca, nigdy nie jest czymś dobrym. I nie niesie spokoju.

ROZDZIAŁ 4

Zuriana zajechała przed dom, wyciągnęła torby z zakupami i ustawiła je w kuchni na podłodze. Otarła przedramieniem pot z czoła, była wyczerpana. Nie cierpiała zakupów, a zimowe ubrania przeszkadzały jej we wszystkim. Utrudniały i spowalniały ruchy, upodabniając każdego do ludzika Michelina. Nie znosiła zimy! I to jeszcze bardziej niż upałów. Właściwie to upały były w porządku, szczególnie w zestawieniu z mrozem. No, może w Atlancie rzadko zdarzały się ujemne temperatury, ale i tak dwa czy trzy stopnie na plusie powinny występować na Alasce, nie w Georgii.

– Znowu kupiłam za wiele. – Zuriana westchnęła, lustrując wypakowaną po brzegi lodówkę. – Choć tym razem nie bardzo mam dla kogo gotować.

Weszła po schodach, tak samo skrzypiących jak w każdym domu w sąsiedztwie. Otworzyła drzwi do łazienki na takim samym dokładnie poddaszu. Stała naga przed lustrem, musiała się wykapać. Spociła się podczas zakupów, prysznic był niezbędny. Zerknęła na siebie – wciąż była piękna.

– Wenus z Atlanty – mruknęła sarkastycznie. Często tak z siebie podkpiwała.

Nałożyła longsleeve z kolorowym nadrukiem i dresowe spodnie.

– Wielkie gotowanie czas zacząć – powiedziała sama do siebie.

Trzy godziny później siedziała przy kuchennej wyspie zmęczona, ale bardzo zadowolona. Pachniały pieczeń i ciasto cytrynowe. W lodówce chłodziła się pasta z suszonych pomidorów, znakomita do tostów. „Zaproszę Louise i Marka” – pomyślała. „Dołączy też Samuel. Porozmawiamy o Robercie. I to będzie bardzo miły wieczór”.

Gdy usłyszała pukanie, z niechęcią pomyślała o ruszeniu się z krzesła. Na szczęście, jak zwykle nie przekreśliła zamka w drzwiach. Tutejsi czuli się bezpiecznie. Byli u siebie.

– Otwarte! – krzyknęła zmęczonym głosem.

Louise weszła, ostentacyjnie pociągając nosem.

– Pachnie zupełnie tak, jakbyś długo gotowała.

– Miałam nadzieję, że do mnie wpadniesz. Dlatego zrobiłam pieczeń i ciasto cytrynowe.

Louise uniosła brwi, więc Zuriana dodała szybko:

– No dobra. Przywołuję wspomnienia. To właśnie przygotowałam, kiedy był u mnie ostatnio Robert.

– I dlatego siedzisz taka rozmemłana przy wyspie i udatnie sprawiasz wrażenie, że padasz ze zmęczenia?

– Chyba wolałam upały. – Zuriana westchnęła ciężko. – Nie cierpię takiej pogody.

Louise spojrzała na przyjaciółkę spod przymkniętych powiek.

– Latem narzekałaś, teraz narzekasz. Od kiedy stałaś się malkontentką?

– Od kiedy Robert wyjechał.

– Nic na to nie poradzisz. Poza tym pogoda wcale nie jest taka zła. Jest po prostu luty. O tej porze roku w Atlancie jest zimno.

– Wieczna z ciebie optymistka. Czego się napijesz? – Zuriana wstała w nagłym przypiływie energii.

Louise zrobiła dziubek, wykręciła ustami z prawa na lewo i z powrotem. Grymasy miały sugerować głębokie zastanowienie.

– Zachowam się nietypowo. Poproszę herbatę.

– Ale nietypowo – skomentowała Zuriana, przewracając oczami.

– Poproszę gorącą.

– Słucham? Może jeszcze niesłodzoną?

– Nie zapędzaj się. – Louise się zaśmiała. – Jest mi zimno, więc chcę czegoś ciepłego. Choć równie dobrze mogą być jakieś ziółka.

– A nie, marycha mi akurat wyszła.

– Takie ziółka to akurat wolałabym zapalić. Podobno są terapeutyczne.

Zuriana odwróciła się w stronę kuchennych szafek.

– Mam miętę, może być?

– Jasne. Tylko gorącą. Jest mi zimno.

Przez chwilę się nie odzywały. Zuriana włączyła czajnik, przygotowała kubki. Gdy się w końcu odwróciła, spojrzała na Louise i zamarła. Przyjaciółka płakała.

– A tobie co?

Louise otarła łzy nadgarstkiem, te nie przestawały jednak płynąć. Zuriana podała jej paczkę chusteczek higienicznych.

– Obiecuję, że zajmiesz się Samuelem. – Louise wyciągnęła jedną serwetkę.

– Co ty gadasz?

– Jeśli mnie zabiorą... Jeśli mnie zabraknie. Zajmiesz się nim, prawda?

– Nie gadaj głupot. Przeszycie pić. Już mniej pijesz, potrafisz się powstrzymać. Zawsze możesz na mnie liczyć, pamiętasz, umówiliśmy się. Kiedy tylko poczujesz pragnienie, przychodzisz do mnie i...

– Nie o to chodzi.

– Dasz radę.

– Zabiorą mnie.

– Nie ma mowy. Nigdy na to nie pozwolimy. Nie zabiorą ci Samuela, każdy z nas tutaj potwierdzi, że dobrze opiekujesz się synem i żadna opieka społecna...

– Daj spokój. – Louise przerwała jej kategorycznie.

– Doskonale wiesz, że mówię prawdę. Wszyscy to poświadczymy. Jeśli chcesz, zaraz dzwonię do Marka i...

– Nie o to chodzi. Choruję.

Zuriana wywróciła oczami.

– Zdecydowałaś się wreszcie na terapię? Cudownie. Oczywiście, że zajmę się Samuelem. Wiesz, że uwielbiam twojego małego.

– Próbowалам udawać, zapijalaм rzeczywistość. Jestem naprawdę chora.

– Jestem z tobą. Zawsze. – Zuriana uśmiechnęła się i wyciągnęła kolejną chusteczkę. Podała ją Louise i pogłaskała przyjaciółkę po plecach. – Wszystko będzie dobrze. Jeśli potrzebujesz terapii, pomogę ci, zajmę się małym, a nawet zawiozę cię, gdzie trzeba i kiedy trzeba. I Mark, on przecież też robi to samo. Będziesz miała najlepszą opiekę, Samuel też. Powiedz mi tylko, gdzie kupujesz te płatki, bo ostatnio mi powiedział, że chce tylko takie. Poza tym obiecałam mu, że pojedziemy do zoo. Zabiorę go do zoo. Co ty na to? – Zuriana chciała zagađać przyjaciółkę. Louise słuchała spokojnie, z oczami wbitymi w blat wyspy.

– Nic nie będzie dobrze. Mam raka.

– A jeśli nie spodoba mu się w zoo, pojedziemy do Aquarium. Tam będzie...

Przerwała w pół słowa. Cisza, która zapadła, była ciężka jak ołowiane obciążniki do firanek.

– Wiem od dość dawna. Próbowалам... Chciałam tylko poczuć się tak dobrze, jak przed diagnozą. W takiej delirycznej mgłę, kiedy byłam porządnie pijana, tak naprawdę mocno, wszystko zawsze było dobrze. Tylko wtedy. Więc piłam, żeby było dobrze. Ale teraz już nie mogę. Już pierwszy kieliszek mnie powala. Z tymi lekami... Nic nie działa.

– Louise, ja...

– Nie ma nic do powiedzenia. – Louise spojrzała ciepło na Zurianę. – Mam jeszcze kilkanaście tygodni. Może pół roku, może osiem, a może cztery miesiące. Nie wiadomo, ale nie ma tego za wiele. Czas to oszust, wiesz? Ukrywa swoją wartość, a gdy się o niej przekonujesz, on już pędzi na złamanie karku. Przy czym to człowiek ten kark sobie łamie, a czas bez uszczerbku pędzi dalej. Zamierzam dobrze wykorzystać tę resztkę, która mi pozostała. W przyszłym tygodniu zaczynam terapię, ale szanse są niewielkie, więc muszę łapać każdą chwilę.

– Nic nie wiedziałam.

– Nie mogłaś. Nie mam choroby wypisanej na czole. Zacznę łąsiec dopiero od przyszłego tygodnia. – Zaśmiała się sztucznie. – Tylko schudłam.

– Tego ci akurat zazdrościłam.

– Tak jakbyś ty nie miała figury idealnej – prychnęła Louise.

– Zawsze można być szczuplejszą.

– Ale łąsienia pewnie zazdrościć mi nie będziesz.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Zalej ziółka.

Zuriana postawiła na wyspie dwa kubki z parującą zawartością i przysiadła na hokerze.

– Będziemy walczyć – powiedziała z mocą.

– Oczywiście – przytaknęła łagodnie Louise. – Robię to cały czas. Ale gdy już mam twoją obietnicę, będzie mi łatwiej.

– Nie pozwolę ci się poddać! – wykrzyknęła Zuriana z mocą.

Louise się skrzywiła.

– Nie krzycz. To akurat nic nie pomoże. Chętnie zjem kawałek tej obłędnie pachnącej babki cytrynowej.

Zuriana próbowała jeszcze rozmawiać na ten temat, ale Louise zbywała wszystko spokojnym uśmiechem.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała w końcu. – Nie denerwuj się. Walczę.

– Zawiozę cię na tę terapię. – Zuriana aż podskoczyła, uświadomiwszy sobie, że dotąd nie zaproponowała tego przyjaciółce.

– To niemożliwe. Terapię mam rano, będziesz wtedy w pracy, a Samuel w szkole. Pojadę i wrócę autobusem, to nic takiego. To tylko długi zastrzyk. A kiedy wrócę, wszystko będzie jak zawsze.

– Jasne. Jak zawsze – potwierdziła odruchowo Zuriana.

Louise chciała powiedzieć, że czas już wracać do domu, gdy usłyszały samochód parkujący pod oknem. Kiedyś, dawno temu, tyłem do kuchennego okna parkował były mąż Zuriany. I tylko on. Od wielu lat nie żyli już razem, zresztą Wojtek nawet przed narodzinami Roberta nie należał do najbardziej oddanych mężów. Potem okazał się bardziej niż wiarołomny, aż gdy Robert miał osiem lat – zniknął na dobre. Pojawiał się w Atlancie kilka miesięcy albo raz na parę lat. Zawsze uśmiechnięty, opalony, z ciut przydługimi blond włosami. Jak surfer w środku kalifornijskiego sezonu, choć to absurdalne, bo tam sezon trwa przez cały rok. Ostatnio Zuriana widziała go... cztery lata temu? Już prawie o nim zapomniała. I dobrze, bo to był mężczyzna niestabilny jak popularność celebrytów. Dla Roberta zbyt wesoły tatuś, odrobinę niesłowny i zapominalski. Niebieski ptak. Dla Zuriany niepoważny mąż, najpierw uroczy, potem niepoważny, na koniec niebezpieczny.

Dym wpadający przez wywietrznik nie pozostawiał złudzeń. Ktoś właśnie parkował pod oknem. Tyłem. A Zuriana na nikogo nie czekała.

Louise uniosła brwi.

– To chyba niemożliwe, prawda?

Zuriana rozłożyła ręce.

– Z nim wszystko jest możliwe.

Czekały w milczeniu. Silnik zgasł, rozległ się trzask zamykanych drzwi, głośniejszy, niż się spodziewały. Ktoś musiał pchnąć drzwi z impetem.

Oczywiście, wiele osób waliło drzwiami swojego samochodu, ale... Zwykle ktoś wchodzący do cudzego domu pukał. Zatrzymywał się przed drzwiami, wołał.

Ten ktoś wszedł jak do siebie, stanął w otwartych drzwiach, niczym rzymski zdobywca, w lekkim rozkroku. Powiało chłodem.

– Zamknij drzwi – powiedziała Zuriana, choć chciała powiedzieć coś zupełnie innego. *Czekałam na ciebie. Spóźniłeś się na ciasto. Zaparzę herbaty.* To właśnie rozbrzmiewało jej w głowie i sprawiało... ból?

Czuła po prostu coś, czego nie rozumiała. Ciepło w podbrzuszu, delikatny dygot, który rozlewał się po kroczu uczuciem łaskotania, ciarki przeszywające dreszczem, mrowienie w klatce piersiowej. Gorąco w głowie. Kotłowanie myśli. Tylko Wojtek wzbudzał w niej takie emocje i w żaden sposób nie zmieniały tego mijające lata. Na co dzień w ogóle o nim nie myślała, a jeśli czasami, rzadko, jego imię wypływało w jakichś okolicznościach, zawsze odczuwała to jak chwilowe drżenie świata.

Fizyczna obecność Wojtka rozkładała ją na łopatki.

– Trafiłem idealnie. Uwielbiam ciasto cytrynowe.

Louise wywróciła oczami.

– Kiedyś twierdziłeś, że wolisz z jabłkami.

– Szarlotkę jadałem w Polsce, bo tam nie rosną cytrusy. Po lepszej stronie globu wołę cytryny.

Usiadł, nie pytając o pozwolenie. Zuriana z półotwartymi oczami patrzyła na małe kałuże, które zostawiał na podłodze.

Wstała i podeszła do blatu. Ukroiła kawałek ciasta i bez pytania pstryknęła guzikiem w ekspresie. Wojtek pił kawę o każdej porze doby i nie sądziła, że coś się w tym zakresie zmieniło.

– Pójdę już – powiedziała Louise.

– Nie, absolutnie. Zostań – zaprotestowała Zuriana, a ponieważ brzmiała szczerze, przyjaciółka nie wstała z krzesła.

– Przejeżdżałem niedaleko, to wpadłem w odwiedziny.

– Niedaleko?

– No, prawie.

– Potrzebujesz kasy, co? – Louise nie owijała w bawełnę, zwłaszcza że Zuriana nie była w stanie

się odezwać.

– Oj tam, zaraz kasy. Drobnny zastrzyk zawsze się przyda, ale przede wszystkim zatęskniłem za domem.

– Domem? Przez ile lat cię tu nie było? – Louise nie kryła wrogości.

– Jesteśmy małżeństwem – przemówił Wojtek. – Wciąż nim jesteśmy.

– Jesteście rozwiedzionym małżeństwem – powiedziała Louise.

Zuriana milczała, wpatrując się w byłego męża.

– Chyba naprawdę jestem tu niepotrzebna – uznała Louise.

Tym razem Zuriana jej nie zatrzymała. Louise wyszła w ciszy, odprowadzana bezczelnym spojrzeniem Wojtka. Zuriana nawet nie patrzyła w jej stronę. Jakby pożerała Wojtka wzrokiem.

Louise nie miała wątpliwości – Wojtek wyjedzie z domu swojej byłej żony ze spuchniętym portfelem. Wirtualnie oczywiście. Obstawiała, że Zuriana zrobi Wojtkowi przelew jeszcze dziś.

Poszła do siebie wolnym krokiem. Zapadł już zmrok, a padający deszcz spowodował, że chodnik stał się śliski. Musiała iść ostrożnie. W jej sytuacji każdy siniak mógł być groźny.

Wojtek zaś zjadł ciasto, patrząc Zurianie głęboko w oczy. Ona zaś bezbronna. Zaczarowały ją jego białe włosy i skóra biała jak porcelana. I oczy, w których widziała dwa szafiry. Zatracała się w nich od pierwszego spojrzenia, a miała wrażenie, że każde było pierwsze.

– Włosy wciąż ci się złocą – powiedziała wbrew sobie i zupełnie niespodziewanie.

– Zawsze to lubiłaś – odpowiedział, patrząc jej bezczelnie w oczy.

Podniecał ją jego zapach, uzależniał dotyk. Wojtek grał na jej ciele jak wybitny skrzypek na stradivariusie. Zamykała oczy i od razu czuła trzęsienie ziemi, przede wszystkim w swoim kroczu.

A Wojtek doskonale o tym wiedział i nie zamierzał przeciwdziałać w żadnym stopniu. Przeciwnie. Odsunął talerzyk z ciastem i powiedział:

– Właściwie to wcale nie miałem ochoty na ciasto. Zjadłem, żeby mniej zostało dla Louise. Tak naprawdę kusi mnie ta bosko pachnąca pieczeń, ale najpierw...

Wstał i nachylił się nad Zurianą. Zamknęła oczy, usta jej drżały, podobnie jak ręce, jak ona cała. Nie zaprotestowała, gdy Wojtek wziął ją na ręce. Czekwała na to.

– Wciąż jesteś tak lekka. Przez te wszystkie lata nie zmieniłaś się ani odrobinę. Nadal wiotka jak tancerka, jak trzcinka... Najpiękniejsza moja.

Oczywiście, Zuriana chciałaby wykrzyknąć mu różne słowa w twarz. Bardzo nieprzyjemne wyrazy. Zamruczała jednak tylko.

„Później. Powiem mu to jutro” – pomyślała. „Albo po prostu kiedy indziej”.

Skupiła się na byciu tu i teraz. Rozkoszowała się delikatnością, z jaką ułożył ją na łóżku. Dokładnie tym samym, na którym kiedyś poczęli Roberta. Na którym baraszkowali tak wiele razy. Pozwoliła powoli zdjąć z siebie bluzkę, uniosła biodra, by Wojtek łatwiej zsunął z nich spodnie. Zrobił to powoli, razem z majtkami, i wpatrywał się intensywnie w wysunięte w jego kierunku krocze. Zuriana czuła, że spływa sokiem. Była mokra, podniecona do granic. Syciła się spojrzeniem Wojtka, chłonęła dotyk dłoni przesuwających się gładko po jej ciele, raczyła się obecnością męża, jakby był narkotykiem. Dla niej był.

Zanurzyła się w ciemnym i cichym skupieniu, gdy poczuła penetrujący ją język. Niewiele więcej potrzebowała, a to był dopiero początek. Doświadczała i przeczuwała cały ocean rozkoszy i zamierzała zanurzyć się w nim cała, bez żadnych ograniczeń. Co niby miała do stracenia?

Za to do zyskania...

Penetracja wcale nie była jej potrzebna, jednak gdy ją poczuła, krzyczała. Jak jeszcze wiele razy tego wieczoru i później w nocy.

Gdzieś na obrzeżach świadomości pulsowała myśl, że następnego dnia idzie do pracy. Miała to w głębokim poważaniu. Znacznie głębszym niż... cóż, miała wiele powodów, żeby wciąż kochać Wojtka.

Obudziła się przed piątą, Wojtek leżał na boku, pochrapując cicho. Żałowała, że słońce jeszcze nie wstało. Chiałaby je zobaczyć, prześwitujące przez półdługie włosy męża, zobaczyć złoty blask na poduszce, przyłożyć nos i poczuć zapach potu. To ostatnie mogła zrobić także bez słońca i dokładnie tak uczyniła.

Wchłaniała znany aromat, uwielbiała go. Nikt nie pachniał w taki sposób. Zurianie ten zapach kojarzył się z aksamitem, ze szlachetnym aromatem wytrawnego wina. Zaciągnęła się niczym dystyngowanymi perfumami. Westchnęła, gdy poczuła na gołej pupie rękę Wojtka.

– Obudziłam cię? – zapytała prowokująco.

– Nie brzmisz na skruszoną.

– Bo nie jestem – odpowiedziała. – Ale jeśli chcemy zjeść razem śniadanie, to teraz albo wcale.

– Ale zdążymy jeszcze wykręcić jeden numerek?
– Jeden? – Udała oburzenie i cmoknęła go w nos. – Ale najpierw śniadanie.
– To ja zaliczę prysznic – stwierdził, oddając pocałunek.
– Łazienka może poczekać – uznała, mrużąc, bo Wojtek odwrócił się na plecy i dostrzegła jego nabrzmiałe przyrodzenie. – Aż żal z tego nie korzystać.

– Przy tobie zawsze jestem gotów, przecież wiesz...

Zeszła na dół pół godziny później. Nie pytała, co zrobić na śniadanie. Na rozgrzaną patelnię wrzuciła całą paczkę plasterkowanego boczku. Rozbiła osiem jajek, ona sama jadła niewiele, Wojtkowi jednak zawsze dopisywał apetyt. Pokroiła wczorajszą pieczeń, wrzuciła kromki chleba do tosterka i postawiła słoik masła orzechowego. Zestaw może i ekstrawagancki, jednak w przypadku Wojtka niezawodny.

Zszedł na dół zawinięty w ręcznik i okryty rozpiętym szlafrokiem. Zuriana wciąż nie wyrzuciła starego kąpielowego płaszcza, lubiła się nim otulać. Należał do Wojtka, może to był symbol? Dopóki jest w domu jego szlafrok, jest wciąż moim facetem. Tak, czasami właśnie tak myślała.

Na nią szlafrok był zdecydowanie za wielki, mogła zawinąć się nim jak sushi owija się w nori. Wojtek prezentował się w nim idealnie. Na torsie wciąż błyszczały krople wody, a wilgotne włosy nadały filuterny wyraz jego twarzy. Zuriana zerknęła na idącego po schodach męża i znów poczuła skurcz w podbrzuszu, chociaż tej nocy kochali się parę razy. Chciałyby jeszcze.

– Ty zawsze wiesz, jak mnie zadowolić – zamruczał. – Nic się nie zmieniło. Śniadanie bogów.

Uśmiechnęła się.

– Muszę wyjść o siódmej trzydzieści – stwierdziła, gdy już kończyli jedzenie.

– Ciągle w tym samym miejscu?

Kiwnęła głową.

– Ja jestem stała w uczuciach.

– To oznacza, że mamy jeszcze prawie godzinę. Warto dobrze ją wykorzystać.

Tak zrobili. Zostawili na kuchennej wyspie brudne talerze i kubki, okruchy i resztki pieczeni. Właściwie zepchnęli je na bok, jeden kubek się stłukł, nie zwrócili na to uwagi. Zuriana czuła widelec wrzynający się w pośladek, odrzuciła go na środek kuchni. Rozłożyła nogi szeroko, Wojtek przyglądał się jej z zachwytem, tylko on potrafił tak na nią patrzeć. A może ktoś inny robiłby to z równym zaangażowaniem, nikomu jednak nie dała na to szansy.

– Otrzep mi okruchy z pleców – poprosiła, gdy na koniec podał jej rękę, pomagając zejść z wyspy. Potrafił być dżentelmenem. Jeśli chciał.

– Jesteś cudowna – wyszeptał, gdy już to zrobił i wtulił twarz w jej gęsto rozsypane wokół sylwetki włosy. – Nic się nie zmieniłaś.

– Mówiłam, że jestem wierna.

– Wiem. Najlepsza.

– Tylko ciebie nosi. A Robert ma to po tobie.

– Z Roberta to chyba powinniśmy być dumni, czyż nie? Jest w elitarnej jednostce, nasz synalek.

– Ja to raczej się o niego martwię, niż pękam z dumy.

– Dlaczego? – Wojtek był naprawdę zdumiony.

– Nie wiesz? Nie pochwalił się tatusiowi? Wyjechał na misję.

– Jak to na misję?

– Po prostu. Elitarna jednostka, rozkaz, wyjazd.

– Co wy, Amerykanie, z tym macie? Wydawało się, że Wietnam powinien was nauczyć...

– Przypominam ci, że też masz obywatelstwo tego kraju.

– A fakt. Prawie zapomniałem. A dokąd go wysłali?

– A gdzie jest teraz wojna?

– W wielu miejscach. Wrze na Bliskim Wschodzie, ciągle się coś dzieje w Afryce...

– Pojechał do Polski. Pod granicę ukraińską. Nawet nie wiedziałam, gdzie ta cała Ukraina leży, dopóki nie wysłali tam Roberta.

– Chcesz powiedzieć, że nasz syn będzie bronił Ukrainy? – Wojtek sprawiał wrażenie, jakby skamieniał.

– Powtórzę: elitarna jednostka, rozkaz, wyjazd.

– Ale Ukraina? Dlaczego nasz syn ma bronić tych skurwysynów?

ROZDZIAŁ 5

– Kiedy tu przylecieliśmy w listopadzie, było paskudnie. Miało już nie być gorzej. – Kilku żołnierzy siedziało przy stole w kantine i popijało lokalne piwo. Zajmowali się głównie narzekaniem.

Przez okno widać było pas startowy i kilka hangarów. Byłoby widać, gdyby nie zacinający pod ostrym kątem deszcz ze śniegiem, który zmieniał się od czasu do czasu w grad.

– Lód lubię w drinkach, ale kiedy pada na mnie z nieba, nie wzbudza mojego entuzjazmu.

– Bo to Polska właśnie – skomentował Robert.

– Gadasz tak, jakby ta kraina była ci znana. Nie piernicz.

– Nie jesteśmy tu od narzekania. – Robert wzruszył ramionami.

– A widzieliście tę nową barmankę? Podobno przesunęli ją z kuchni, miód malina. Szybka, sprawna i jeszcze do tego cycata.

Żołnierze świntuszyli chwilę, Robert odpłynął myślami. Nie zamierzał się tłumaczyć. Pierwsze cztery miesiące był tutaj bardzo zajęty. Jednostka się rozrosła, przyleciały kolejne partie żołnierzy. Nie stacjonowali już w centrum konferencyjnym, mieli swoje własne obiekty w pobliżu lotniska w Jasionce. Na kilka tygodni Robert został oddelegowany do spraw akomodacji – ktoś uznał, że skoro ma polskie korzenie, to na pewno świetnie dogada się z miejscowymi. Nie do końca się to sprawdziło. Skóra o kolorze mlecznej czekolady nie pozwalała Polakom traktować go jak swego. Robert nawet nie postrzegał tego jako przejawu rasizmu – uznał, że po prostu jest inny, obcy, z daleka się wyróżnia, a to w żadnych okolicznościach nie sprzyja braterstwu.

Nie zamierzał jednak komentować decyzji przełożonych. Dostał rozkaz, wykonywał go. Do tego go szkolono. Nie narzekał nawet na to, że miał więcej pracy. Koledzy zaliczali kantyny, poznawali lokalne bary, opowiadali o rzutkach i przedsiębiorczych Polkach, które spotykali w miejscach, gdzie dokładnie takich dziewczyn szukali: wszyscy byli dzięki temu zadowoleni, dziewczyny godziwie zarobiły, chłopcy się zrelaksowali.

Robert nie szukał takich atrakcji. Życie nauczyło go pracowitości. Wychowany na południu Stanów szybko dowiedział się, że chociaż czasy Ku Klux Klanu dawno minęły, to jednak biały bogaty chłopak ma znacznie łatwiej niż biedny czarny. Taki banał, który stawał się odrobinę dokuczliwy, kiedy nie był chwytliwym tytułem w internetowym magazynie. Świat zdawał się pełen szans, szczególnie w mieście wielkich korporacji, jakim była Atlanta. Szans równych dla każdego. No właśnie, tylko się zdawał. Jasne, że nikt już nie odmawiał pracy czarnemu ze względu na kolor skóry. W ogóle nie mogło paść słowo: czarny. Niedozwolone, niepoprawne, szkalujące. Jasne, że Afroamerykanów było coraz więcej, także na tych najbardziej eksponowanych stanowiskach. Dla Roberta jednak było także jasne, że w tym wyścigu musi być lepszy od innych, żeby osiągnąć to, co inni zwykle po prostu dostawali. Dlatego uczył się pilniej niż inni, pracował ciężiej. Dostał się do tej jednostki, bo był jednym z najlepszych. I ciągle takim pozostawał.

Zresztą wszyscy z 82. Dywizji Powietrznodesantowej USA, nazywanej All Americans, bo była pierwszą jednostką formowaną z rekrutów ze wszystkich stanów USA, byli najlepsi. A jednak o niektórych swoich kolegach Robert myślał: „debile”.

– No nie gadaj, że jej nie przyuważyłeś? – Pytanie Jamesa przywróciło Roberta do rzeczywistości.

– Nie widziałem.

– Jasne. Ty zawsze w robocie, nie? – Robert tylko się uśmiechnął, więc James kontynuował: – To może czas na lekkie osłodzenie pieprzonego lutego.

Obaj zauważyli wchodzącą do kantyny dziewczynę. Zaczynała właśnie pracę. Weszła za bar, poprawiając włosy. Robertowi zdawało się, że ogląda film poklatkowy, czas się zatrzymał. Dopiero szturchnięcie przywróciło go do rzeczywistości.

– Ej, zakochałeś się? Nawet nie startuj, każdemu dała kosza. To jakaś niewydymka.

Robert uśmiechnął się i wzdrygnął ramionami.

– Ale piwa należy, co?

Podszedł do baru, zamówił napój. Nie miał najmniejszej ochoty na alkohol. Pewnie, na przepustce można było próbować prawie wszystkiego, ale niekoniecznie trzeba było. Zresztą, lepiej było to robić poza jednostką. – Colę proszę – powiedział.

Dziewczyna spojrzała na niego oczami niebieskimi jak morska woda prześwietlona promieniami słońca. „Zupełnie jak oczy mojego ojca” – pomyślał. I włosy miała takie jak jego ojciec – złote jak piasek na plaży w Driftwood Beach, dokąd kiedyś Robert pojechał z matką.

Potrząsnął głową. „Tego mi tylko trzeba” – pomyślał. „Blondwłosej dziewczyny z kraju zasypa-

nego śniegiem i zalanego deszczem”.

Odebrał napój i wrócił do stolika.

– I jak? – dopytywali koledzy.

Robert wywrócił oczami.

– Serio? Co w niej widzicie?

– Na ciebie chyba nic nie działa. Moim zdaniem jest w sam raz. Poobracałbym.

Koledzy przerzucali się uwagami. Czuli się swobodnie, rozmawiali głośno. Dziewczyna nie reagowała, założyli więc, że znała język co najwyżej na tyle, żeby zrozumieć zamówienie.

– Twierdziłeś, że jest cycata – dalej krytykował Robert.

– Może nie jak Pamela w czasach świetności, ale nie jest źle.

Robert pokręcił głową.

– Zbieramy się, panowie – powiedział w końcu. – Trzeba wszystko sprawdzić przed przylotem Sleepy Joe.

– On naprawdę tu przyleci? – Jeden z żołnierzy wyraził wątpliwości wszystkich. – Na ten zapyziały koniec świata?

– Przyleci, nie przyleci, musimy być gotowi – zakończył dywagacje Robert.

Wyszli z kantyny, nie oglądając się za siebie. Jedynie Robert, który szedł jako ostatni, zamykając drzwi, spojrzął w kierunku baru. Napotkał spojrzenie barmanki i potrząsnął głową.

– To nie jest możliwe – powiedział do siebie. – Tutaj co druga dziewczyna to blondynka z długimi włosami. Co z tego, że osiemdziesiąt procent z nich jest farbowana. Polacy lubią blond.

Natasza cieszyła się ze spokojnej pracy. Amerykanie byli głośni i czasem sprośni, nie przekraczali jednak pewnych granic, nie musiała się obawiać prób fizycznego kontaktu. Owszem, oblepiali ją spojrzeniami, czuła się czasem rozbierana, ale to byli żołnierze, a nie ruska hołota, o jakiej czytała w doniesieniach z Ukrainy.

Nie wyobrażała sobie, co muszą przeżywać jej znajomi we Lwowie. Oglądała relacje. Czytała o zbombardowanej elektrowni. Widziała rozmowę z chłopakiem, który był nauczycielem gry na fortepianie. Przed wojną. Teraz rozwoził pizzę. Podziwiała go za hart ducha, z jakim o tym opowiadał. „Jeszcze będzie normalnie” – mówił, a ona powtarzała sobie czasem te słowa.

Szczególnie wtedy, gdy wracała do ciemnego i wychłodzonego domu, w którym jedynym dźwiękiem było chrapanie ojca. Zwykle dochodziło z salonu, a raczej tego, co kiedyś nim było. Skromnym, czystym, pełnym śmiechu i światła przefiltrowanego przez śnieżnobiałe firanki. To miejsce nie przypominało dawnego domu – może to dobrze, w ten sposób wspomnienia nie wracały.

Czasem ojciec nie zdążał dojść do salonu. Wtedy zalegał gdzieś na podłodze, zwinięty w kłębek jak robak. Bywało też, że zasypiał w rzygowinach. Natasza przechodziła nad tym do porządku dziennego. Już tak.

Wcześniej miesiącami sprzątała, czyściła, szukała pozorów normalności. I pewnie byłoby tak dalej, gdyby nie Karolina. To ona uświadomiła Nataszy, że życie nie powinno tak wyglądać. Może nawet należałoby użyć słowa – zbuntowała. I choć wciąż pojawiał się w Nataszy odruch sprzątania, potrafiła już przejść nad nim obojętnie. Dokładnie tak. Robiła po prostu krok nad pijanym ojcem, przechodząc do swojego pokoju.

Poprosiła brata, by zamontował zamek w drzwiach. Jurij wcale nie chciał przyjeżdżać do domu. Miał legalną pracę, jego żona również. Kupili niewielkie mieszkanie w Rzeszowie, które wprawdzie nie przypominało ich apartamentu w centrum Lwowa, było jednak czyste, a oni wraz z dwójką dzieci wiedli tam zwyczajne życie. Przejmowali się, oczywiście, doniesieniami z Ukrainy i pomagali rodakom w miarę możliwości, odpuścili jednak troskę o ojca, który zawiódł rodzinę zbyt wiele razy.

– Ale mnie możesz pomóc. – Natasza lekkim szantażem wymusiła na bracie ten drobny gest. Zamek był prosty, wystarczył jednak, by ojciec w oparach alkoholu go nie sforsował.

Natasza zamykała pokój zawsze – i gdy z niego wychodziła, i gdy w nim przebywała. Nawet przemykając do toalety, nie zapomniała o przekręceniu klucza. Na wszelki wypadek. Pamiętała podręcznik do angielskiego, którego ojciec wprawdzie nie sprzedał, podarł jednak w strzępy. Jedną kartkę zachowała na pamiątkę. „Kiedyś ją oprawię i powieszę na ścianie w moim niewielkim, czystym i jasnym domu” – myślała.

Spotykała się z Karoliną regularnie, choć ostatnio rzadko interwencyjnie. Ojciec pił i spał, za co pił – tego nie wiedziała. Ważne, że się jej nie czepiał.

– Teraz stać cię już na piankę do kawy – powiedziała Karolina dwudziestego czwartego lutego. –

Dziś jest dzień, w którym musimy się jej napić.

– Chyba nie ma czego świętować – odparła Natasza.

– Mylisz się. Ukraina trzyma się już rok. Wciąż dumna. Ruscy chcieli zrobić Blitzkrieg, a dostali po nosie. Podłe sukinsyny dostają po dupie, to nie jest powód do świętowania?

Natasza uśmiechnęła się blado.

– Właściwie, czemu nie? Przyjadę około osiemnastej.

Z domu do pracy Natasza miała bardzo blisko, jednak droga do Rzeszowa była dłuższa i nie zawsze miała ochotę ją pokonywać. Niby niedaleko, a jednak. Dziewczyny umówiły się w Galerii Rzeszów, a tam skierowały wprost do Starbucksa.

– Słodka jak chałwa w miodzie i słaba jak ziółka mojej matki po ósmym parzeniu. Kwintesencja kawy z amerykańskiej sieciówki – skwitowała Karolina.

– Ale pianki mają tutaj najlepsze – odpowiedziała Natasza.

– Chyba najśodsze.

– Take białutkie i różowiotkie.

– W końcu jest luty, miesiąc walentynek. Jak ci się pracuje?

– Wporzo. – Natasza westchnęła. – Praca jak praca, tylko ojciec...

Karolina kiwnęła głową.

– Aż tak?

– Gorzej. Właściwie już nie trzeźwieje. Kiedy śpi, jest spoko, zamykam się w swoim pokoju i udaję, że świat jest normalny. Ale kiedy ma swoją fazę... Cóż, dobrze, że mam tę pracę. Mam dokąd uciec.

– Schudłaś ostatnio – powiedziała Karolina z wyraźną zazdrością.

– Wydaje ci się.

– Ano nie. Ta bluzka kiedyś była na ciebie w sam raz, teraz wisi ci na cyckach jak skłapnięty balonik na ogonie Kłapouchego.

– Może i trochę mi się zeszczuplało. Jakoś nie chce mi się jeść ostatnio.

– Weź trochę mojego tłuszczu.

– Nie gadaj głupot. Jesteś najseksowniejszą babką, jaką znam.

– Przerzuciłaś się na kobiety? – Karolina spojrzała na przyjaciółkę z ukosa.

Natasza westchnęła.

– To byłoby całkiem mądre, jak sądzę.

Karolina uniosła pytająco brwi.

– Ci amerykańscy żołnierze... – zaczęła Natasza i umilkła.

– No mów, nie drażnij się ze mną. Każdy jeden przystojniak, że tylko łyżkami jeść, opowiedz, jacy są.

– Jak wszyscy faceci. Ci akurat bardzo wysportowani, dlatego przystojni. Przyleciało ich całe mnóstwo, ale oni są preselekcjonowani.

– Jak kurczaki?

– Co?

– Selekcjonuje się kurczaki, wedle klasy wagowej, nie pamiętasz?

– Nawet ziarna się przesiewa. Ziemiaki wedle rozmiaru. Wszystko. Co to ma do rzeczy?

– Tak mi się skojarzyło. Powiedziałaś, że są bardzo wysportowani. Pomyślałam więc, że skoro poszło w mięśnie, to pewnie w mózgi nie bardzo. Więc od razu przyszły mi na myśl kurczaki.

– Niezupełnie to miałam na myśli – odpowiedziała ubawiona Natasza. – Raczej chodzi mi o to, że w tych jednostkach służą ci najlepsi. Ale faceci jak faceci. Po służbie myślą, tym, no...

– Fiutem – bez pardonu dokończyła za przyjaciółkę Karolina. – No i co? Nie dokuczają ci przecież?

– Nie, skądże. Myślę, że żaden by się nie odważył. Po tych wszystkich amerykańskich aferach z #MeToo są chyba na tym punkcie przeczuleni. Ale nie zmienia to faktu, że są tylko samcami. Siedzą przy stoliku i rozmawiają o dupach, cycach i o tym, gdzie w Rzeszowie wyrwać najfajniejsze laski. Komentują, że prawie za darmo. Siedzą dwa stoliki ode mnie i rozmawiają tak, jakby mnie tam nie było.

– Musisz tego słuchać?

– Teoretycznie nie muszę, ale ciężko nie słyszeć. Poza tym oni chyba uważają, że jestem niepełna rozumu. W jednej chwili przy barze rozmawiają ze mną jak z człowiekiem, a moment później siedzą przy stoliku i komentują moje cycy. Słodko, co?

– Może uważają, że nie rozumiesz.

– Prawdopodobnie. Taki wiesz, angielski wystarczający do „ty mi podać piwo” i „daj więcej lodu do coli”.

– I tym się przejmujesz?

– Nie. – Natasza wzruszyła ramionami. – Ale to czasem męczące. Żłopia piwsko z kija, chyba im posmakowały lokalne browary, czasem zażądają Jacka Danielsa. Nie upijają się, wszystko w normie, ale kiedy nataszcę się beczek i jestem zmęczona, chciałabym poczuć się swobodnie. A nie bardzo mogę. I mimo wszystko nie jest mi miło słuchać, któremu podobam się najbardziej, co by ze mną zrobił i że mam jednak trochę za małe cycki.

– Ty? Za małe?

– Precyzyjnie rzecz ujmując, dżentelmeni się o to pokłócili. Jeden twierdził, że jestem cycata, inny, że mam tu za mało. – To mówiąc, Natasza złapała się pod biustem.

Dziewczyny się roześmiały.

– To masz wesoło.

– Sama rozumiesz, że do śmiechu mi nie jest.

– To żeśmy pogadały.

– Powiedz lepiej, dlaczego siedzisz w domu?

– Mam ciągle kłopoty z nogą. Puchnie, boli, nie mogę długo ani stać, ani siedzieć. Coś mi skopali wtedy w szpitalu.

– Przy skręceniu kostki? Nie przesadzasz?

– Po prostu od tego czasu puchną mi nogi. A ty, jak przetrwałaś wizytę najważniejszego z najważniejszych?

– Biden był u nas chwilę i nawet z daleka go nie widziałam. Zresztą w telewizji wszystko jest wyraźniejsze. Choć przed jego wizytą Amerykanie oszaleli na punkcie bezpieczeństwa. Ale to pewnie dobrze. A u lekarza byłaś?

– A od kogo niby mam zwolnienie? Muszę zrobić badania. Lista jest tak długa, jak *Litania do wszystkich świętych*, ale dam radę. Zwłaszcza teraz, gdy... jestem w ciąży.

ROZDZIAŁ 6

Robert omijał kantynę szerokim łukiem. Miał wspomnienia, do których wolałby nie wracać, dlatego starzy dobrzy znajomi, Jacek Daniels, Jim Bim i Johnny Walker, nie kusili go swoim towarzystwem, choć owszem, kilku kolegów bardzo się z nimi zaprzyjaźniło. On jeśli już, to pijał piwo z lokalnego browaru. Zasmakowało mu. Leciutko gorzkawe, przełamane subtelnie słodkawą, goździkową nutą.

Pszenicznózłoty Wojtek, Polak o fascynującej osobowości, który oczarował jego matkę, miał swoje cieniste strony. Wojtek popijał. Pozornie nieznacząco, po trochu. Ku rozbawieniu towarzystwa. Dla lepszego samopoczucia. Zdziebełko dymnej whiskey, ciut karmelowego rumu, niewielki dodatek złocistej brandy. A gdy przestały wystarczać odrobinki, nie pił więcej, dodał tylko różne dropsiki, kolorowe cukiereczki, tableteczki... Tak mówił, zdrabniając każdy rzeczownik.

Potem nie pamiętał, tak się tłumaczył. Robert też chciałby nie pamiętać. Jak na złość, z tego okresu właściwie nic nie utkwiło mu w pamięci, poza widokiem matki z rozciętą wargą, ślaniającej się na złamanej nodze, potem czołgającej w stronę wyjścia.

– Biegnij do Louise. – To zdanie śniło mu się czasami. Brzmiało różnie – od rozkazu, przez prośbę, aż po kpinę, jakby Zuriana zmieniała jego znaczenie w każdym ze snów.

Doskonale pamięta, że to właśnie Louise wypędziła Wojtka. Wbrew protestom Zuriany chwyciła za młotek leżący zaraz za drzwiami malutkiej spiżarni i z impetem natarła na Wojtka. Uciekł, najpierw ze śmiechem, potem z przerażeniem w oczach. Louise nie żartowała. Doskonale wiedziała, co to znaczy alkohol. Właściwie każdy w ich dzielnicy wiedział. Wytłumaczeniem była bieda, brak pracy, przejściowe problemy, niewłaściwe towarzystwo – a jednak za każdym razem było to tylko marne usprawiedliwienie. Tak jak w przypadku ojca Louise, który trzykrotnie wysyłał jej matkę do szpitala, aż w końcu znalazła się w kostnicy. Wtedy sam, w pijanym widzie, a może właśnie w przebłysku świadomości, powiesił się w łazience.

To Louise znalazła i odcięła ojca. Kilka tygodni wcześniej skończyła osiemnaście lat i nie odczuła żadnego żalu po jego śmierci.

– Całe szczęście, że poczekałeś do mojej pełnoletniości – powiedziała, patrząc na sinofioletową twarz z wywalonym językiem. Potem zwymiotowała.

Nie miała złudzeń – uzależnienie wsysa niepostrzeżenie i obawiała się, że ją też pewnego dnia dopadnie. Gdy będzie słabszy okres, może choroba, może brak miłości, a może jeszcze coś innego. Miała za to dość siły, by widząc skatowaną Zurianę, wywalić Wojtka na zbity pysk.

– Wypierdalaj stąd, pieprzony Polaczku. A jeśli tu wrócisz, to obetnę ci jaja – powiedziała z całkowitym spokojem takim tonem, że Wojtek po prostu wyszedł.

Zuriana, gdy wróciła ze szpitala, nie odzywała się do Louise przez blisko trzy miesiące. Obwiniła ją o to, że Wojtek nie wrócił. Ale Louise miała jej pretensje gdzieś.

– Uratowałam cię – powiedziała do przyjaciółki. – Kiedyś to zrozumiesz.

Zuriana wybaczyła dopiero po kwartale. Pewnego popołudnia Louise przyszła do przyjaciółki z butelką soku pomarańczowego w ręce. Zuriana rozpakowywała właśnie zakupy.

– Na pewno kupiłaś wszystko, ale litr soku jeszcze nikomu nie zaszkodził – powiedziała Louise, wchodząc bez pukania. Zuriana spojrzała na nią bez uśmiechu. – Nie wyrzucisz mnie, prawda? – Louise już odsunęła krzesło i właśnie siadała przy kuchennej wyspie.

– Rozumiem, że napijesz się soku.

Zuriana wciąż się nie uśmiechała, doszła jednak do wniosku, że przecież nie wyrzuci z domu przyjaciółki. „Owszem, wciąż jesteśmy przyjaciółkami” – pomyślała. „A to, że Louise jest ode mnie kilka lat młodsza, powoduje tylko, że wciąż chcę się o nią troszczyć”.

– Na wszelki wypadek przyniosłam ze sobą. Gdybyś nie miała. Albo nie chciała mnie poczęstować. Musiałabym wtedy wyjść, kupić sok, a po powrocie może zastałabym zamknięte drzwi. Przygotowałam się więc zawczasu.

Zuriana westchnęła, oparła się o blat, nie odwróciła się jednak w stronę przybyłej. Po chwili w milczeniu dokończyła układanie zakupów w lodówce. Dopiero wtedy wyjęła z szafki dwie szklanki, karton soku pomarańczowego i postawiła wszystko na wyspie.

– Ja też mam sok – stwierdziła chłodno.

– Będziemy mogły pić go dłużej. Bo ja właśnie w tej sprawie. Boję się – oznajmiła Louise, patrząc Zurianie w oczy.

Ta otworzyła ręce w geście: mów, jeśli musisz.

– Tęsknię za ojcem.

Zuriana drgnęła.

– Tak – kontynuowała Louise. – Za ojcem. Za mamą dopiero w drugiej kolejności. Kiedy nie pił, był cudowny, wiesz? Mama ode mnie zawsze wymagała, pilnowała czystych rąk, lekcji odrobionych na piątki, zeszytów z niepozaginanymi kartkami. A tata zabierał mnie do zoo. I na karuzelę. I zimną lemoniadę w parku... Dobra, do zoo zabrał mnie tylko raz, i to tylko dlatego, że był tam z kimś umówiony. Ale właśnie tę wycieczkę pamiętam najlepiej. Był upalny dzień. Sierpień. Biegałam jak oszalała od pand do orangutanów, potem do goryli i z powrotem. Zachwyciłam się zebrami i żyrafami, na chwilę tylko przystanęłam przy słoniach. Byłam zgrzana i spocona, bezkresnym szczęściem napawała mnie wieść, że zaraz dostanę zimną lemoniadę. Do dziś pamiętam jej smak. Dostałam później anginę, mama była zła i narzekała na ojca. Psuła mi zabawę, prawda? – Zuriana wciąż nie odpowiadała. – Ty też masz dziecko, Zuriano – dokończyła Louise zupełnie innym tonem.

Zuriana dopiero teraz podniosła głowę i spojrzała na przyjaciółkę.

– Robert jest bystry – kontynuowała Louise. – Wpadł dzisiaj do mnie po szkole, rzucił plecak i zapytał, niby mimochodem, dlaczego tata nie przyjeżdża. Odpowiedziałam mu, że jest pewnie bardzo zajęty i na pewno z mamą to uzgodnił. Pokręcił się jeszcze u mnie chwilę, pozaglądał w każdy kąt i przy wyjściu stwierdził, że tata też tak pachniał jak mama. – Zuriana zacisnęła wargi. – A to przecież bzdura! – Louise się uniosła. – Ty jesteś jak letnia bryza nad oceanem, on jak śmierdzący ściek z zepsutej oczyszczalni.

– Zapach Wojtka przechodzi na mnie. Przytulam się do niego. Pachniemy podobnie – powiedziała Zuriana i zacisnęła wargi.

– Możesz się przeciwko temu buntować – powiedziała Louise wciąż spokojnie, choć Zuriana widziała, że drży jej lekko broda. – Masz jednak dziecko. Ono patrzy, a co gorsza widzi. I czerpie wzorce.

– Dziękuję – odpowiedziała Zuriana po chwili.

– Zadbaj o siebie, Wojtek to tylko pasożyt. Żeruje na tobie. On...

Louise zamilkła. Miała wrażenie, że i tak za dużo powiedziała.

– Dziękuję – powtórzyła Zuriana.

Louise pokręciła głową.

– Nie dziękuj. Przyszłam po proście. Miej na mnie baczenie od czasu do czasu, proszę. Tata do mnie wraca. Wtedy nie mogę się powstrzymać. Na razie jeszcze jestem w stanie nad tym zapanować ale... piję w samotności, trzeźwieję przed wyjściem z domu. Nauczyłam się pić w sam raz, nie za dużo, choć do zapomnienia. Wciąż jeszcze regularnie opróżniam skrzynkę pocztową, noszę czyste ciuchy i nie spóźniam się do pracy. Ale jest coraz trudniej. Przyszłam cię poprosić, żebyś mnie... Żebyś...

Zuriana nalała im po kolejnej szklance soku, nie rozmawiały więcej, bo Robert wrócił ze szkoły. Kobietom wydawało się, że jest jak zawsze, a on widział cień, który ukrył się w kątach ich niewielkiej kuchni. Cieszył się, że Louise i jego matka znów zaczęły się normalnie spotykać, ale obserwował.

I gdy któregoś dnia w środku nocy zadzwonił telefon, a mama przewiązała się tylko szlafrokiem i w kłapkach, których używała wyłącznie na ich niewielkim tarasie, wybiegła z domu, usiadł na łóżku i czekał na jej powrót.

Świtało już, gdy po cichu weszła do domu, przyciągając delikatnie moskitierę. Przestraszyła się, kiedy cicho zapytał:

– Mamo?

– Nie śpisz, kochanie? – Podeszła do niego i przytuliła go delikatnie.

– Czekałem.

– Odprowadzę cię do łóżka. Możesz jeszcze pospać ponad dwie godziny.

– Byłaś u cioci Louise?

Zuriana nie odpowiedziała. Po prostu nakryła dziewięcioletniego syna kołdrą i śpiewała mu kołysanki jak trzylatkowi.

Robert wiele rozumiał. Przede wszystkim dlatego, że kiedy Wojtek pojawiał się w ich niewielkim, czystym i zadbanym domu, zwykle pachniał. Nie mamą, tylko w inny sposób, którego Wojtek nie lubił. Podobnie czasami pachniała Louise. Pikantnie, ostrawo, wytrawnie. Mama nie lubiła tego zapachu u Louise, denerwowała się na nią, gdy tak pachniała. Ten sam aromat jednak nie przeszkadzał jej u taty, i tylko u niego. I tego Robert nie potrafił zrozumieć.

I dlatego Robert nie odwiedzał często kantyny. Koledzy zacieśniali tam więzi z wielką trójcą procentowych przyjaciół Jim–Jack–Johnny, Robert wiedział, że nie stronili też od różnych cukierków. A jego nie interesowały żadne używki. Wolał czasami pojechać do Rzeszowa i połączyć po ulicach. Po-

goda była zwykle paskudna, choć na początku marca przydarzyło się kilka pogodnych dni. Jemu jednak nie przeszkadzał ani wiatr, ani marznący deszcz. Był szkolony do większych niewygód. Ciekawiło go wszystko.

Polakom nazwisko Bowel nic nie mówiło. Nikt nawet nie przypuszczał, że ciemnoskóry Robert jest potomkiem kogoś, kto po trzech miesiącach pobytu za oceanem mówił: „U nas w Ameryka jeszt zupełni inaczej”. Jeśli więc miał nadzieję odnalezienia jakichś krewnych – a owszem, miał – to nikomu się do tego nie przyznał. Po to właśnie zabrał zawiniątko spod podłogi w swoim dziecięcym pokoju. Tam schował zapisane wspomnienia, którymi kiedyś uraczył go Wojtek. Tam zapisywał wszelkie skrawki informacji na temat polskiego pochodzenia swojego ojca. Tam też przechowywał jakieś ukradkiem podbrane z pudełka schowanego w sypialni rodziców fotografie, których ojciec nigdy nie szukał. No i pierścionek z turkusem, podobno jedyną pamiątkę po babci z Polski.

Szybko pożegnał się z ideą znalezienia przodków i zamiast szukać swoich korzeni, po prostu zwiedzał okolicę. Ulice Rzeszowa wyglądały całkiem zwyczajnie. Prawie jak w Ameryce, gdyby nie ta pogoda! Centrum handlowe, jakich wiele widział w Stanach, ulice w centrum miasta równe, porządne, w dalszych dzielnicach czasem dziurawe, jak wszędzie. Może tylko bloki miały inne przeznaczenie, niż przypuszczał. Nie były lokalami socjalnymi dla nieradzącej sobie z życiem biedoty, tylko całkiem kosztownymi mieszkaniami klasy średniej.

W barach traktowano go raczej z dystansem. Może to i Europa, stary kontynent, tolerancja i te sprawy, w rzeczywistości jednak nikomu tu nie przeszkadzało uwłaczające słowo „Murzyn”. Siadał sobie najczęściej gdzieś z boku i przysłuchiwał się niezrozumiałej, dość śpiewnej mowie. Nic nie rozumiał, choć przecież bywało, że ojciec zwracał się do niego po polsku.

Robertowi zasmakowały w Polsce lokalne wyroby browarnicze, nigdy jednak nie przekroczył dwóch piw. Co z tego, że był na przepustce. Co z tego, że w cywilnych ciuchach. Kolor skóry wykluczał anonimowość. Zachowywał się więc co najmniej poprawnie. Uśmiechał się, dziękował skinieniem głowy, nauczył się też szeleszczącego „ciąkujem”. No i odetchnął z ulgą, że wbrew temu, co mówiła mama, niedźwiedzie jednak nie spacerowały tu po ulicach.

Jedynie wódka, zgodnie z opowieściami Zuri, rzeczywiście była dobra i mocna. Przekonał się pewnego dnia, gdy zajrzał na chwilę do kantyny. Spodziewał się biesiady w towarzystwie standardowego tria panów na „J”, okazało się jednak, że koledzy spożywali w niewielkich kieliszkach przeźroczysty, zmrożony płyn. Twierdzili, że wyborny, i Robert był skłonny się z nimi zgodzić. A na pewno błyskawiczny. Rozochoczone, zaczerwienione twarze, poluzowane kołnierzyki, lekko beładna mowa dotyczyły wszystkich, którzy spędzili tu więcej niż dwadzieścia minut.

Robert nie zamierzał należeć do tej grupy. Miał ochotę na wafelka. To zdumiewające, jak polubił ten w sumie prosty cukierniczy wyrób. Podobno Polacy produkowali go już za czasów komuny, do dzisiaj przetrwał i miał się całkiem dobrze. Ktoś mu opowiadał, że czterdzieści czy pięćdziesiąt lat temu był przedmiotem pożądania, ściśle reglamentowanym i dostępnym pręcej w Irlandii niż w Polsce. Trudno było w to uwierzyć. Teraz Prince Polo było w każdym kiosku i barze, co Robertowi całkiem odpowiadało.

Usiadł na chwilę z kolegami, odmówił wprawdzie drugiego kieliszka „najlepszej wódki, jaką mógłbyś sobie wyobrazić”, ale pośmiał się ze sprośnych dowcipów. Sam nawet jeden opowiedział, choć jego *joke* nie miał preferowanego w tym akurat gronie seksualnego kontekstu.

- Jaka jest różnica między mądrym Polakiem a jednorożcem?
- Nie ma. Żadne nie istnieje.

Fakt, że dowcip był w sumie rasistowski, rozbawił kolegów najbardziej. A Robert opuścił podchmielone towarzystwo, podszedł do lady i poprosił o pięć wafelków. Po raz kolejny przyjrzał się barmance, o której niegdyś tak żywo dyskutowali koledzy.

„Cycata?” – pomyślał. „Co za bzdura. Raczej w sam raz. Szczuplutka, właściwie chuda jak aktorka z czerwonego dywanu, może dlatego wydaje się biuściasta. Poza tym całkiem w porządku. Ładna, choć nie powalająca. Tylko te włosy. Włosy ma naprawdę niezemskie”.

Zabrał słodczyce i wyszedł z kantyny, zakładając kaptur jeszcze w pomieszczeniu. Wprawdzie marznący deszcz na chwilę ustał, za to wiało jak na Pistol River w Oregonie.

Robert zamierzał trenować silną wolę i zjeść tego wieczoru tylko jednego wafelka Prince Polo, pozostałe zostawiając sobie na kolejne dni. A by zadośćuczynić tej *guilty pleasure*, obiecał sobie, że poćwicz dłużej. Wyciśnie więcej, wykona dodatkowe powtórzenia całego treningu. Co można było robić w bazie na przepustce?

Zjedzenie wafelka, choć się nim delectował, trwało mniej niż dwie minuty.

– A teraz dwie godziny pocenia – powiedział do siebie i przebrał się w treningowe ciuchy. Sięgnął po torbę, narzucił kurtkę i znów wyszedł na zewnątrz. Wiatr już nie był tak ogłuszający, choć ciągle jeszcze targał wszystkim, co napotkał. Robert dotarł do siłowni w ciągu kilku minut i skupił się na treningu.

Ktoś wchodził, wychodził, coś opowiadał, a on zajął się liczeniem powtórzeń.

Kiedy wychodził po treningu, był późny wieczór. Właściwie noc. Wiatr już nie dokazywał, ledwie szeptał coś między budynkami, za to niebo stało się świdrująco granatowe. Upstrzone gwiazdami.

„Pewnie gdzieś na zadupiu, poza bazą, gdzie nie ma żadnych świateł, widać więcej gwiazd” – pomyślał Robert. „Zupełnie, jakby baza nie była na zadupiu”.

Postać chwilę, wsłuchując się w otaczające go dźwięki. W bazie nigdy nie zapadała cisza. Samoloty startowały o różnych porach. Mechanicy odpalali kontrolnie silniki. Czasem na krótko, a czasami nawet na kilkanaście minut. Wciąż coś stukało. Pracowały narzędzia, maszyny... Nawet zimą, kiedy hangary były pozamykane, przestrzeń buzowała dźwiękami. Do tego dochodziły głosy. Wciąż ktoś się przemieszczał. Wołał kogoś, rozmawiał przez komórkę. Otwierały się drzwi kantyny, buchał stamtąd obłok pary, opary alkoholu, gwar głosów unosił się w mroźne powietrze i szybował do granatowego nieba.

Robert ruszył powoli do swojej kwatery. Przerzucił torbę przez ramię i naciągnął kaptur, bo czuł zimno kłapiące go w lekko spoconą głowę. Uśmiechnął się pod nosem, słysząc głosy zza rogu.

„Jakaś napalona para?” – pomyślał i uśmiechnął się pod nosem do siebie.

Po kilkunastu krokach jednak się zatrzymał. Nie słyszał już głosów kochanków, zastanowił się jednak. Te dźwięki... Czy na pewno brzmiały jak miłosne uniesienie? I kto chciałby bzykać się na mrozie, skoro sto metrów dalej stał budynek z kwaterami?

Robert zawrócił.

Szedł teraz cicho, odstawił ręce od tułowia, by nawet kurtką nie zaszeleścić, choć to i tak było bez sensu. Tutaj przecież ciągle coś brzmiało.

Z każdym krokiem uświadamiał sobie, że słyszał coś innego. Wyobrażał sobie miłosne igraszki, bo te były fajne. Sympatyczne. Ludzkie. Tymczasem słyszał tylko kobiecy głos. I ten głos nie wyrażał zachwytu.

– Skurwielu, zostaw mnie – mówiła dziewczyna, na szczęście, po angielsku, choć jej ton nawet i po polsku byłby jednoznaczny. – Odpierdol się!

– Nie bądź zła, króliczku.

Robert rozpoznał ten głos. Odrzucił torbę i natychmiast zaczął biec. Nawet nie poczuł, jak spięły się wszystkie jego mięśnie, natychmiast przechodząc w automatyczny tryb działania. A to było wyćwiczone – zarówno na treningach grupowych, jak i podczas jego indywidualnie wypoconych godzin. Robert w takich momentach stawał się maszyną, w której funkcjonował wyłącznie moduł działania. Dopadł kolegi, który nawet nie usłyszał, że ktoś się zbliża. Robert po prostu wystawił pięść, stykając ją ze skronią kumpla. Wydawało się, że nie włożył w to siły.

Dziewczyna patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Oddychała szybko przez lekko rozchyłone usta.

– Masz jakąś kurtkę? – zapytał, bo dziewczyna była ubrana jedynie w granatową sukienkę w kropki. I fartuszek barmanki. – Odprowadzę cię.

Kiwnęła tylko głową. Wejście do kantyny znajdowało się zaledwie kilkanaście metrów dalej, wydawało się jednak, że znajduje się w innym świecie.

Weszli bocznym wejściem, wewnątrz dziewczyna usiadła ciężko na metalowej beczie po piwie.

– Chciałam wyjść wcześniej – powiedziała w końcu. – Koleżanka została na zmianie, ja tylko wyszłam wyrzucić śmieci, a gdy wracałam... Jestem Natasza. – Wyciągnęła do Roberta rękę. – I dziękuję za ratunek.

– Robert – odpowiedział delikatnym uściskiem dłoni. Wydawało mu się, że dziewczyna jest tak krucha, że bez szczególnej ostrożności po prostu zmiażdży jej dłoń. – Piękne imię.

– Co z nim będzie? – zapytała, wskazując brodą miejsce, gdzie leżał jej napastnik.

– Zależy od ciebie – odparł Robert. – Nic, jeśli po prostu ubierzesz się i wrócisz do domu. Zmarznie, obudzi się, wróci na kwaterę. Rano obudzi się opuchnięty i będzie się zastanawiał, co robił w nocy. Jeśli natomiast ubierzesz się, pójdziesz do baraku dowództwa i opowiesz, co cię spotkało, wypieprzą go. Oczywiście, oficerowie dawno już grzeją tyłki w swoich wygodnie urządzonej apartamentach, ale dyżurny jest obecny przez całą dobę.

– Albo? – zapytała Natasza wyraźnie czując, że Robert nie skończył.

– Albo teraz wyjdę do niego i go obudzę. Nie będzie to miła pogawędka, więc wolę, byś jej nie słyszała. Ty się w tym czasie ubierzesz, on będzie jutro niedysponowany, a ja odprowadzę cię do domu.

– Zwykle o tej porze odwozi mnie do domu kierowca, takim gazikiem, dziś chciałam zdążyć na ostatni autobus, ale już odjechał..

– Więc ubierz się, a ja zaraz wrócę i znajdziemy ci jakiś środek transportu.

Natasza dopiero w niewielkiej łazience na zapleczu dostrzegła, jak bardzo drżą jej ręce. I poczuła lodowaty chłód, który sięgał aż do samego wnętrza. Usiadła, bo trudno jej było ustać w miejscu.

Gdy w końcu wyszła, natknęła się na koleżankę.

– Nie chciałaś pojechać wcześniej? – zdziwiła się zmienniczka.

– Chyba zjadłam coś nieswieżego – skłamała Natasza.

Koleżanka spojrzała podejrzliwie, wzruszyła jednak ramionami i dopytała:

– Ten mięśniak czeka na ciebie?

– Tutaj są same mięśniaki – odpowiedziała Natasza, czując słabość w kolanach.

– Taa... – odburknęła koleżanka. – W każdym razie zabieraj kochasia i spadajcie. Muszę pozamykać.

Natasza wyszła do sali barowej i skinęła głową Robertowi. Siedział przy pustym stoliku z rękami równolegle ułożonymi na blacie, całą swoją sylwetką wyrażając uporządkowanie. „Musi być fajnym, stabilnym facetem” – pomyślała dziewczyna. „Takim... symetrycznym”.

Wyszli razem z baru, Robert w ciasno zaciśniętym kapturze, Natasza omotana szalikiem i w wielkiej, kolorowej czapce. Gdyby zamierzali poszukać jakiegoś transportu, nie byłoby to szczególnie trudne. Robert doskonale wiedział, gdzie jest garaż, w którym zastałby zapewne kierowców gotowych wskoczyć za kierownicę. Tak jednak się złożyło, nie wiadomo dlaczego, że skierowali się do bramy głównej, skąd do jej domu były cztery kilometry. Nie uzgodnili tego, po prostu szli szybkim, równym krokiem.

Noc stała się mroźnie przezroczysta. Natasza pomyślała, że gwiazdy miałyby dużo do opowiedzenia.

– Niemi świadkowie każdego czasu – wyszeptała po polsku.

– Słucham?

Zaśmiała się cicho.

– Gwiazdy mogłyby opowiedzieć nam historię świata.

– I to pewnie ciekawiej niż w podręcznikach – dodał, uniósłszy głowę i spojrzawszy w niebo.

– Zapewne.

– Z każdym krokiem jest ich coraz więcej.

– Słucham? – Natasza nie zrozumiała.

– Idziemy plecami do światła. Przed nami czerń. Miasto jest dalej. Im ciemniej na ziemi, tym więcej gwiazd widać.

Nie rozmawiali o niczym szczególnym, staranie omijając wydarzenia tego wieczoru. Nawet nie zauważyli, kiedy minęła im droga.

– Chyba wszyscy już śpią u ciebie – skomentował Robert, gdy stanęli pod domem Nataszy.

Rzeczywiście, w oknach było ciemno, co Natasza przyjęła z ulgą. Oznaczało to, że ojciec spał. Najprawdopodobniej.

– Dziękuję – powiedziała na pożegnanie, dodając do tego ciepły uśmiech.

– Drobiazg.

– Dla ciebie może i tak...

– Wpadnę jutro do kantyny. Będiesz? – upewnił się.

– Wolne mam dopiero w piątek.

– Do zobaczenia – odpowiedział.

Stał jeszcze dłuższą chwilę, by się upewnić, że weszła do domu, nie doczekał się jednak rozświetlonych okien.

„Pewnie pokój ma z drugiej strony” – pomyślał.

Natasza obserwowała go dyskretnie zza brudnej firanki. W życiu nie chciałaby go tu zaprosić. Pod żadnym pozorem. Choć to w zasadzie całkiem miły chłopak...

Robert w końcu ruszył w drogę powrotną. Zerknął na zegarek. Zapadła już głęboka noc, a następnego poranka dzień zaczynał się dla niego o piątej trzydziści. Ruszył najpierw truchtem, a potem spokojnym, miarowym biegiem. Przymknął oczy, uspokoił oddech, nogi pracowały w równym, usypiającym rytmie. Takie bieganie zawsze było dla niego oczyszczające, niczym medytacja. Ale tego wieczoru czuł, że rozpiera go energia, z którą nie bardzo wiedział, co zrobić. Pobiegł szybciej niż zwykle.

ROZDZIAŁ 7

Umówiły się w mieście, niedaleko rynku, w kawiarni z widokiem na zabytkowy ratusz.

– Jak myślisz, powinnam trochę się podszkolić w zabytkach Rzeszowa, prawda? – Natasza rozejrzała się wokół. – Mieszkam tu już kilka lat, a wciąż niewiele wiem o tym mieście.

– Zamierzasz robić za lokalnego przewodnika, pięknie – zamruczała rozkosznie Karolina. – Miasto, powiat na południowo-wschodnim krańcu Polski, około dwustu tysięcy mieszkańców. Mamy park naukowo-technologiczny i specjalną strefę ekonomiczną. Mówią na podkarpackie, że to polska dolina lotnicza. Prawa miejskie od czternastego wieku. W czasie rozbiorów ważny ośrodek w Galicji, czyli kultura austro-węgierska odcisnęła na mieście i obyczajach mieszkańców spory ślad. Mamy kilka zabytków, ale nic spektakularnego. Najbardziej chyba słyniemy z pomników, znajdziesz je w Rzeszowie na każdym kroku...

– A Pałac Lubomirskich? Kamienice na rynku? Ratusz? Klasztor?

– No widzisz, teoretycznie to moje miasto, ale przypuszczam, że dowiedziałabym się od ciebie kilku ciekawych rzeczy na jego temat.

Natasza się zaczerwieniła, Karolina zaś wybuchnęła serdecznym śmiechem.

– Po prostu wpadł ci w oko jakiś przystojny Jankes. Co nie jest niczym nagannym. Jacy oni są? Poza tym, że trajkoczą, jakby mieli kluski w gębie. Dogadujesz się?

– Bez problemu. Pani Grygoruk dała nam taką szkołę, że radzę sobie z całkiem trudnymi zwrotami.

– Bo ty zawsze zakuwałaś, nawet już po skończeniu szkoły.

– Lubię rozumieć. – Natasza wzruszyła ramionami.

– A tak poza tym, to jacy są?

Natasza zastanowiła się chwilę. Przyglądała się przyjaciółce, przygryzając wargę. W końcu westchnęła i zaczęła mówić:

– Właściwie wszyscy są przystojni. Wyćwiczeni, silni, zdyscyplinowani. Zwykle. Chyba że zde-
rzą się z kieliszkiem polskiej czystej, wtedy ich wewnętrzna równowaga zostaje mocno zachwiana. Nie
bardzo radzą sobie z wołaniem kieliszka: „weź mnie”. – Zamilkła i znów przygryzła wargę.

– Co jest? – Karolina bezbłędnie rozpoznawała nastroje przyjaciółki.

Natasza opuściła wzrok i skubała skórę przy paznokciu.

– Opowiadaj! – zażądała kategorycznie Karolina.

– Stojąc za barem, poznaję niezbyt karne oblicze amerykańskiej armii. Ostatnio wpadłam w oko
jednemu... Wychodziłam już z pracy, wyrzucałam ostatnie śmieci, kiedy mnie złapał i...

– Ale... Zgłosiłaś to oczywiście? Nic ci nie zrobił, prawda? Powiedz, że nic...

– Nie zdążył – spokojnie odpowiedziała Natasza. – Z opresji, niczym rycerz na białym koniu, wy-
bawił mnie inny żołnierz. Dał tamtemu prawym sierpowym czy jak to się tam mówi, nie znam się na
sztukach walki. To nie był boks, tylko... jakby taniec. On go po prostu dotknął, delikatnie, jakby piesz-
czotliwie, a ten upadł na ziemię. Tak po prostu. A potem w mroźną noc mój wybawca odprowadził mnie
piechotą do domu.

– Ups. – Karolina uśmiechnęła się znacząco. – Przeszliście w środku nocy cztery kilometry?

– Spóźniłam się na ostatni autobus, a kierowcę, który zwykle podrzuca mnie do domu, odwołałam
już wcześniej. Miał chłopak randkę, co mu będę żałować.

– Co na to twój ojciec? Ucieszył się z adoratora?

– Spał, oczywiście. Poza tym przecież nie zaprosiłam Roberta do domu!

Karolina wywróciła oczami.

– Robert, ładne imię. I co zamierzasz dalej?

– Dzisiaj przespać się u ciebie, jeśli pozwolisz.

– Nigdy nie mam nic przeciwko, doskonale o tym wiesz. A ojciec?

– Pije jeszcze więcej niż zwykle, choć do niedawna wydawało mi się to niemożliwe. I ma agre-
sywną fazę.

– Skąd on bierze kasę na wódkę? – Karolina pokręciła głową.

Natasza spojrzała z politowaniem.

– Od dawna nie pije wódki. Jest dobrze, jeśli któryś z kamratów załatwi bimber. Perfum w domu
żadnych nie zostawię, myślę, że nawet środek do dezynfekcji by się nie ostał, gdyby śmierdział alkoholem.

– Wiem, że to głupie, ale...

– Ostatnia próba terapii – Natasza doskonale wiedziała, co Karolina chce powiedzieć – taka na pełnym wypasie, z zaszyciem, zakończyła się tym, że wrócił do domu, rozwalił krzesło, po czym poszedł do sąsiadów i sprzedał ostatnią filiżankę po matce. Za dwie butelki piwa i flaszkę bimbru. Następnego dnia sąsiadka powiedziała mi, że filiżanka jest moja i czeka u niej na lepsze czasy.

– Skoro taka dobra, dlaczego dała mu alkohol? – Karolina uniosła lekko głos.

– Bo była sama w domu i jej chałupę ojciec też mógłby zdemolować, chociaż szybko wybić. Ja się jej nie dziwię.

– Swoją drogą, twoi bracia to szuje.

Natasza wzruszyła ramionami.

– Jurij czasami zadzwoni z drugiego końca Rzeszowa. Ma swoje problemy.

– Doprawdy?

– Dzieci, żona.

– Fantastyczne usprawiedliwienie.

– I on, i ja wiemy, że nie jesteśmy w stanie ojcu pomóc. Tata po prostu chce pójść za mamą, bez niej nie istnieje. Kochali się tak bardzo, że tęsknota go zabija.

– Chcesz mi powiedzieć, że twój ojciec zamienia twoje życie w piekło z miłości do swojej zmarłej żony? I to ma być wytłumaczenie?

Natasza znów wzruszyła ramionami.

– Nic nie usprawiedliwia tego, co robi mój ojciec. Woła o pomoc, ale nie chce jej przyjąć. Może to depresja, może autodestrukcja, a na pewno uzależnienie. On po prostu chce odejść.

– Mógłby to robić w mniej kłopotliwy dla otoczenia sposób.

– Każdy ma swoją metodę na cierpienie.

– Szczególnie na zadawanie go innym.

– Wiesz... – Natasza zastanowiła się chwilę, przygryzając swoim zwyczajem wargę. – Nienawidzę jego słabości. Rozpaczam na widok naszego domu, który zmienił się w gnojowisko. Buntuję się przeciwko temu, że żałoba ojca jest moim poniżeniem. Ale to ciągle mój ojciec i nie chcę o nim mówić źle. Chcę go pamiętać takim, jaki był kiedyś. We Lwowie. I wolę się nie zastanawiać nad tym, że nie ma już ani mojego miasta, ani matki, ani tamtego ojca. Zwariuję, jeśli na tym będę się skupiać.

– Moja zawsze mądra przyjaciółka.

– A teraz w swojej nieprzeniknionej mądrości domagam się wyjaśnień. Unikasz tematu, jak tylko możesz, nie udawaj. Rozumiem, że nie nosisz jeszcze sukienek rozszerzonych w pasie, ale nie zbywaj tematu.

– Rodzice jeszcze nie wiedzą. Na razie nie tyję, rankami wprawdzie rzygam jak opętana, ale tak do jedenastej. Potem małe się uspokaja i mogę wypić szklankę soku pomarańczowego. Świeżo wyciskanego, z farfocłami. Tylko taki mi wchodzi. Na razie innych zachcianek brak. Po prostu nic innego nie jem, tylko ten sok tuż przed południem.

– Cudownie – odparła Natasza, świdrując przyjaciółkę spokojnym wzrokiem.

Karolina wywróciła oczami.

– Zawsze musisz to robić, prawda?

– Niby co?

– Przewiercać mnie tymi swoimi błękitnymi oczami, jakbyś mi duszę niezapominajkami sprzątała.

– Słucham?

– Wymiatasz z kątów mojej duszy wszystko to, co tam upchnęłam, żeby więcej tego nie oglądać. Wystarczy, że tak popatrzyś. Co mam ci powiedzieć? Chłopak był cudowny.

– Był?

– Oczywiście. Zawsze musisz usłyszeć to, co najważniejsze. Miałaś skupić się na tym, że cudowny.

– Jestem blondynką, nie kretynką.

– Kiedy skrzyłam nogę, pomagali mi oczywiście rodzice, ale sama wiesz. Mieszkają niedaleko, ale nie na miejscu. Poza tym mama ma wyjątkową umiejętność wchodzenia w moje życie w lekko zabłoconych butach. A gdy próbuję protestować, ma jeden argument: „Jestem twoją mamą i mi wolno”. Tak, wiem, oczywiście, że dużo byś dała, żeby usłyszeć, jak twoja mama ci to mówi, kiedy jednak leżysz z nogą unieruchomioną na oparciu łóżka i boli cię wszystko, głównie od leżenia i nicnierobienia, nie chcesz odpowiadać na pytania, dlaczego majtki w twojej szufladzie są nieposkładane, prawda? Nie potrzebujesz także diagnozy, że jesteś niezorganizowana i być może na skraju depresji, bo w twojej kuchen-

nej szafce znajdują się dwa opakowania przeterminowanych płatków owsianych, z których tylko jedno są otwarte, jednak spożyte zaledwie w jednej trzeciej. Tak, spożyte, tak zechciała się wyrazić moja rodzicielka. Kocham ją, uwielbiam i wszystko inne w zakresie szczerze odczuwanych powinności dobrej córki, ale też doprowadza mnie czasami do szału. Dziwisz się więc, że któregoś dnia próbowałam sama zejść do Żabki? Miałam ochotę na twaróg, świeżą bułkę, taką wiesz, super niezdrową, pełną węglowodanów, glutenu i pewnie glutamianu lub innych polepszaczy, z grubą warstwą tłustego masła wypełnionego zatykającym żyły cholesterolem. I do tego biały ser, na nim, na dokładkę, tłusty majonez, a to wszystko posypane drobno posiekanym szczypiorkiem. Takie miałam marzenie, wyobrażasz sobie, że opowiedziałabym o tym mojej mamie?

Natasza zaczęła się śmiać, a Karolina kontynuowała:

– Dostałabym na talerzu dwie pajdki chrupkiego chleba przypominającego płytę paździerzową, posmarowanego margaryną wzbogaconą o Omega 3 i witaminę D3. Z moimi kulinarnymi marzeniami zgodny byłby twaróg i szczypiorek, tylko ten ostatni nie byłby świeży, a z zamrażalnika, bo przecież „po to latem tak pracowałam w ogródku, żebyśmy teraz mieli”. Rozumiesz moją motywację, prawda?

– Wszystko rozumiem.

– Założyłam zatem na piżamę spódnice, a na górę sweter, okutałam się kurtką, chwyciłam kule i postanowiłam poskakać schodami wdzięcznie niczym żabka nadrzewna. Rzekotki chyba jednak są zgrabniejsze, bo zwałam się już z czwartego stopnia, niczym zwinięty w kulkę miś panda turlający się po zboczu. Właściwie powinnam sobie skrócić albo może i połamać pozostałe kończyny, a najlepiej mózg. Może bym odrobinę zmądrzała, bo coś wyraźnie mi w głowie nie stykało. Leżałam sobie malowniczo u podstawy schodów, jakbym się wymościła na wycieracze sąsiadki z niższego piętra. Przyznam ci, że jest średnio wygodna. Z naprzeciwka wyszedł chłopak. Wynajmował tam mieszkanie. Był bardzo przystojny.

– Z czasu przeszłego wnioskuję, że już nie mieszka.

– No już nie. – Karolina wydeła usta.

– Przystojniak miał jakieś imię?

– Imię to on ciągle ma... Sebastian.

Zapadła cisza, a Natasza patrzyła na przyjaciółkę wyczekująco.

– To jest ta twoja upierdliwa metoda – sarknęła w końcu Karolina. – Patrzeć w milczeniu. I czekać, czekać. Do licha, człowiek nie jest w stanie wytrzymać tego twojego patrzenia!

– To mówże.

– Sebastian był szarmancki, uprzejmy, no i w ogóle.

– Ja myślę, że w szczególności „w ogóle”.

– No.

– A dlaczego nie chciałaś o nim mówić?

– Bo cały czas, jak go wspominam, to...

– Dobra, widzę. Nie rycz. Zaproponowałabym kropelkę wzmocnienia, ale w twoim stanie to raczej niewskazane.

– Nie piję, nie palę i nie ćpam.

– Szczególnie to ostatnie?

Karolina wzruszyła ramionami.

– Wiesz, na razie jeszcze nie martwię się tym, że będę samotną matką. Po prostu... fajnie nam było. Zabujałam się.

– Ale... ile razy się widzieliście?

– Codziennie. Kilka razy dziennie. Przez trzy tygodnie.

– Nie będę pytać, jak szybko poszliście do łóżka, bo i tak wiem, że niemal natychmiast. A w ciąży zachodzi się, wbrew obiegowym opiniom nastolatek, od pierwszego razu.

– Ha, ha.

– Nie rycz, głupia... Albo popłacz sobie. Niech ci ulży. Choć nie rozumiem, dlaczego płuczesz oczy po gnojku, który nie zainteresował się faktem, że będzie ojcem.

– Nie wie, że jestem w ciąży.

– To może mu powiedz?

Brak odpowiedzi zaniepokoił Nataszę.

– Nie możesz mu powiedzieć? Nie masz z nim kontaktu? – W końcu się domyśliła. – Na pewno da się go namierzyć.

– Nie ma na niego żadnych namiarów. Już pytałam, sprawdzałam. Wynajmował na krótko, mniej

niż miesiąc. Kasa z ręki do ręki, bez żadnych formalności. Uprzedzał mnie, że wyjeżdża. Przyszedł się pożegnać, wypiliśmy po kieliszku wina na pożegnanie, a nawet... no wiesz. Też na pożegnanie. No i zostawił pamiątkę. Chciał mi zapisać swój numer telefonu, ale stwierdziłam, że miło było i tyle. Więc wyjechał.

– Ustalimy, kto to był. Kogoś znał. Gdzieś bywał. Coś, cokolwiek znajdziemy. Człowiek to nie widmo, nie można tak po prostu zniknąć. Tylko nie rycz. Nastrój ciężarnej ma wpływ na rozwijający się płód, wiesz o tym?

Karolina spojrzała na przyjaciółkę skrzywiona, a Natasza zaproponowała:

– Na to konto coś zamówmy. Bezkofeinowe latte na pojedynczym espresso, z syropem waniliowym, bitą śmietaną i piankami. Będzie jak znalazł na poprawę nastroju.

– Ani się waż. Nie rzygam popołudniami tylko dlatego, że nie jem.

– Musisz jeść. Dla siebie i dziecka.

Karolina wzruszyła ramionami.

– A tam. Każda ciąża jest inna. Taką mądrość sprzedał mi lekarz. Chodźmy do domu.

Ruszyły powoli ulicą, Natasza chwyciła przyjaciółkę za rękę.

– Jestem jeszcze w bardzo wczesnej ciąży, nie trzeba mnie holować.

– Już ja bym o ciebie zadbała.

– *À propos*. – Karolina spoważniała. – Dbaj o siebie. Tak lekko przeszłaś do porządku dziennego nad tym... To była przecież próba gwałtu.

– Jestem bezpieczna.

– Dzięki temu... Robertowi?

Natasza kiwnęła głową.

– Chciałabym go kiedyś poznać.

– Pewnie się uda.

– W przyszłym tygodniu? No co? – kontynuowała Karolina, widząc minę Nataszy. – Ciebie trzeba czasem przycisnąć.

– Daj mi czas. Nie chcę być wredna, ale sama sobie go nie dałaś.

– To fakt. Ale jesteś okropna, wypominając mi to. Odsuń się ode mnie.

– To idź do domu, a ja wejdę do Żabki. Skoro nic nie jesz, masz zapewne pustą lodówkę. A ja chcę zjeść śniadanie, chociażby symboliczne.

Karolina poszła dalej, udając naburmuszoną. Natasza, rozbawiona, weszła do sklepu i zrobiła drobne zakupy. Dwie pszenne bułki z ziarnami, dwa serki do smarowania zamiast masła, po blisterze wędliny i żółtego sera, ketchup. Po namyśle wzięła jeszcze butelkę soku jabłkowego i coli.

Wyszła ze sklepu, wciąż się uśmiechając. Machała torbą z zakupami jak dziewczynka siatką z miśmiem. Weszła do klatki schodowej, otwierając drzwi domofonowym kodem. Dzwoniła do mieszkania, które wynajmował Sebastian, kilkakrotnie. Czekając, aż ktoś otworzy, odstawiła siatki i szukała kluczy do mieszkania Karoliny. Przy okazji, z lekko ironicznym uśmiechem, przyglądała się niewygodnej wycieraczce i wyobrażała sobie leżącą tutaj Karolinę. Klucze, jak zwykle, schowały się na samym dnie torby. Gdy w końcu je znalazła, otworzyły się drzwi mieszkania.

Natasza podniosła się znad torby, widząc wychodzącą z mieszkania dziewczynę.

– Cześć – powiedziała swobodnie.

– Cześć.

– Mieszkasz tutaj?

Dziewczyna spojrzała za siebie, na zamknięte już drzwi i klucze trzymane w ręku.

– Tak – odpowiedziała krótko.

– *Sorry* za to pytanie – Natasza postanowiła wykorzystać sytuację – po prostu lokatorzy w tym mieszkaniu zmieniają się tak często, że trochę nie nadążam. – Uśmiechnęła się.

– A znasz poprzednich? – zainteresowała się dziewczyna.

– Mieszkał tu... Sebastian.

– Świetnie. Zostawił jakieś szpargały. Może mu odeślesz?

– Nie mam adresu. Aż tak dobrze się nie znaliśmy. – Natasza uśmiechnęła się niepewnie. – Ale może w tych szpargałach są jakieś dane?

– Może. Podrzucę ci je później. Teraz muszę... – Spojrzała wymownie na zegarek.

– Oczywiście. Tylko nie mnie. Mojej przyjaciółce. Mieszka dokładnie piętro wyżej. Karolina chyba znała Sebastiana.

– Chyba?

– Na pewno. – Natasza się uśmiechnęła. – Opowiadała mi o nim. Będzie *happy*, jeśli do niej wpadniesz.

– Jasne. Jestem Anka. To znaczy Hanna, ale nie lubię, jak tak się do mnie mówi.

– Ja jestem Natasza, na górze mieszka Karolina.

– Mówiłaś. Lecę.

Natasza słuchała, jak dziewczyna tupie ciężkimi glanami, zbiegając po schodach. Sama powoli weszła jedno piętro w górę i otworzyła kluczami drzwi mieszkania Karoliny.

Panowała cisza. Natasza odstawiła zakupy na blat w kuchni. Schowała serki i wędlinę do lodówki, pieczywo do chlebaka. Wstawiła wodę na herbatę. Weszła do łazienki.

„Może Karolina się położyła?” – pomyślała.

Weszła do większego pokoju. W niczym jej, oczywiście, nie zaskoczył. Jak zwykle, pierwsze, co dostrzegła, to stolik pod oknem. Niegdyś, jeszcze w mieszkaniu rodziców Karoliny, stał na nim ruski telewizor. Rubin. Pewnego dnia zapłonął. Dosłownie. Za komuny w Polsce dostępne były tylko dwie marki: polski Jowisz i ruski Rubin. Ten ostatni stanowił obiekt pożądania, bo był dwa razy tańszy od polskiego wyrobu, ale za to miał wadę konstrukcyjną. Jedna z płytek wybuchała, gdy urządzenie pracowało zbyt długo. U rodziców Karoliny stało się tak podczas zakrapianej imprezy, co wzbudziło zachwyty biesiadujących. Ugasili pożar w zarodku, traktując go jako zaplanowane przez gospodarza fajerwerki, a opowieść weszła do historii rodziny. Nawet Natasza ją знаła.

Stolik o zaokrąglonych rogach należał do ulubionych mebli Karoliny, dlatego zabrała go do swojego nowego mieszkania. Teraz stała na nim niemal nowa plazma o dużej przekątnej. Była włączona. Kanał National Geographic opowiadał o kopulacji afrykańskich lwów.

Karolina leżała pomiędzy fotelem a stolikiem pod telewizor, na nowiutkim dywanie w geometryczne wzory. Oddychała, ale zanim Natasza to sprawdziła, już wezwwała pogotowie.

ROZDZIAŁ 8

– Nic nie wiedzieliśmy o żadnej ciąży! – Teresa Grzelak siedziała przy łóżku córki i ścisnęła w rękę apaszkę.

Przyjechali zaraz po telefonie Nataszy. Szpital znajdował się dość daleko od ich domu, jednak dotarli na miejsce w ciągu dwudziestu minut. Ojciec Karoliny chodził teraz nerwowo po korytarzu, a Natasza siedziała obok kobiety, którą znała od lat i bardzo lubiła. Wiele razy bywała w jej kuchni, jadła świeżo usmażone placki ziemniaczane i chłonęła atmosferę normalności. Właściwie nie działo się nic szczególnego. Ot, zmywanie patelni i niezliczonych talerzy, utyskiwanie na bałagan w pokoju córki, opowieści o ciekawskiej sąsiadce, narzekanie na zbyt wysoką ratę... Zwyczajność, której tak bardzo jej brakowało.

A teraz Natasza widziała w oczach matki przyjaciółki strach oraz to, co całkiem jej się nie podobało. Niezgodę. Nie chciała się teraz nad tym zastanawiać.

– Co teraz będzie? – zapytała kobieta.

– Teraz Karolina wyzdrowieje – odpowiedziała spokojnie Natasza.

– Ale co potem? Co potem?

Natasza miała wrażenie, że Teresa zaraz zacznie się kołysać niczym porzucony dzieciak w napa-dzie choroby sieroczej.

– Co ma być potem? Będzie zdrowa.

– A... to?

Karolina zamruwała. Od momentu, gdy Natasza znalazła ją w mieszkaniu, tylko kilkakrotnie udało się nawiązać z nią kontakt. Rozmawiała z ratownikami, zamieniła z Nataszą kilka słów jeszcze przed przyjazdem rodziców. Potem zasnęła. Lekarz twierdził, że nie podano jej żadnych leków, bo mogłyby zaszkodzić dziecku. A jednak Karolina spała, jakby była na prochach.

Teraz się w końcu obudziła.

– Mama? – Uśmiechnęła się delikatnie.

– Córeczko – odpowiedziała matka odruchowo.

– Czy ja...

– Nie – wtrąciła się Natasza. – Tylko zasłabłaś. Ale będziesz musiała teraz leżeć... może przez kilka miesięcy.

– Cięża jest zagrożona? – Karolina wyglądała na przejętą. Natasza pokiwała głową i westchnęła.

– To będę leżeć – odpowiedziała Karolina poważnie.

– A może to szkoda? – zapytała jej matka.

– Słucham? – Głowy Nataszy i Karoliny jednocześnie odwróciły się w jej stronę.

– Kto jest ojcem?

– Mamo... – Karolina westchnęła.

– No kto? Nikogo nam nie przedstawiłaś. Co ze ślubem? Bękartą chyba nie będziesz chować? To przecież hańba! Nie zrobisz rodzinie takiego wstydu. Na pewno. Jesteś dobrą córką, na pewno nam tego nie zrobisz. Ojciec i ja...

– Mamo, naprawdę? Leżę w szpitalu, a ty mi opowiadasz o wstydzie?

– Ze szpitala przecież wyjdiesz, ale lepiej, żeby bez brzucha. Chyba że szybko nam się uda zorganizować... Właściwie dobrze, niech i tak będzie. Zadzwoń do niego. Niech przyjedzie tutaj, nawet i do szpitala. Właściwie dlaczego go tutaj nie ma? Powinien cię wspierać. Niech przyjedzie i wtedy uzgodnimy wszystkie szczegóły. Ślub w naszej parafii, oczywiście. Suknię zamówimy u pani Bożenki, taką na gumce, żeby rosła razem z brzuchem. Wszystko załatwimy, tylko niech on tu przyjedzie. Na początek to mu powiem do słuchu. Tak się nie robi, żeby najpierw brzuch, potem ślub, ale niech już będzie. Skoro tak musi być. Wolisz wesele w restauracji? Nie, nie tak. Wynajmiemy salę weselną, może Stary Młyn, co ty na to? To wprawdzie piętnaście kilometrów od Rzeszowa, ale...

– Mamo! – Karolina oparła się na łokciach. – Co ty wygadujesz?

– Leż. – Matka przyłożyła rękę do ramienia córki i lekko ją popchnęła. – A ja się zajmę tym, co trzeba. Tylko zadzwoń do tego swojego, jak mu tam. No już! – Rozłożyła ręce, oczekując wyraźnie natychmiastowej reakcji. – No dzwoń, no!

Natasza bawiła się skórką u paznokcia, Karolina wywróciła oczami.

– Mamo!

– Nie „mamo”, nie ma na co czekać!

– Nie wiem, kto jest ojcem, i nie zamierzam go szukać.

Matka marszczyła brwi.

– Coś ty powiedziała?

– Nie zamierzam...

– Chcesz być samotną matką? Panną z brzuchem? Bękartą będziesz chować?

– Może nie chcę, ale tak właśnie będzie.

– Ty mu w ogóle tego nie powiedziałaś?

– Mamo...

– Powiedziałaś i się wypiał? A to gnój jeden. Już ja mu dupę przetrzepię. Ojca naśle i wszystkich kuzynów! Nie podaruję, swołoczy parszywej!

– Mamo! – krzyknęła Karolina.

– Ty się, córeczko, nie denerwuj. Leż sobie spokojnie, tylko daj mi namiar na tego... tego... na niego!

– Mamo, nie. Nie będziemy go nawet szukać. Praktycznie go nie znam i tak pozostanie.

– Nie wygłupiaj się! Masz mi w tej chwili powiedzieć, kto to jest!

– Mamo, daj mi spokój! Denerwujesz mnie!

– Już, kochana, już. Leż sobie spokojnie. Daj mi tylko ten numer, już ja do niego zadzwonię.

Wszystko załatwię. Wszystko za ciebie załatwimy, córeczko. Nic się nie martw.

Karolina zacisnęła zęby i usiadła na łóżku.

– Ty, córeczko, leż sobie...

– Nie będzie, mamo, żadnego telefonu. Ani ślubu.

Teresa z niedowierzaniem przyglądała się córce. Otwierała usta i je zamykała, zwinęła apaszkę w twardy kłębek. Wstała i zrobiła kilka drobnych kroków do drzwi. Stała przed nimi i odwróciła się do łóżka, na którym leżała Karolina.

– Może jednak lepiej byłoby, gdyby to dziecko spłynęło ci po nogach – powiedziała i wyszła.

Pozostawiła Karolinę i Nataszę w poczuciu nierealności. Milczały długą chwilę, kompletnie nie wiedząc, co powiedzieć.

– Pójdę po wodę – stwierdziła w końcu Natasza. Po chwili przyniosła dwa kubki z wodą. Karolina wypila duszkiem.

– W życiu nie widziałam twojej mamy w takim stanie – powiedziała Natasza.

– Ja też nie – stwierdziła Karolina. – I nie spodziewałam się, że kiedyś coś takiego usłyszę. Mama jest bardzo religijna...

– Moja też była... – stwierdziła Natasza, po czym doszła do wniosku, że powinna ugryźć się w język.

– Ale nigdy nie usłyszałaś od niej czegoś takiego.

– Być może nie zdążyłam. – Natasza pomyślała, że kała w tej chwili pamięć swojej matki, czuła jednak, że jej przyjaciółka właśnie tego potrzebuje.

– Daj spokój. To był pokaz dwulicowości i bigoterii. Katolicka hipokrytka! – Karolina miała łzy w oczach.

Natasza pogłaskała przyjaciółkę po dłoni. Karolina drżała.

– To tylko emocje. Opadną, wszystko się ułoży.

– Takich słów się nie zapomina.

– Wszystko można zapomnieć.

Karolina prychnęła.

– Nie jestem przekonana. Problemem nie jest dziecko, tylko brak ślubu. A jeśli ma go nie być, to lepiej usunąć? To ma być właściwe postępowanie chrześcijanki? Naprawdę uważasz, że to w porządku?

– Nie jest, ale tego nie zmienisz. Słów nie da się... odpowiedzieć?

– Słucham?

– No skoro coś można odwrócić, to... jak to powiedzieć po polsku?

– Po prostu wymazać. – Karolina wzruszyła ramionami. – Ale rzeczywiście nie da się „odpowiedzieć” tego, co zostało powiedziane.

– Rozumiem, że nie rozważasz opcji usunięcia.

– Nawet przez chwilę nie przeszło mi to przez myśl. Przez całe życie potem śniłabym o tym dziecku. Czy ono jest czemuś winne? Obserwowałabym, jak rośnie. W moich wyobrażeniach widziałabym pierwszy uśmiech i pierwszy krok. A potem usłyszałabym pierwsze słowo. Poszłabym z nim do przedszkola, potem do szkoły. Wiesz, matura, narzeczona, ślub, wnuki. Już to wszystko widzę.

– A jeśli byłaby dziewczynka?

Karolina się uśmiechnęła.

– Widzisz? Wciągnęłaś się. Te różowe sukieneczki, falbanki, buciki z paseczkiem. Pierwsza komunia.

– Narzeczoney, ślub, wnuki...

– No właśnie. Dlatego to wykluczone. Dziecko jest zawsze cudem, nawet jeśli będzie mi ciężko.

To mój wybór.

– Że panna z dzieckiem?

– Kiedyś ludzie zapomną. Zajmą się innymi sprawami. A ja wychowam w tym czasie swoje dziecko.

– Czyli plan mamy ustalony. Teraz tylko leżysz plackiem przez najbliższe miesiące i tyle.

– Czego się nie robi dla dzieci.

– Jasne. Przynieść ci coś? – Natasza wstała i sięgnęła po kurtkę. – Zgłodniałam.

– Jedzenie, blee.

– Musisz jeść.

– Tutaj odżywiają mnie dożylnie.

Natasza wyszła ze szpitala i skierowała się w stronę centrum. Szła dłuższą chwilę, w końcu zdecydowała się na McDonalda. „Niezdrowe, za to pewne” – pomyślała. „Stanie na żołądku, przysłuży się ztwardzeniu, ale przynajmniej nie wywoła torsji. Nawet jeśli wartości odżywcze są w tym żarciu ujemne”. Usiadła przy kolorowym stoliku na plastikowym krześle i w kilku kęsach zjadła kanapkę. Popiła łączywie colą i niespodziewanie, nawet dla siebie, beknęła.

– Ops – powiedziała do siebie, uśmiechając się nieśmiało do pary siedzącej po sąsiedzku.

Nie odwzajemnili uśmiechu.

Pomyślała, że powinna wrócić do mieszkania Karoliny, uporządkować zakupy, pójść spać... Może podlać kwiatki. Przypomniała sobie jednak, że przecież jest szansa na to, żeby znaleźć tajemniczego lokatora, czyli niczego nieświadomego tatusia. Wróciła więc do szpitala.

– Późno już, tylko na moment. – Pielęgniarka spojrzała na nią surowo.

– Krótką chwilę – odpowiedziała pogodnie Natasza.

Kiedy jednak weszła do sali, Karolina spała. Albo udawała, co sprowadzało się do tego samego.

Natasza wróciła więc do mieszkania, sprzątnęła i poszła spać.

Następnego dnia zaczynała pracę w południe. Zamierzała rano podjechać do Karoliny, zawieźć jej pyszne, świeże śniadanie, porozmawiać, a potem spokojnie pojechać do Jasionki. Jednak zasnęła.

Ostatnie dni ją wykończyły. Za dużo wrażeń i emocji. Wstała dopiero o dziesiątej, już dawno nie wylegiwała się w łóżku do tak późnej godziny. Dawno? Czy w ogóle kiedykolwiek?

Nawet zdruzgotana po śmierci matki nie mogła sobie na to pozwolić. Pilnowała pochówku, dbała o braci, a potem doglądała ojca – gdy jego stan jeszcze na to pozwalał. No i przywykła do wczesnego rozpoczynania dnia.

A teraz...

Śpieszyła się. Nie miała ochoty na śniadanie, matka jednak nauczyła ją, że to energia na cały dzień, dlatego też przygotowała je dla Karoliny. Zapakowała zgrabnie w pudełko i włożyła do papierowej torby.

Gdy dotarła do szpitala, przy łóżku Karoliny siedział ojciec. Gwałtownie o czymś dyskutowali, choć przerwali na widok Nataszy. Przeprosiła nieśmiało, weszła tylko na chwilę do pokoju. W powietrzu iskrzyło, jakby zbliżała się burza. Natasza rozejrzała się w poszukiwaniu zniszczeń po uderzeniu pioruna.

– Ja tylko przyniosłam Karolinie śniadanie i zaraz uciekam do pracy – powiedziała cicho.

– Nie jestem głodna – odburknęła koleżanka.

– Zachowuj się – zmiłogował ją ojciec. – Nawet wobec przyjaciółki nie potrafisz być w porządku?

– To nic takiego – odparła Natasza. – Ja i tak śpieszę się do pracy, autobus mi zaraz ucieknie.

Wpadnę do ciebie jutro – powiedziała do Karoliny i dosłownie uciekła.

Wcale nie chciała wiedzieć, o czym rozmawiają.

Ale i tak wiedziała.

ROZDZIAŁ 9

Zuriana podjechała pod dom, wyciągnęła torby z zakupami i ustawiła je w kuchni na podłodze. Otarła przedramieniem pot z czoła, była wyczerpana, jak zawsze po wizycie w sklepie. Odwiedzała sklep zwykle nie częściej niż raz na kilka dni, uważając, że oszczędza w ten sposób czas. Jedna droga, jeden spacer pomiędzy półkami. Czasami jednak przychodziło jej do głowy, że kupowanie codziennie pozwoliłoby jej zachować lepszą kontrolę. Jedna mała śmietana, zużyta w terminie przydatności. Dwa pomidory, żaden nie zdążyłby się zepsuć. Kawałek sera w jednym gatunku.

– Znowu kupiłam za wiele. – Westchnęła, lustrując wypakowaną po brzegi lodówkę. – Żebym choć spodziewała się jakichś gości...

Weszła do sypialni, zdjęła wyjściowe ciuchy, narzuciła rozpinaną bluzę i legginsy. Nikt nie patrzył, ona sama po prostu lubiła swój zgrabny tyłek, smukłe nogi i to poczucie atrakcyjności, które każdej kobiecie zapalało błysk w oku.

– Dobrze, że chociaż nie ma upałów – powiedziała do siebie. – Choć przednówek zawsze jest ponury. Nic to, gotowanie czas zacząć.

Trzy godziny później siedziała przy kuchennej wyspie zmęczona, ale bardzo zadowolona. Pachniały pieczeń i ciasto cytrynowe. W lodówce chłodziła się pasta z suszonych pomidorów, znakomita do tostów. „Zaproszę Louise i Marka” – pomyślała. „Wiedzą, że pojechałam po zakupy, na pewno czekają na mój telefon”.

Uśmiechnęła się do siebie. To była ich tradycja. Zuriana tłumaczyła, że skoro nie ma Roberta, musi gotować dla kogoś innego. Standardowo Samuel będzie się krzywił na mięso, ale pół blachy ciasta wsunie za jednym posiedzeniem.

Bezwiednie się uśmiechnęła, choć myśl o Robercie zaledwie przemknęła gdzieś w cieniu jej rozważań. Po prostu czuła ciepło na sercu zawsze na myśl o synu.

Włączyła telewizor i wyciągnęła nogi na miękkich poduchach kanapy. Louise i Mark mieli pojawić się za czterdzieści minut. Wyraźnie przysnęła, bo nie usłyszała kaszłającego silnika pod oknem ani silnego trzaśnięcia drzwiami.

Podskoczyła, gdy uchyliły się drzwi i poczuła chłodny powiew. W pierwszej chwili sądziła, że to ciągle senna mara.

– Cześć – usłyszała głos swojego męża.

Wywróciła oczami.

– Mógłbyś się zapowiadać – powiedziała niezadowolona.

– Nie muszę. Ty zawsze jesteś przygotowana na moją wizytę. Kiedykolwiek przyjadę, pachną pieczeń i ciasto. Znaczą się, czekasz na mnie, co?

– Nie – odpowiedziała, zaciskając wargi. – Spodziewam się gości. Ale skoro jesteś w potrzebie, to i ciebie głodnego nakarmię.

Spojrzała w tym momencie na twarz Wojtka i od razu poczuła w podbrzuszu to ciepłe mrowienie, które rozmiękczało ją i sprawiało, że stawała się bezwolna w jego obecności.

„Nie wiem, jakim cudem udało mi się od niego uwolnić” – pomyślała o sobie z niechęcią. „Bez pomocy Louise to by nie było możliwe. Żeby tylko mu znowu nie ulec, żeby tylko”.

– Przejeżdżałem – powiedział Wojtek beztrąsko, jakby to tłumaczyło wszystko.

– Szkoda, że nie przejeżdżałeś częściej, kiedy Robert cię potrzebował – odpowiedziała najchłodniej, jak potrafiła. Na wszelki wypadek jednak nie patrzyła na byłego męża. Przeszła do kuchni i pstryknęła ekspresem do kawy.

– Chyba spałaś, co? Jesteś tak rozkosznie potargana...

– Tak, spałam, jestem zmęczona – odburknęła. – Dużo pracuję.

– A musisz tyle pracować? Może trochę, hm, odpoczniesz – zamruczał jej koło ucha. Poruszał się jak kot, nie usłyszała, kiedy podszedł. Podskoczyła i odsunęła się, patrząc na Wojtka z lekką odrazą. Przynajmniej miała nadzieję, że to właśnie było w jej wzroku.

– Siadaj i poczekaj przy wyspie. – Odsunęła go zdecydowanym ruchem. – Nałożę ci pieczeni i sałatki kartoflanej.

– Wspaniałości. Nigdzie na świecie nie ma sałatki takiej jak u ciebie.

– A ja słyszałam, że najlepsza to była u twojej matki.

– A wiesz, takie tam wspomnienia z dzieciństwa. Każdy je trochę idealizuje.

– Nie każdy, ale nieważne. Coś konkretnego cię sprowadza?

– Skąd, tylko przejeżdżałem.

„Akurat” – pomyślała Zuriana, nie odezwała się jednak. Przygotowała jedzenie, ukroiła spory kawałek bagietki, którą zaczęła kupować właśnie dzięki Wojtkowi.

Właściwie to któregoś dnia doszła do wniosku, że zostało jej po nim kilka dobrych rzeczy: zupełnie nieamerykańskie podejście do pieczywa, sałatka ziemniaczana i... to by chyba było na tyle.

Plus, oczywiście, Robert, światło jej życia.

– Co tam u ciebie? – zapytał beztrzesko, a Zuriana poczuła, jak stają jej dęba wszystkie włoski na ciele. Wciąż uwielbiała głos swojego męża. I jego dotyk, zapach... wszystko. Oczywiście, z zastrzeżeniami, które uniemożliwiały wspólne życie. Taka miłość – nienawiść, wciąż silna, pulsująca, choć na co dzień przykurzona. Odżywała jednak w mgnieniu oka, gdy tylko Wojtek pojawiał się na horyzoncie.

Wciąż przystojny, wciąż z burzą półdługich blond włosów, z błękitem oczu, w którym topiła się przy każdym spojrzeniu.

– Spokój – powiedziała najchłodniej, jak potrafiła. – Nikt w moim domu już nie pije i mnie nie wyzywa, od kiedy się wyprowadziłeś. Takie nudy. Mam czas na pieczenie ciasta cytrynowego, siłę na zapraszanie przyjaciół i nie muszę siniaków zakrywać długimi rękawami.

Powiedziała to bardziej do siebie niż do Wojtka. Musiała sobie przypomnieć, dlaczego postanowiła wyrzucić go ze swojego życia, co udało się zaledwie szcążkowo. Może dlatego musiała wracać w myślach do tamtych wydarzeń.

– Oj, jesteś okrutna. A ja tutaj miałem nadzieję na trochę ciepła...

– Nakarmię cię pieczenią, bagietką i ciastem. Jeśli potrzebujesz innej strawy cielesnej, w centrum Atlanty masz sporo pań, które za niewielką opłatą rozgrzeją twoje zziębnięte jestestwo. A na chorobę duszy ksiądz zapewne będzie bardziej pomocny.

– Nie bądź taka... Ostatnio byłaś zupełnie inna...

– Nie przekraczaj granic, bo wystąpię o zakaz zbliżania. To była pomyłka. Błąd. Jesteśmy po rozwodzie.

– Dobra, dobra – powiedział, unosząc ręce. – Twarda jesteś. Moja Zuri!

– Od dawna już nie twoja. Mów, czego potrzebujesz.

– Zupełnie niczego.

– Jasne. W takim razie jedz, smacznego, i idź swoją drogą.

– Powiedz, chociaż w kilku zdaniach, co u Roberta.

– Ckni ci się do Polski? – zakpiła.

– Oj tam, ckni od razu. Po prostu ciekawość.

– Czy ty przez te lata kiedykolwiek wróciłeś do rodzinnego kraju?

– A po co?

– Tam jest twoja rodzina. Matka, rodzeństwo...

– Nie tęsknili.

– Tego nie wiesz.

– Pisali do mnie wyłącznie po kasę. Jakby spadała mi z nieba.

– I nawet nie wiesz, co u nich?

– Zmieniłem nazwisko, pragnę ci przypomnieć. Nie bez powodu. – Wojtek wzruszył ramionami.

– Raczej dopasowałeś, bo „Kiszkowiak” nie brzmiał, twoim zdaniem, wystarczająco amerykańsko. Dlatego i ja, i twój syn nazywamy się „Bowel”, choć moim zdaniem „kiszka” to średni pomysł na nazwisko. Ale niech ci będzie.

Zuriana w tym momencie zauważyła, że ruchy Wojtka stały się podejrzanie płynne, obłe. Musiał się napić tuż przed wejściem do jej domu. Spryciarz. Wiedział, że pijanego wywaliłaby od razu, zadzwoniłaby po sąsiadów albo po policję. A tak – już był, siedział w jej kuchni. Miło rozmawiali.

„Jestem teraz niczym podgrzewana żaba... Żaba wrzucona do wrzątku ucieknie od razu. Będzie poparzona, ale przeżyje. Żaba stopniowo podgrzewana nie poczuje zagrożenia, da się ugotować” – zrelektowała się Zuriana.

– Może Robert tam się czegoś dowie?

– O rodzinie? Sam możesz się dowiedzieć, czego tylko chcesz. Na syna nie zrzucaj odpowiedzialności za swoje zaniedbania. A zresztą, chcesz czegoś od Roberta? Po to przyjechałeś? Zadzwoń do syna. Napisz. Tam działają e-maile. I esemesy. Jak doskonale wiesz, niedźwiedzie polarne nie chodzą w Polsce po ulicach, tak przynajmniej twierdzi Robert.

– Powiedz cokolwiek.

Zuriana westchnęła. Każda prośba Wojtka zawsze wzbudzała w niej potrzebę uległości. Całą sobą

chciała ją spełniać, usłużyć mu, rozsypać pod stopami płatki róż.

W opowieści o synu nie dostrzegała żadnego zagrożenia.

– Jest na misji, więc wiem tylko, że ma wszystkie niezbędne wygodny, od czasu do czasu może wyjść na przepustkę. Twierdzi, że śniegu w Polsce jest znacznie więcej niż u nas, a Rzeszów jest całkiem ładny, choć pod pewnymi względami dziwne miasto. W centrum znajduje się na przykład pomnik wielkiej waginy. To dosyć ekstrawaganckie, biorąc pod uwagę fakt, że Polska to, podobno, zaściankowo katolicki kraj.

– Rzeszów to miasto pomników. – Wojtek zaśmiał się lekko charcząc, a Zuriana poczuła wilgoć między nogami. Nie powstrzymała się, wypuściła głośno powietrze. – Ten akurat to Pomnik Czynu Rewolucyjnego, choć podobno to tylko wizualizacja żołnierza i robotnika, którzy trzymają chłopą, żeby nie poszedł na mszę do bernardynów.

– Że co?

– Komuniści zwalczali Kościół w Polsce, mówiłem ci to kiedyś. A ludzie tym bardziej biegali na msze. Teraz jest w Polsce inaczej. Kościół jest wszędzie, krzyż wisi w sejmie i w każdej sali lekcyjnej, a skoro nakazują, to ścieżki do kościoła trawą zarastają. Ludzie po prostu przestają tam chodzić.

– Kościół katolicki ma chyba ciut więcej problemów niż krzyże porozwieszane w polskich urzędach.

– No raczej. W Irlandii zgłiszczą, w Kanadzie kościoły zmieniane na knajpy, w Ameryce Południowej afera za aferą, tutaj też już prawie go nie ma. Sami sobie zgotowali ten los.

– Przyjechałeś, żeby porozmawiać o kondycji watykańskich klechów na świecie?

– Nie – odpowiedział, uśmiechając się tak, jak uwielbiała. Jakby do środka, takim charakterystycznym, niesymetrycznym wygięciem kącików ust. Robert odziedziczył po ojcu ten szelmowski wyraz twarzy, któremu Zuriana absolutnie nie potrafiła się oprzeć. – Chciałem wiedzieć, co u Roberta.

– Powiedziałaś.

– A coś więcej?

– Robert niewiele mówi. To operacja wojskowa, tak dla przypomnienia. Co jakiś czas jedzie gdzieś na coś, o czym nie może opowiedzieć. W Ukrainie jest wojna, przypominam ci, gdybyś zapomniał.

– Trudno mi zapomnieć. Masz może wino?

Oczywiście, że miała, całkiem spory wybór.

– Nie piję, jak wiesz – odpowiedziała twardo.

– Nic nie szkodzi. – Wojtek się uśmiechnął.

Zanim zdążyła zareagować, wstał i wyszedł. Wrócił po dwóch minutach z butelką Primitivo.

– Mam więcej, jakby co – powiedział. – Tylko daj kieliszki.

Zuriana wykonała gest wskazujący drzwi, jednocześnie jednak spojrzała w oczy Wojtkowi. Dlatego nie powiedziała tego, co zamierzała, a odwróciła się w stronę szafki i wyciągnęła dwa kieliszki.

Zignorowała przy tym sygnał alarmowy, który wysyłało całe jej ciało. Czowała spięcie w ramionach, strużkę potu spływającą po plecach, odczuła także piekący ból nerwu z boku pięty. Typowe u niej objawy gwałtownego stresu.

A jednak po prostu usiadła przy stoliku i pozwoliła sobie nalać wina.

– Zastanawiam się, jak mogłaś pozwolić Robertowi pojechać do Polski.

Zuriana wzruszyła ramionami.

– Po pierwsze, od dawna chciał tam pojechać. Zobaczysz, skąd uciekłeś.

– Nie uciekłem – oburzył się. Zuriana doskonale wiedziała, że się o to wkurzy. Tę grę powtarzali przy każdej rozmowie o Polsce. – Po prostu przyjechałem do kraju wielkich szans, który spełnił więcej niż moje najśmielsze marzenia. Spotkałem ciebie.

– Po czym utopiłeś nasze małżeństwo w tanim, kwaśnym wińsku. Przepiłeś je, i żeby to chociaż jeszcze było takie Primitivo.

– To ty nauczyłaś mnie wyrafinowania.

– Przestań, nie nabierzesz mnie już na takie gładkie słówka – odpowiedziała z nadzieją, że w jej głosie nie słychać tego, co czuje naprawdę.

– Stwardniałaś, moja piękna.

„A żebyś wiedział, skurwielu, że piękna” – pomyślała i wyprostowała się. Po czym głośno rzekła:

– Robert chciał zobaczyć kraj swoich dziadków, których nigdy nie poznał. Ale przecież nie dlatego tam pojechał. Został wysłany na wojenną misję. Więc oszczędź sobie głodnych kawałków na temat mojej odpowiedzialności za jego wyjazd.

– A jednak. – Wojtek opróżnił kieliszek dwoma haustami. – Gdybyś tylko wiedziała, do czego są zdolni Ukraińcy!

– Możesz mi opowiedzieć. Nic to jednak nie zmieni, wiesz przecież o tym.

– A opowiem, żebyś wiedziała. Mój dziadek to przeżył. Wiesz, co robili Ukraińcy z polskimi dziećmi?

Zuriana rozłożyła ręce.

– Coś, co się nazywa wianuszkiem.

– Co złego jest w pleceniu wianków?

– Głupia jesteś – stanowczo powiedział Wojtek. Zanim jednak Zuriana zareagowała, kontynuował: – Wianuszki z dzieci. Odrywali małe dzieci, niemowlęta, dwulatki, maluchy takie, od matek i wieszali je na drzewach. W kółku. Pletli wianuszki z powieszonych dzieci, rozumiesz? Matki na to patrzyły.

– Co ty opowiadasz? – Do Zuriany nie bardzo dotarł ten obraz. Zajął jej mózg jednak na tyle, że zapomniała o uroczym przymiotniku, którym obdarzył ją jej były mąż.

– Niektóre dzieci patroszyli na oczach matek. Gwałcili kilkuletnie córki, a te konały na oczach rodzin. Zdarzało się, że gwałcili niemowlaki. Żywcem obdzierali ludzi ze skóry. Ćwiartowali porzeczonymi piłami. Obcinali po kolei członki, tak po prostu, sycąc oczy cierpieniem ofiar. Podpalali domostwa z mieszkańcami w środku, pilnując, by nikt się nie wydostał. Opowiadać dalej?

– Czy ty opowiadasz o traktowaniu czarnych niewolników jeszcze kilkadziesiąt lat temu?

– Kilkadziesiąt lat temu już nie było niewolnictwa.

– Ale czarni wciąż są tak traktowani w wielu miejscach.

– Czy ty się licytujesz?

Zuriana wzruszyła ramionami.

– Nie masz pojęcia, do czego zdolni są Ukraińcy. To były bandy UPA i banderowcy. We wsi Parośle powiązali Polaków niczym snopki zboża i zarabali ich siekierami. Po kolei. W Woli Ostrowieckiej wyprowadzili mieszkańców za stodołę jednego z gospodarstw i po kolei mordowali tępych narzędziami. Zwyczajne bandziory, motłoch, prymitywy. Bili, palili, gwałcili, znęcali się. Kradli. Mordowali sąsiadów. Albo właścicieli dworów, gospodarstw, w których pracowali. W związkach z Polkami i Polakami nie mieli żadnych skrupułów, by zamordować członków własnych rodzin. Byli jak opętani! Ktoś policzył, na ile sposobów Ukraińcy zadawali wtedy Polakom śmierć. Wyobrażasz sobie? Blisko czterysta sposobów mordowania sąsiadów! Używali siekier, motyk, maczug, wideł, pił, łomów, noży, nadziewali żywcem na pale. Wykluwali oczy, kobietom obcinali na żywca piersi. Wieszali głowami w dół. Palili ludzi żywcem. Do kościoła pełnego ludzi, podczas mszy, wrzucili granaty. Rannych dobijali. Człowieka po człowieku, jak rzeczy. Dzieci. Niemowlęta. Starców. Kobiety. Mężczyzn. Dobrych, złych, wszystkich. Bo byli Polakami. Do dziś wielu masowych grobów nie znaleziono. To była eksterminacja! Babcia kiedyś wytłumaczyła mi, dlaczego podczas nocnej jazdy samochodem zsuwała się zawsze na podłogę. Czekwała na świst kul. Została jej po tym, jak kiedyś Ukraińcy ostrzelali cały konwój karetek oznakowanych czerwonym krzyżem. W jedną z karetek trafił granat.

Wojtek zamilkł i dopił kolejny kieliszek wina. Rozlał butelkę do końca i bez słowa wstał.

Zuriana pokręciła głową, nie pamiętała Wojtka mówiącego z taką pasją. Chwyciła telefon i wysłała esemesa do Louise. Na wszelki wypadek, żeby nie zapomniała o wspólnej kolacji. Wojtek pił zbyt szybko.

Wrócił z kolejną butelką wina. Nie, z dwiema butelkami.

– Nie będę chodził kolejny raz – powiedział. – Poza tym musisz wyciągnąć dla mnie pościel.

Zuriana wciągnęła powietrze przez zęby. Zasyczało. Pościel? Zamierzał tu nocować? Wykluczone!

Z drugiej strony... Wojtek tak na nią działał... Tak uwielbiała jego dotyk... A jej były mąż cały czas coś mówił. Wodziła za nim wzrokiem.

„Chętnie bym się znowu z nim przespała” – pomyślała. „Tak jak ostatnio. Tak jak kiedyś”.

Wino już odrobinę szumiało jej w głowie. Przymknęła oczy i rozchyliła usta. Poczowała na nich dotknięcie miękkich opuszków palców, wyobraziła sobie pocałunek, najpierw na wargach, potem na szyi, piersiach... w wyobraźni szybko zeszła między nogi. „Błyskawicznie mi poszło” – pomyślała, otwierając oczy. Wojtek cały czas mówił.

– A ty wysłałaś nasze dziecko prosto w ich łapy! – usłyszała w końcu.

Wojtek usiadł naprzeciw niej i patrzył z pretensją.

„Opanuj się” – pomyślała Zuriana.

– Nigdzie nie wysyłałam Roberta – odparła najspokojniej, jak potrafiła. – A twoje opowieści

o Ukraińcach brzmią... mało wiarygodnie.

– Gównu wiesz! – wykrzyknął Wojtek, a Zuriana w tym momencie przypomniała sobie, dlaczego się rozwiodła. – Ukraińcy to chuje!

– To dlaczego Polacy im tak pomagają? Słuchałeś wiadomości? W Polsce są zbiórki dla Ukraińców, prywatne osoby zapewniają im mieszkania, dają pracę. Nawet do polskich muzeów Ukraińcy mają darmowe wejścia. W sklepach są etykiety opisane po ukraińsku. I to nie żadna propaganda, Robert potwierdza – tam tak jest. Więc coś w twojej opowieści nie trzyma się kupy!

– Zarzucasz mi kłamstwo? Serio? Od kiedy to się zrobiłaś taka harda? – Wojtek dopił kolejny kieliszek i wstał. Górował teraz nad Zurianą, która utkwiała wzrok w... cóż, patrzyła na to, co miała przed oczami, i nie mogła się oprzeć myśli, że...

„Zdecydowanie zbyt rzadko spotykam się z mężczyznami” – pomyślała. „Wojtka powinnam się bać, nie tęsknić za jego fiutem”. Uniosła wzrok i napotkała wściekłe spojrzenie byłego męża. Była w nim furia. Zobaczyła uniesioną rękę.

Przymknęła oczy, oczekując na uderzenie. Przez chwilę nawet pomyślała, że na to właśnie czeka. Że to leży u podstaw jej tęsknoty za Wojtkiem. „Uzależnienie od oprawcy” – pomyślała.

Chwilę później do domu weszła Louise. Zastała scenę jak wyrzeźbioną w marmurze.

– Ja się nie napiję, a wy mi potowarzyszycie – powiedziała na pozór spokojnie. – Wychodziłeś właśnie, prawda? – zwróciła się do Wojtka.

Szczęka mu drgała.

– Myślę, że zbyt często ostatnio tu bywasz – dodała. – Wezwę ci taksówkę – dorzuciła po chwili, bo Wojtek wciąż nie odpowiadał.

Szarpnął kurtkę, zgarnął z blatu kluczyki od swojego wozu. Obydwie kobiety patrzyły, jak zbliżył się drzwi. Wrócił jednak. Z uśmiechem otworzył torebkę Zuriany, wyciągnął portfel, z niego kilka banknotów.

Louise ocknęła się pierwsza.

– Co ty wyprawiasz?

– Zostaw – powiedziała Zuriana. – To skromny podatek od mądrości.

– Wydawało mi się, że już dawno go zapłaciłaś.

– To kolejna rata.

– Wypierdalaj – powiedziała Louise do Wojtka.

Nie odpowiedział. A one nie zareagowały, gdy usłyszały dźwięk zapalnego silnika.

– Nie powinien prowadzić w tym stanie – stwierdziła Zuriana.

– Nie powinnaś się o niego troszczyć. To gnój.

– Nie o niego. Może kogoś zabić.

– Możesz zadzwonić na policję.

Żadna z nich się jednak nie ruszyła przez kilka minut. W końcu Zuriana wstała i wylała wino do zlewu. – Kusiło – wyjaśniła.

– Całe szczęście. Zaraz bym się przyssała do butelki.

– Zaraz przyjdzie Mark. I Samuel. A ta pieczeń pachnie tak obłędnie, że w brzuchu zaczyna mi bulgotać z głodu.

– Jest taka jak zawsze.

– Czyli obłędna. I to ciasto cytrynowe. Kocham twoją kuchnię. I nasze wspólne kolacje.

– Cieszę się, że będę miała z kim ją zjeść – powiedziała po chwili Zuriana.

ROZDZIAŁ 10

Natasza stała przed lustrem, obracając się z prawa w lewo. I z powrotem. Przebrała się już trzeci raz.

Następnego dnia po tym, jak Karolina trafiła do szpitala, Natasza przywiozła do jej mieszkania kilka swoich rzeczy. Nie posiadała ich za wiele, z wyborem nie było problemu. Wprawdzie z Rzeszowa miała dalej do pracy niż z domu, za to tu miała spokój. Był jej potrzebny, zwłaszcza że kiedy ostatnio była w domu, trafiła na zdecydowanie słabszy moment ojca.

Szalał. Wyważył drzwi do jej pokoju, wyrzucił z szafy wszystkie ubrania. Wykrzykiwał coś bełkotliwie, szukał pieniędzy. Natasza opuściła wzrok, by nie zerknąć, nawet przez przypadek, w stronę tekturego obrazka, za którym przykleiła kopertę ze swoją ostatnią wypłatą.

– Dzie szymasza kaase! – krzyczał ojciec.

– Nie mam, tato – powiedziała najdelikatniej, jak potrafiła, wręcz płaczliwie.

Zamachnął się, był jednak na tyle pijany, że bez trudu się odsunęła.

Ojciec przeszedł do modułu próśb.

– Muszę się naapic – powiedział, robiąc podkowę z ust. – Ostatni raz. Tyko dziś. Chociesz pifko. Jedno proszee.

Nie słuchała. Ojciec bez protestu dał się wyprowadzić do tego, co pozostało z ich salonu. Tam Natasza posadziła go na wersalce i przewróciła na poduszki. Po chwili już spał, pochrapując cicho.

Weszła do swojego pokoju i westchnęła ciężko. Pozbierała ubrania i większość zapakowała do dwóch materiałowych toreb. Te, które pozostawiła, przeznaczyła na straty. Zapewne ojciec je sprzeda, wymieni na małą wódkę czy na kilka szklanek bimbru. Albo zniszczy, tak po prostu, może ze złości, a może i bez niej, nawet bez zrozumienia tego, co robi. Możliwe. Wyciągnęła zza obrazka pieniądze, schowała do torebki, zabrała też kilka książek.

Czekając na autobus, zadzwoniła do brata.

– Jak to: wyprowadziłaś się?

– Tak po prostu. Kiedy byłeś ostatnio u ojca?

– Ty z nim jesteś.

– Już nie. Jurij, jesteś za niego tak samo odpowiedzialny jak ja.

– Ja mam rodzinę.

– A ja chciałabym ją założyć. – Natasza starała się zachować spokój, choć przychodziło jej to z coraz większym trudem.

– No i bardzo dobrze. Zrobisz w naszym domu porządek, zadbasz o porządek i o ojca. Przeszanie pić i wszystko wróci do normy.

Natasza wzięła głęboki oddech i przeszła na ukraiński. W tym języku potrafiła kląć najpłynniej.

– Jesteś za ojca odpowiedzialny tak samo jak ja. Byłam jego niańką od śmierci mamy, a teraz zamierzam wreszcie żyć. Jeśli uważasz, że tata potrzebuje wsparcia, zajmij się nim. Ty, twoja żona i twoje rozwydrzone dzieciaki. Możesz się tatą, kurwa, zaopiekować!

– Od kiedy znasz takie słowa? – Brat wyraźnie kpił.

– Odkąd wysłuchuję bluzgów ojca. I więcej nie będę tego robić! Twoja kolej, żeby...

Brat się rozłączył.

– Siostruni odbiło – powiedział do żony. – Przejdzie jej za kilka dni. Kobiety są od tego, żeby opiekować się rodziną.

Nie doczekał się odpowiedzi, wcale jej nie oczekiwał. A żona nie odpowiedziała, bo nie słyszała męża zza zamkniętych drzwi. Usypiała dziecko.

Natasza zacisnęła wargi.

– Nie tym razem – powiedziała do siebie. – Nie dam się sprowadzić do życiowej roli niańki. Choć wprowadzam się do Karoliny pod jej nieobecność i nie wiem, czy nie nadużywam naszej przyjaźni, to koniec z takim życiem. Może jednak Karolina nie będzie miała do mnie pretensji. Mam nadzieję, że zrozumie. Za kilka dni znajdę sobie coś nowego.

– W domu już nie wytrzymam – tłumaczyła Karolinie, kiedy jeszcze tego samego dnia w szpitalu powiedziała jej o swojej decyzji.

– Nie musisz nic wynajmować. – Przyjaciółka uśmiechnęła się. – Mam dwa pokoje. Przecież wiesz, że u mnie zawsze jest dla ciebie posłane łóżko.

– Nie chciałabym na tobie żerować...

- Daj spokój. Dołożysz się do życia. Od czasu do czasu zrobisz pielmieni i będę zachwycona.
- Wynajmę coś – kategorycznie postawiła sprawę Natasza.
- Tylko nie od razu, proszę, przypilnuj mojego mieszkania pod moją nieobecność.
- Co mówią lekarze? Kiedy wyjdiesz?

Karolina wzruszyła ramionami.

– Czeka mnie zapewne kilka miesięcy leżenia. Pewnie za jakiś tydzień, może dwa wypuszczą mnie do domu. Wtedy będę jęczeć w moim niewielkim mieszkaniu i domagać się uwagi. Wiesz, podaj herbatę, ale nie za gorącą, a rosół jest za zimny. Jestem głodna, co ty mi podajesz, i tak dalej. Będziesz mi potrzebna. Czyli nici z tego wynajmu, zrób to dla mnie i zostań ze mną.

Natasza się uśmiechnęła.

– Co mówią rodzice? Przeszło im, chociaż trochę?
– Matka się nie pojawia, więc pewnie ciągle się dąsa. Ale tata przynosi mi wałówkę od niej. Ojciec usiadł dziś rano przy moim łóżku i głaskał mnie po ręce. Myślę, że dla niego jestem ważniejsza niż wstydlivy bękart.

– Na pewno i mamie przejdzie. Właśnie, chciałam ci powiedzieć, że...

– Koniec wizyty. – Pielęgniarka weszła do sali, przerywając dziewczynom rozmowę. Natasza zebrała się i wróciła do mieszkania.

A teraz stała przed lustrem i się mizdrzyła. Ostatecznie uznała, że pierwszy wybór był najlepszy, przebrała się więc po raz kolejny w zwykłą, niebieską sukienkę do kolan, z gładkiej bawełny. Dobrała do tego komplet bransoletek z drobnych koralików, cicho brzęczących przy każdym poruszeniu dłonią. Sięgnęła po kolczyki. Po zastanowieniu się nie wpięła ich jednak w uszy.

„W końcu to nie randka” – pomyślała. „Jadę do pracy”.

– Jeśli nie randka, to co? – powiedziała do swojego odbicia w lustrze. Pokręciła głową. – Jeszcze się zakocham, na co mi takie kłopoty? To nie randka. Tego się będę trzymać.

Zerknęła na zegarek.

Może zdążę jeszcze coś załatwić?

Sięgnęła po paczkę ciastek, zamknęła za sobą drzwi i zeszła piętro niżej.

– O, cześć – powiedziała Anka, jakby wizyta Nataszy była najbardziej oczywistą sprawą na świecie.

– Przyniosłam ciastka.

– Spoko. Bez ciastek też bym cię wpuściła. Nie mam kawy ani herbaty, tylko ziółka, mogą być? – Dziewczyna ziewnęła.

– Ziółka będą super. Przejrzałaś te drobiazgi Sebastiana?

– Nie miałam czasu. Są gdzieś tutaj... Chyba w drugim pokoju. Poczekaj.

Anka wyszła na chwilę, Natasza zalała wrzątkiem filiżanki z ziólkami. Rozejrzała się. Mieszkanie było lustrzanym odbiciem tego, w którym mieszkała Karolina.

W pokoju obok pracował telewizor, Natasza poczuła dreszcze na plecach. Relacje z wojny w Ukrainie kosztowały ją zbyt wiele, z założenia nie śledziła wiadomości. Samo myślenie o tym było stresujące. Podskakiwała na każdy głośniejszy dźwięk, reagowała nawet na uliczny okrzyk. Ku jej własnemu zdumieniu ulubiona bransoletka z czasem zaczęła ją denerwować. A może lepiej powiedzieć: przestraszać. Koraliki dzwoniły przy każdym ruchu, w ciszy mieszkania brzmiały niczym małe eksplozje. A to Nataszy źle się kojarzyło. Odruchowo więc ją zdjęła.

Anna wróciła po chwili.

– To jest to pudełko – powiedziała, stawiając kartonik po butach.

– Też lubię buty tej marki – powiedziała Natasza.

– To nie moje. Nie kupuję takiej taniocy – odpowiedziała odruchowo Anna, po czym zorientowała się, co powiedziała. Przygryzła wargę, jednak nie sprostowała.

Natasza pochyliła się nad pudełkiem.

– Wiesz, właściwie... – Anna zerknęła na zegarek – trochę się śpieszę. Chyba zasnęłam.

Natasza zerknęła na zegarek. Dochodziła trzynasta.

– Jasne. Mogę zabrać to pudełko?

– Oczywiście. Może na coś ci się przyda.

– Pójdę już – powiedziała Natasza.

– Do zobaczenia – rzuciła nieuważnie Anka.

Natasza wniosła pudełko do kuchni Karoliny. Rozłożyła kilka szpargałów na blacie, wiele tego nie było. Ale znalazła coś ważnego. Nazwisko na bilecie lotniczym. I imię: Sebastian.

Odpaliła internet i wpisała dane chłopaka. Już po trzech minutach wytypowała trzydziestodwuletniego inżyniera z Gdańska, który zawodowo podróżował po Polsce, wizytując różne budowy. Z profilu w mediach społecznościowych dowiedziała się, że kilka ostatnich tygodni spędził w Rzeszowie. Nie pisał o tym, ale Natasza rozpoznała w tle zdjęcia jeden z charakterystycznych rzeszowskich pomników.

– Mamy cię – powiedziała do siebie.

W tym momencie zerknęła na zegarek i przerwała poszukiwania. Musiała zbierać się natychmiast do pracy. Planowała pojechać wcześniej, choć za barem stawała dzisiaj dopiero o siedemnastej, by przed pracą...

Nagle uświadomiła sobie, że zostawiła u Anny bransoletkę. Pomyślała, że szkoda. Irytowało ją jej brzęczenie, ale jednak w sumie było... przyjazne. Oswojone. Dlatego postanowiła, że schodząc, zapuka do Anny i odzyska błyskotkę.

Niestety, nikt jej nie otworzył, choć Natasza była przekonana, że słyszy głosy. Opuściła, czas już gonił.

Wysiadła z autobusu i szybkim krokiem przeszła w stronę kantyny, zwolniła jednak za pierwszym zakrętem, uśmiechając się.

Robert czekał na nią, oparty zgiętą nogą o ścianę, i udawał, że patrzy w komórkę. W rzeczywistości jednak czekał na Nataszę, zerkając cały czas w stronę, z której miała nadejść. Dlatego zauważył dziewczynę od razu.

Komórkę natychmiast schował do kieszeni.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Dzień dobry – odpowiedział z zachwytem.

Przywitali się uściskiem dłoni, nieśmiałym i delikatnym.

„Jak na wielkiego, wysportowanego dryblasa jest uroczco niezborny” – pomyślała.

– Zaprosiłbym cię na drinka...

– Ale jestem przed pracą, a poza tym ten bar to właśnie moja praca.

– Właśnie.

– Proponuję więc po prostu spacer – powiedziała.

– Znakomicie.

Ruszyli wolnym krokiem w stronę bramy.

– Jednostka wojskowa to średni teren do romantycznych spacerów – powiedział Robert, a Natasza serdecznie się zaśmiała.

– A nasz spacer jest romantyczny?

– Czy ty łapiesz mnie za słówka?

– Czy ty się ze mną przekomarzasz?

Rozmawiając o niczym, wyszli za bramę.

– Idziemy w stronę twojego domu? – zapytał.

– Cóż... przeprowadziłam się. Mieszkam teraz w Rzeszowie, u przyjaciółki. U mnie... nie najlepiej się dzieje, ale nie chcę o tym mówić.

– Rozumiem – odpowiedział, przyglądając się jej z zaciekawieniem.

Natasza już któryś raz złapała się za nadgarstek. Robert w końcu to skomentował.

– Coś zgubiłaś?

– Zostawiłam bransoletkę u dalekiej znajomej, nie wiem, czy ją odzyskam.

– Masz moją – powiedział Robert, ściągając z nadgarstka rząd ciemnobrązowych kamyczków na gumce. – Będziesz o mnie pamiętać.

– Wracajmy. Muszę zmienić koleżankę.

Już przed samą kantyną Robert złapał ją za rękę, odwrócił w swoją stronę i powiedział:

– Nie będzie mnie teraz przez jakiś czas. Parę dni. Mam... misję.

– Znów Ukraina. – Spojrzała mu w oczy.

Pokręcił głową.

– Nie mogę o tym mówić.

– Jasne – odpowiedziała spokojnie, jednak Robert wyczytał w jej oczach strach.

– Wrócę za dwa dni – powtórzył.

– Tam trwa wojna – odpowiedziała.

– Dlatego tu jestem.

– Nie chcę myśleć o wojnie. Tam zostali moi przyjaciele. Znajomi. Kilka ciotek. Boję się.

– Dlatego tu jestem – powtórzył. – Wszyscy tu jesteśmy. Żeby wojna się skończyła.

Pokiwała głową i spojrzała na ziemię. A wtedy Robert delikatnie chwycił obiema dłońmi jej twarz, uniósł w swoją stronę i pocałował. Najpierw ostrożnie, jakby smakując jej usta, powoli poznając ich wyrafinowany kształt i subtelną miękkość. Przerwał na chwilę, spojrzał Nataszy w oczy, utopił się w ich błękitach i po chwili całowali się jak nastolatki.

ROZDZIAŁ 11

Natasza czuła się coraz dziwniej. Jak nigdy.

Lekko. Ciężko. Była jednocześnie pełna i pusta. Emocji, wrażeń, uczuć.

Była kiedyś zakochana, pewnie. Jak każdy. Ale to, co teraz przeżywała, w niczym nie przypominało tamtych wrażeń. Wtedy wydawało jej się, że w brzuchu latają motyle, a świat pachnie konwaliami i jest jednoznacznie dobry. To było miłe, jednak teraz zdawało się miałkie.

Teraz czuła jednocześnie kołatanie serca, zawroty głowy, gorąco na policzkach, drżenie nóg, mrowienie w palcach dłoni. Motyle w brzuchu? Tak. Właściwie całą chmarę. A może to były papużki? Czuła, że latają po jej wnętrzu i laskoczą od środka skrzydłami. Poza tym chyba miała gorączkę, choć termometr tego nie pokazywał. Błyszczały jej oczy.

I przede wszystkim była jedna różnica. Przy wszystkich swoich poprzednich sympatiach nieustająco była spięta. Starła się pokazać z jak najlepszej strony, jak w studiu fotograficznym, kiedy to ustawiamy się do aparatu lepszym profilem. Kontrolowała emocje i pilnowała, by za każdym razem zachować się odpowiednio. By cały czas się podobać.

Przy Robertcie zaś czuła się absolutnie na miejscu. Adekwatna i wystarczająca. Nie miała potrzeby się wysilać. Bycie sobą, to takie łatwe?

Jedna rzecz była wspólna. Tak samo jak niegdyś o kolegach z klasy, tak i teraz z trudem myślała o czymkolwiek, kimkolwiek innym. Robert, Robert, Robert. Cokolwiek robiła, on przychodził jej na myśl. Gdy parzyła kawę, myślała o tym, że Robert pije ją bez mleka. Od razu przypomniawszy sobie, jak wyginał lekko wargi, przykładając kubek do ust. A potem uśmiechał się do niej szelmowsko. Gdy kupowała pieczywo, przypomniawszy sobie, że Robert zachwyił się polskim chlebem. Najbardziej tym ciemnym, z całymi ziarnami. Twierdził, że w Ameryce jada się głównie tostowe pieczywo, miękkie, przypominające watę, niestawiające oporu zębom.

– Przecież to puste węglowodany? – Natasza nie mogła się powstrzymać.

– Dlatego cieszyłem się, że mama uległa ojcu. On z Polski przywiózł tęsknotę za chlebem. – Robert się zaśmiał. – Pod jego wpływem mama kupowała bagietkę. To taka bułka z chrupiącą skórką, która...

– Wiem, co to bagietka! – Natasza wybuchła śmiechem.

– A ja nie wiedziałem.

– To nie jest typowo polskie pieczywo.

– Jasne. Już teraz to wiem. Francuskie, ale ojciec je lubi. Trochę się chyba snobował, ale nam wszystkim zasmakowało. Więc mama kupowała bagietki zamiast chleba tostowego – powiedział rozba-wiony.

I chociaż Natasza robiła zakupy tylko dla siebie, to myślała, oczywiście, o Robertcie. Dlatego kupiła bochenek orkiszowy, z ziarnami, jak zazwyczaj, a do tego bagietkę oraz chleb tostowy. Chciała spróbować tego, co lubi Robert.

Kiedy położyła zmęczone po dniu pracy stopy na stoliku wyobraziła sobie, że to Robert je masuje.

– Przestań, idiotko! – powiedziała półgłosem do siebie. – To żołnierz. Nie masażysta.

A jednak obrazy nie zniknęły. Robert w kuchni. Uśmiecha się, zmywa po wspólnej kolacji. Robert na zakupach, niesie siatki, ona wybiera świeże warzywa ze straganu. Robert w sypialni. Robert, Robert, Robert.

„Powinnam jednak zająć się czymś innym” – pomyślała, kręcąc głową. „Czas namierzyć Sebastiana”.

Obejrzała jeszcze raz dokładnie profil faceta. Na kilku zdjęciach powtarzało się logo firmy budowlanej. Tam postanowiła poszukać. Firma prowadziła budowy na terenie kilku miast, ale uznała, że należy zacząć od centrali. Zadzwoiła i przedstawiła się jako wynajmująca rzeszowskie mieszkanie, czym wprowadziła w konsternację pracownicę działu kadr.

– Wynajmujemy mieszkania przez agencję – usłyszała chłodną odpowiedź.

– Oczywiście – grzecznie odparowała Natasza. – Niemniej pan Sebastian zostawił w mieszkaniu pewne drobiazgi i... cóż, rozumie pani, że chciałabym o tym porozmawiać tylko z nim.

Konsternację po drugiej stronie słuchawki można było kroić nożem.

– Cóż... Przekażę panu inżynierowi.

– Będę wdzięczna – odpowiedziała spokojnie Natasza. – Zostawię pani swój numer telefonu.

– Tyle mogłam zrobić – powiedziała do siebie Natasza, odkładając telefon.

Miała przed sobą kilka godzin wolnego. W tym tygodniu pracę rozpoczynała o siedemnastej, a Robert miał wrócić do bazy dopiero za parę dni. Rano rozmawiała już z Karoliną, która jęczała z nudów.

- Czyli jest ci tam całkiem dobrze – podsumowała Natasza.
- Słucham? Ty niewdzięcznico!
- Skoro masz siłę narzekać na nudę, to znaczy, że wszystko w porządku.

– Jak ty mnie znasz. A przywieziesz mi jakąś książkę? Albo pięć? Tutaj jest płatna telewizja, można wrzucić monetę do magicznego pudełka, ale dostępne są wyłącznie dwa programy. Akurat tych nie lubię oglądać. Wszystkie kolorowe magazyny, które są w posiadaniu moich współżyciarek, już przeczytałam. Więc poratuj.

- Będę za dwie godziny – obiecała Natasza. – Jakies konkretne lektury?
- Zaskocz mnie.

Natasza mogła pójść do szpitala natychmiast, postanowiła jednak zadbać o siebie. Rozluźniająca kąpiel, maseczka z wyciągiem z jedwabiu, herbatka z melisy.

Zamierzała być piękna.

Nie zdawała sobie jeszcze sprawy, że w oczach Roberta była najpiękniejsza na świecie.

Kiedy rozkoszowała się ciszą i spokojem, rozdzwonił się telefon. Machnęła ręką. „Później” – pomyślała. I zapomniała o tym, kiedy wyszła z wanny. Dopiero na ulicy, już w drodze do szpitala, wyjęła telefon, by uprzedzić Karolinę, że będzie za chwilę. „Na szczęście na tym oddziale nie robią problemów z odwiedzinami przez cały dzień. Właśnie wchodzę do szpitala” – zamierzała zakomunikować przyjaciółce.

Nim jednak wybrała numer do Karoliny, przypomniała sobie, że ktoś dzwonił. Numer nieznan. Oddzwoniła, nikt jednak nie odebrał. Wzruszyła ramionami i poświęciła całą uwagę Karolinie.

– Czuję się świetnie i nie musisz o to pytać za każdym razem. – Przyjaciółka przywitała ją lekko skrzywiona.

– To dobrze, bo nie zamierzałam pytać. – Natasza z trudem zachowywała powagę. – Przyniosłam ci dwie jagodzianki i wuzetkę. Poza tym nowe Rogalę, Trojanowską i Szarańską.

- Obrabowałaś bank przed wizytą w księgarni?
- Nie dziękuj, pożyczyłam z biblioteki.
- Nie zamierzałam dziękować. Ty masz po prostu podły plan, żeby mnie utuczyć!
- Sama sobie ten plan zmaterializowałaś. Na najbliższe dziewięć miesięcy.

Karolina się skrzywiła.

Rozmawiały chwilę o niczym, a gdy Natasza chciała poruszyć temat rodziców Karoliny, ta prychnęła tylko ze złością:

- Nie denerwuj ciężarnej.
- Natasza westchnęła.
- Święty by z tobą nie wytrzymał!
 - A święty to nie ty.

- Zapomniałam ci powiedzieć... Udało mi się namierzyć twojego Sebastiana.
- Słucham?

– Nie było to takie trudne. Wcale nie był to wynajem gotówką z ręki do ręki, jak twierdziłaś. Firma wynajęła mu mieszkanie przez agencję. Zostawił jakieś duperele w mieszkaniu, a po nazwisku znalazłam jego profil na fejsie. Akurat ten Sebastian jest inżynierem i podróżuje po Polsce, a ostatnio był w Rzeszowie. Opublikował zdjęcie, na którym widać pomnik Lisa-Kuli. Zadzwoiłam do jego firmy i poprosiłam...

– Co zrobiłaś? – przerwała jej Karolina.

– Zadzwoiłam. W kadrach nie chcieli mi podać jego numeru telefonu, ale potem sobie uświadomiłam, że przecież służbowe numery pracowników są na stronie internetowej. Zadzwoiłam więc do niego bezpośrednio, ale nie odebrał i...

- Nie prosiłam cię o to – przerwała jej lodowatym tonem Karolina.
- Czy ty masz do mnie pretensje? – zdziwiła się Natasza.
- Wtrącasz się w moje życie. Powiedziałam o wynajmie za gotówkę, żebyś się odczepiła.
- Ale...

- Nie chcę nawet o tym rozmawiać. Po prostu zostaw ten temat. Nie interesuje mnie Sebastian.
- To ojciec twojego dziecka. Chyba powinien wiedzieć, że...
- Niczego nie powinien wiedzieć. Odczep się.

- Jak sobie życzysz – powiedziała Natasza bez przekonania.
- Tak właśnie sobie życzę – odpowiedziała Karolina stanowczo.

Natasza usłyszała w głosie przyjaciółki nieprzyjemne, metaliczne brzmienie. Zrozumiała, że Karolina nie żartuje. Choć zupełnie nie rozumiała dlaczego.

Gdy wychodziła ze szpitala, znów zadzwieczał jej telefon.

– Sebastian Butkiewicz – usłyszała przyjemny męski głos. – Prosiła pani o telefon. Kadry przekazały mi, że podobno coś zostawiłem w Rzeszowie? I widziałem, że bezpośrednio do mnie też pani dzwoniła.

Natasza poczuła gwałtowny i całkiem nieprzyjemny ucisk w głowie. Karolina wyraźnie nie życzyła sobie interwencji...

– Halo? Jest tam pani?

– Tak, przepraszam. Coś rozproszyło moją uwagę. Niezupełnie o to mi chodziło. To znaczy tak, zostawił pan kilka drobiazgów, ale to w istocie nic cennego. Chodzi o coś innego...

– Proszę pani? Halo?

– Nie wiem, jak to powiedzieć...

– Najlepiej po prostu. Nie mam zbyt wiele czasu, jestem w pracy.

– Oczywiście. Czy kojarzy pan Karolinę Grzelak?

Mężczyzna westchnął.

– O ile dobrze kojarzę, była moją sąsiadką w Rzeszowie.

Natasza usłyszała drobną zmianę w tonie jego głosu.

„Bingo” – pomyślała bez satysfakcji. „Otóż zostawił pan tu jednak coś cennego”.

– Niczego nie zgubiłem...

– To prawda. Niemniej...

– Proszę pani, gdyby mogła się pani streszczać.

– Jasne. Otóż Karolina jest w ciąży.

– No i? – Głos mężczyzny przypominał stal.

– I twierdzi, że to pana dziecko.

W ciszy Nataszy zdawało się, że słyszy zgrzytanie zębów.

– Nie dam się w nic zrobić. Miało być bezpiecznie! Nie będę sobie rujnował życia z powodu... z powodu...

– Rozumiem, że się pan nie cieszy – przerwała mu Natasza. – Niemniej jednak warto mieć wiedzę, prawda?

– Czego chcecie? Pieniądzy? Zabieg kosztuje dzisiaj...

– Niech się pan nie ośmiesza. Karolina niczego nie chce. Nawet nie chciała, żebym pana znalazła. Niech pan wraca do swojego życia i ma się świetnie.

– Żeby pani wiedziała. Wrócę do swojego życia. Do żony i dziecka, które wychowujemy razem, i nie pozwolę, żeby jakaś... – zamilkł, a Natasza poczuła, jak wzbiera w niej złość. – Żeby jakiś incydent zniszczył nasz spokój.

– Oczywiście. Niech tylko ma pan tę świadomość. Do widzenia.

Rozłączyła się i zatrzęsła z wściekłości.

– Co za gnój! – mruknęła do siebie, zaciskając szczęki. – Karolinie nawet nie wspomnę.

Szybkim krokiem przeszła na przystanek autobusowy.

W pracy była wcześniej, miała zatem czas na uspokojenie się. Przecierała właśnie szklanki za barem, gdy weszło dwóch żołnierzy.

– Syf kompletny. – Rozmawiali ze sobą swobodnie przekonani, że barmanka rozumie zaledwie piąte przez dziesiąte. Tak było w przypadku zmienniczki Nataszy, a ona sama niespecjalnie chwaliła się znajomością języka. Robert znał prawdę, i to jej wystarczało.

– Syf, nie syf. Wojna, co chcesz.

– Raporty coraz gorsze.

Żołnierze przeszli do oddalonego stolika, rozmawiali, wciąż kręcąc głowami, już poza zasięgiem słuchu Nataszy. Wystarczyło jej jednak to, co usłyszała.

Wyobraźnia wyświetliła jej twarze szkolnych koleżanek. Widziała ulice, którymi chodziła we Lwowie, park, w którym siadała z rożkiem ulubionych lodów waniliowych, szkolny budynek... Wiedziała, że teoretycznie te miejsca wciąż istnieją, miała także nadzieję, że żyją jej dawne przyjaciółki. Jednak nie miała wątpliwości, że to już nie będą takie same ulice, a ludzie, którzy tam zostali, nigdy nie będą tacy sami.

„Tak jak i ja” – zreflektowała się. „Każdy dzień mnie zmienia. No i Robert” – myślała dalej. „On tam jest. Nikt nie powie mi gdzie, nie powie po co... ale ja to wiem. Domyślam się. Jest na wojnie, jest w Ukrainie, jest w moim kraju. A tam jest... syf? Tak powiedzieli”.

Zadrżały jej ręce. Odstawiła szklankę i wyszła na zaplecze. Jeszcze przez jakieś pół godziny mogła sobie na to pozwolić. Zwykle o tej porze do kantyny mało kto zaglądał.

„Muszę się uspokoić” – pomyślała. „Powinnam o tym zapamiętać, przynajmniej na jakiś czas. Bo zwariuję!”

Nie potrafiła jednak zapanować nad myślami. „Robert poleciał na misję” – cały czas kołatało jej z tyłu głowy. „Nie powiedział dokładnie, na jak długo. Niech on już wróci!”.

Cały wieczór obsługiwała klientów jak maszyna. Uśmiechała się, nalewała piwa, rzadziej coś mocniejszego. Żołnierze generalnie, poza kilkoma wyjątkami, byli zdyscyplinowani, mało kiedy pozwalali sobie na pełną swobodę. Byli na wojnie, co tego wieczora uświadomiła sobie Natasza. „To absurdalne, jak łatwo zapomnieć” – pomyślała. „Wiem, co się dzieje za granicą, ale moje postrzeżenie przesłonił pokój i spokój, w jakim sama żyję. Po pierwszych przerażających tygodniach przyzwyczaiałam się, jak wszyscy. Wojna jest tam. Tutaj pijemy kawę z piankami. Dlatego pewnie zapomniałam, co tak naprawdę znaczy: wojna”.

Wróciły do niej obrazy z pierwszych tygodni, z lutego i marca dwa tysiące dwudziestego drugiego roku. Pospolite ruszenie, z tym się tamten czas mógł kojarzyć. Ludzie przekraczający granicę szeroką falą. Przyjeżdżali do Polski, koczowali na dworcach. Polacy robili zrzutki – dary zbierano w sposób zorganizowany i na zbiórkach całkowicie prywatnych. Samochody osobowe, furgonetki, autokary stały w korkach do granicy. Przewoziły wszelkie dobra – żywność, leki, środki sanitarne, zabawki, kaszki dla dzieci, pieluchy, ubrania... Ludzie informowali, co jest potrzebne, i samorzutnie organizowali zbiórki i transport. Chyba w każdej polskiej rodzinie był ktoś, kto pojechał na granicę, kto zawoził dary. Robiono zakupy, wpłacano niemałe kwoty. Natasza sama przecież słyszała... Tylko puszki, żadnych słoików. Mogą się stłuc. Pieluchy dla noworodków są najbardziej potrzebne. Woda, potrzeba dużo wody! Pościel, tylko nowa. Kurtki dla chłopców na metr czterdzieści...

„Polacy przyjęli Ukraińców jak braci. A może i lepiej” – przemknęło Nataszy przez myśl, gdy przypomniała sobie zachowanie własnego brata.

Wszystkie te wspomnienia wróciły jak migawki brutalnego filmu dokumentalnego. Raniły każdy fragment duszy. Pozostawały najokrutniejsze w każdym wymiarze. A jednak człowiek potrafi się niemal do wszystkiego przystosować. A może i w ogóle do wszystkiego. Nawet do wspomnienia wojny. Nawet do jej świadomości. Nawet do tego, że tam zostali przyjaciele.

Pewnie gdyby zostali tam rodzice, może bracia, Natasza wspominałaby wojnę każdego dnia. Być może ta pamięć uniemożliwiłaby jej spokojną codzienność. A tak... świadoma tego, co dzieje się za wschodnią granicą, potrafiła się śmiać, cieszyć smakiem waniliowych lodów, przymierzać kolorową spódnicę, na którą jej nie stać. Myśl o wojnie uczyniła zaledwie tłem, które pozostaje niedostrzegalne.

A teraz... Teraz tam poleciał Robert. Na wojnę. I nie wiadomo dokładnie, kiedy wróci.

ROZDZIAŁ 12

Miałem wtedy trzynaście lat. Nie byłem nikim szczególnym, ot, nastolatek jakich wielu. Trochę postrzelony, dość beztrojski, choć przyzwyczajony już do pracy. W gospodarstwie każda para rąk jest na wagę złota, każdy musi dołożyć się do wspólnego dobrobytu. A trzynastolatek wtedy to był już prawie mężczyzna, nie to, co teraz. Dzisiaj w tym wieku to jeszcze dzieciaki, siano mają w głowie i nic, tylko te telefony przed nosem.

Nieważne.

Pomagałem dużo w obejściu – matka nie pozwalała mi doić krów, bo przy każdej próbie więcej rozchlapywałem na boki, niż rzeczywiście zbierałem mleka, a na koniec potrafiłem jeszcze wywrócić kankę. Wyprowadzałem jednak krowy na pastwiska, lubiłem to. Mogłem potem cały dzień bujać w obłokach.

Łąki były pełne owadów, które czasem kąsały, częściej fascynowały. Lubiłem szczególnie takie czarne chrząszcze. Przyznaję się dzisiaj do tego z pewnym wstydem – często wyrywałem im odnóża, przednie albo tylne, a potem obserwowałem, jak starały się... przeżyć. Oddalić z miejsca, gdzie je okaleczono.

Nie miały szans. Byłem większy, szybszy i... silniejszy. Tak samo jak...

O tym za chwilę.

Pszczołom przyglądałem się z większą atencją. Żądliły. Były groźne. Nie wpadłem na to, żeby je najpierw, cóż, rozbroić. Całe szczęście, bo pewnie sąsiad Bułgajewski, Mieczysław mu było, powrywałby mi nogi. Kochał on te swoje pszczoły. Dokarmiał, ale też i miód miał najlepszy, słynny w całej okolicy.

Leżałem więc na łąkach, popatrywałem na pola z dojrzewającą pszenicą i na las, w którym roilo się od zwierzyny. To wszystko to był nasz byt. Zboża dawały chleb, mama piekła czasem watuszki. Jeśli zasłużyliśmy, bo to był luksusowy przysmak. Do bułeczek dodawała sera, takiego domowego twarogu, jakiego już nigdzie potem nie jadłem. No i owoce. Najbardziej lubiłem gruszki. Mój stryj miał trzy grusze z tyłu, za domem. Potrzęsaliśmy czasem drzewami, strącając owoce. Albo zbieraliśmy spady. Nie zdążyły nawet nadgnić. Na bieżąco wybieraliśmy je z rzadkiego w tamtym miejscu trawnika. Słodkie, mięsiste, gruszki mojego dzieciństwa.

Krowy dawały mleko, świnie mięso. Także las obdarzał nas swoimi dobrami. Mięsem, choć mój ojciec nie lubił polowania. W szczególności nie pozwalał znęcać się nad dobijaną zwierzyną. Kłócił się z sąsiadami. Jeden z nich, nie pamiętam imienia, może to i lepiej, pozwalał sarnom konać długo i w męczarniach, ojciec nigdy się na to nie zgadzał. W lesie zbieraliśmy także jagody, borówki... Bułeczki z czarnymi kulkami lubiłem chyba najbardziej, może dlatego, że oznaczały środek lata. Długie, upalne dni, kiedy nigdy nie było głodno ani chłodno.

Takie to było nasze zwykłe życie. Chciałbym do niego wrócić, choć to oczywiście absurdalne. Jestem już stary, nie można stać się na powrót trzynastolatkiem po tylu latach. Każdy by chciał!

Byle tylko był to powrót do czasu, w którym nie nastąpił tamten dzień.

Każdy chciałby stać się na powrót niefrasobliwym dzieciakiem, prawda? Choć nie każdy musi się tego bać.

Zimą nie byliśmy tacy beztrojscy. Zimy bywały okrutne. Nie tylko długie i mroźne, ale także głodne. Nie aż tak, jak w czasie wielkiego głodu, choć pamięć o hołodomorze nie zgasła. Minęło przecież zaledwie dziesięć lat. Po doświadczeniu głodu, powiedzmy, że żyło nam się lepiej niż dobrze, nawet zimą czy na przednówku, choć bywało skromnie.

Każdy by chciał wrócić do takich czasów.

Ta zima była wyjątkowo sroga. A może tylko tak ją pamiętam. Było minus trzydzieści stopni, wszędzie wokół białe. Śnieg skrzył się w mroźnym słońcu dniami, a nocami odbijał światło księżyca, jakby sam świecił. Niczym wielka, rozłożona na całym świecie latarnia.

Czasy nie były spokojne. Wojna to jest zawsze zły czas, dla wszystkich. Baliśmy się Niemców, choć przecież okazało się, że wcale nie oni byli najgorsi. W lasach wokół Parośli działała partyzantka. Tydzień wcześniej Niemcy przegrali bitwę pod Stalingradem. Chyba jeszcze o tym nie wiedzieliśmy, ale Ruscy już się w okolicy uaktywnili.

Przez Paroślę ciągle ktoś przechodził. Kręcili się Niemcy, Ruskie, no i ukraińscy partyzanci. Ciągle ktoś kogoś atakował, w końcu wojna. Dzień wcześniej pierwsza sotnia UPA zaatakowała niemiecki posterunek we Włodzimiercu. Dwanaście kilometrów od nas. W miasteczku stał piękny pałac Krasickich,

wokół park, po którym kiedyś nawet spacerowałem, choć pamiętam to jak przez mgłę, gorzelnia, kościół pod wezwaniem świętego Józefa, cmentarz i niemiecki posterunek. To on był celem sotnistów Hryhorija Perehijniaka. Podobno chcieli odbić jakiegoś swojego, mówili na niego Dibrow, choć to nie było jego nazwisko. Nie wiem, kto to był. Pewnie ktoś dla nich ważny...

Ważniejszy od wszystkich innych, widocznie.

Podobno Ukraińcy zabili jednego Niemca i trzech Kozaków. Inni twierdzili, że zabili ich dużo więcej, nawet i ponad sześćdziesięciu. Ale to chyba nieprawda, Ukraińcy tylko sęczyli taką propagandę, rozprzestrzeniając swoją najstraszniejszą broń – strach.

Wiem jednak, że na pewno sześciu Kozaków wzięli w niewolę. Wiem to na pewno, bo sam ich widziałem. We Włodzimiercu strzegli posterunku, ale kiedy miałem ich przed oczami, byli... już nie prezentowali się jak żołnierze.

Sotniści to byli nasi sąsiedzi z okolicznych wiosek. Wielu z nich dobrze znaliśmy. Utrzymywali z nimi relacje moi rodzice, babcia, wujostwo. Tam wszyscy byliśmy kamraci, ludzie mieli dla siebie czas, nikt nie pytał o narodowość. Wszyscy pomagali sobie przetrwać zimę, przednówek. Życie nie było łatwe, niczego nie można było załatwić w markecie za rogiem. Trzeba było się wspierać – i tak właśnie żyliśmy. Byliśmy ze sobą razem w trudnych chwilach. Chodziliśmy też na wspólne zabawy, to znaczy starsi chodzili, ja tylko czasami mogłem podglądać. Takie to było wszystko normalne, po prostu. Nic szczególnego. Ludzie żyjący ze sobą w symbiozie.

Tego dnia rano sotniści zamordowali w lesie pracujących drwali. Pięciu mieszkańców kolonii Wydymer. Musiało to się zdarzyć skoro świt, bo gdy zapukali do naszych okien, jeszcze spaliśmy, a przecież zawsze wstawaliśmy ze słońcem. Ojciec zerwał się z postania i wyjrzał przez okno. Do dziś pamiętam, jak stwierdził spokojnie:

– To jakieś wojsko.

Mieli to być Rosjanie, szybko jednak usłyszałem w głosie matki wątpliwość.

– Dlaczego Rosjanie mówią po ukraińsku? – zapytała ojca szeptem. – I dlaczego tylko kilku ma na sobie rosyjskie furazerki, a wszyscy pozostali noszą ukraińskie sukmany?

Ojciec nakazał jej milczenie, posłusznie więc wykonywała ich żądania. A na początek oczekiwali, by podłogę w dużym pokoju wyłożyć im słomą.

Pomagałem mamie. Ja i moja jedenastoletnia siostrzyczka, Tereska.

Dowódca tłumaczył ojcu, że wszyscy jego żołnierze są wyczerpani partyzantką przeciw Niemcom. A skoro walczą z okupantem, czyli także w imieniu Polaków, to zarówno ojciec, jak i wszyscy mieszkańcy Parośli, są zobowiązani do udzielenia im pomocy. Został przez jakiś czas w kuchni sam z ojcem, potem zażądał obiadu dla wszystkich swoich ludzi.

Był luty! Ojciec doskonale wiedział, że tego, co jest w spiżarni, musi wystarczyć dla całej naszej rodziny jeszcze na wiele tygodni, bo niepodobna wyjść na pole i narwać chociażby pokrzyw na zupę. Miął się więc, ale gdy przywódca bandy wpadł do spiżarni i znalazł płat słoniny, wściekły uderzył ojca kolbą, a potem wywłókł go do drugiego pokoju i pobił. Nikt z nas tego nie widział. Reszta rodziny została w innym pomieszczeniu.

Baliśmy się, kto by się nie bał. Ojciec szybko wrócił, a kiedy matka dopadła do niego, dopytując, co mu zrobili, machnął tylko ręką i powiedział, że wcale nie chodziło o słoninę ani nawet o obiad. Ukraińcy szukali broni – i ją znaleźli. Ojciec, jak wszyscy inni, miał ją jeszcze po poprzedniej wojnie. W środku lasu broń jest potrzebna, chociażby na polowania. Oddał, co miał, i dali mu spokój.

Spokój...

Ukraińcy mieli odpocząć jeden dzień. Podjeść, przespać się i odjechać następnego ranka.

I prawie tak było. Następnego dnia odjechali.

Zanim jednak tak się stało, zjedli obiad. Żołnierze pokotem padli na wyłożoną słomą podłogę, a dowódca poszedł się naradzić, nie wiem z kim, do jakiegoś sąsiedniego domu. Było ich wtedy w Parośli dwadzieścia sześć albo dwadzieścia siedem. Wszyscy się znaliśmy, wielu mieszkańców było spokrewnionych. Zapewne nie wszyscy się lubiliśmy, nie byliśmy wszyscy przyjaciółmi... Pewnie nie. Ale tak właśnie to pamiętam. Mieliśmy spokojne życie, pełne zwyczajnych spraw. Dziewczyny martwiły się o to, czy oświadczy się odpowiedni chłopak, matki pilnowały cnoty córek, ojcowie dbali o tężyznę synów. Sąsiadki plotkowały, mężczyźni popijali wieczorami. Zwyczajność, trochę nudna, dzisiaj myślę, że nuda to najpiękniejszy dostępny człowiekowi stan.

Nie pozwalano nikomu wyjść z domu, nawet do obrządku. Na każdy ruch potrzebowaliśmy zgody. Nawet wyjście do obory było niemożliwe bez zgody „partyzantów”. Byliśmy więźniami we własnym domu, choć ja nie czułem wtedy jeszcze grozy. Ot, chwilowe zawirowanie w życiu dorastającego

chłopaka. Zdawało mi się, że jestem już dorosły, bo tata czasem na polowaniu pozwalał mi oddać strzał. Nosilem wysoko głowę, bo bywało, że mama kazała mi się opiekować siostrą. Zresztą, w tamtym świecie trzynastolatek musiał być samodzielny. Dzisiaj chłopak w tym wieku to dzieciak.

Ja stałem się mężczyzną w ciągu jednej nocy.

Gdy dowódca wrócił z „narady”, przyprowadził Kozaków z Włodzimierca. Tych, którzy strzegli tam posterunku. Nie wiem, gdzie wcześniej byli. Umieścił ich w naszym dużym pokoju, tym wyłożonym słomą. Widziałem ślaniających się mężczyzn w samej bieliźnie. Wtedy dowódca zapytał moją matkę, tak grzecznie, czy ma siekiere.

Trudno, żeby w gospodarstwie nie było siekiery. Matka ją przyniosła, a on po prostu zarabiał tych Kozaków. Ot, tak. Na naszych oczach. Nie patrzyłem, zamknąłem oczy. Matka przytuliła nas do siebie, siostrę i mnie. A ten dowódca ciął, beznamytnie, tak po prostu. Było trochę krzyku, dużo jęków i jeszcze więcej śmiechu upowców.

Pamiętam, że ten dowódca otarł czoło przedramieniem. Zmęczył się machaniem siekiery. Utrudził się tym mordowaniem, więc usiadł za stołem w naszej kuchni i wytłumaczył spokojnie rodzicom, że zrobił to w naszej obronie. Ci Kozacy współpracowali z Niemcami, zasługiwali więc na śmierć.

Dzisiaj myślę, że to nie była śmierć godna żołnierzy. To nawet nie była egzekucja. To była zwyczajna rzeź. Ale wtedy tak o tym nie myślałem. Po prostu się bałem. Tylko tyle.

Wiele słyszeliśmy wcześniej o różnych akcjach dywersyjnych. Partyzanci wysadzali tory, a strażników przywiązywali do drzew. Niemcy nie mścili się na nich, traktując ich jako ofiary napaści. Dowódca powiedział więc, że musi związać wszystkich domowników, by Niemcy, którzy przecież na pewno przyjadą do naszej osady, nie mieli wątpliwości, że my też jesteśmy ofiarami.

Na znak ojca wszyscy daliśmy się związać. Podobnie jak nasi wujowie, zaprzyjaźnieni sąsiedzi oraz ci, których nie lubiliśmy. Wszyscy mieszkańcy wioski, choć dowiedzieliśmy się o tym dopiero następnego dnia. Sto trzydzieści osób, mniej więcej. Wszyscy, cała nasza rodzina leżeliśmy pokotem, twarzami do ziemi, na podłodze naszego domu. W tym skromnym miejscu pełnym szczęścia i rodzinnej miłości.

Od tego momentu nic nie pamiętam.

Nic...

Pamiętam natomiast wszystko od chwili, gdy się ocknąłem.

Leżałem zalany krwią, podobnie jak moja siostra. Nasza mała siostrzyczka, kilkumiesięczna, leżała w koszu na stole. Nie płakała, pomyślałem, że śpi. Mama poruszyła się obok mnie, wtedy po raz ostatni spojrzałem jej w oczy. Chwilę później na jej szyję opadło ostrze siekiery, pamiętam do dziś, że jej czarny gruby warkocz raptem osunął się w dół jej szyi. Ojciec już nie żył. Z czaszki babki, Pauliny, miała wtedy dziewięćdziesiąt dwa lata, zwisał płät skóry.

Leżałem bez ruchu, jak sparaliżowany.

Banderowcy, czyli nasi znajomi z sąsiednich wsi, wynosili właśnie z naszego domu cały dobytek. Kołdry, garnki, wszystko. Wyprowadzili też zwierzęta, kwiczały przestraszone. Leżałem bez ruchu, wydawało mi się, że całą wieczność. Zapadła noc, wciąż leżałem jak zdrętwiały. Powiedziałabym, że nie wiem, ile to trwało, ale to nieprawda. Całą noc. Kilka godzin leżałem koło zakrwawionych trupów mamy, taty, babci i naszej najmłodszej siostrzyczki. Ocknąłem się rano na dźwięk skrzypienia sań. Na tym mrozie, a dzisiaj takiego zimna już u nas nie ma, wszystko skrzypiało. W końcu odjechali. Zabrali wszystko i pojechali. Zapadła cisza. Wyplątałem się spod ręki matki, nie chciałem na nią patrzeć. Ani na tatę, ani na babkę, na nikogo. Zerknąłem tylko przelotnie do koszyka z najmłodszą siostrzyczką, była przebita bagnetem.

Każdy z mieszkańców naszego domu został uderzony siekiery. Dorośli ostrzem, dzieci obuchem. Dlatego przeżyłem.

I Tereska, moja młodsza o dwa lata siostra.

Gdy się upewniliśmy, że naprawdę Ukraińcy odjechali, postanowiliśmy pobiec do domu stryja. Opowiedzieć o tym, co się stało.

Nie było komu opowiadać.

Przeżyła tylko żydowska sześciuosobowa rodzina schowana w piwnicy jednego z domostw. Upowcy nie znaleźli kryjówek. I my. I jedna sąsiadka. I jeszcze chyba ktoś, nie wiem.

Następnego dnia przed południem z sąsiedniego Wydymery przyjechał sąsiad na umówione spotkanie. Pamiętam wyraz jego twarzy, gdy nas zobaczył. Nie krzyczał. W Parośli panowała kompletna cisza.

Wtedy się okazało, że Niemcy nie byli tymi, których trzeba się bać. Do naszej osady jeszcze tego

sama dnia przyjechało mnóstwo Polaków z całej gminy. I Niemcy. Oni właśnie udokumentowali tę zbrodnię. I nawet oni nie mogli uwierzyć w to, co widzieli.

Nas uratowały ciotki. Tereskę i mnie. Nie chcieliśmy wyjeżdżać z Parośli, tam był nasz dom! Ale zabrały nas. Wychowały, wykarmiły, pomogły przetrwać i nie zwariować. Bo w Parośli był cały nasz świat, nasz dom.

Był. Czas przeszedł.

Nie mieliśmy już czego tam szukać, a ciotki dały nam nowy dom.

ROZDZIAŁ 13

Zuriana czytała tę dziwną opowieść oszołomiona i przerażona.

Wróciła właśnie z zakupów, tym razem skromnych. Po pracy po prostu wskoczyła do sklepiku, wyszła z paczką chleba tostowego, żółtego sera i lodów waniliowych. Bagietki nie mieli.

Zanim jeszcze włożyła klucze do zamka, już dostrzegła na werandzie plik kartek wepchnięty w szparę pod drzwi. W pierwszej chwili sądziła, że to jakieś ulotki, ale ponieważ nie dało się przez nie zamknąć drzwi, podniosła je i rzuciła na blat. Zastanowił ją brak kolorowych obrazków. Wróciła wzrokiem do tekstu i zaczęła czytać. Nie mogła przestać, choć ją przerażał.

– Co to, do cholery, ma być? – zastanowiła się na głos, kręcąc głową, gdy już skończyła lekturę. – Jakiś koszmar. Niech to szlag, zapomniałam o lodach!

Podskoczyła i włożyła pojemnik do zamrażarki. Może i były w postaci półpłynnej, ale na pewno nie zamierzała ich wyrzucać. „Na takie marnotrawstwo mnie nie stać” – pomyślała.

Odłożyła kartki na bok, starając się zapomnieć o przeczytanej historii. Włączyła telewizor. Przerzucała bezmyślnie kanały, usiłując wymazać z pamięci obrazy. W końcu nie wytrzymała. Sięgnęła po komórkę i włączyła wyszukiwarkę.

Czytała kolejne strony i otwierała oczy coraz szerzej.

– To wszystko prawda – wyszeptała w końcu. – Co to za wariactwo? Po co mi to?

Wzdrygnęła się.

Tej nocy nie mogła spać. Po każdym przymknięciu powiek przewijały jej się przed oczami sceny z Parośli. Drewniane domy. Trzy stare grusze. Łąka, dojenie. Słyszała kwiczące zwierzęta. Widziała ostrze siekiery opartej o ścianę domu. Musiała być świeżo naostrzona.

Otwierała oczy przestraszona. Siadała na łóżku. Oddychała ciężko.

Sięgnęła po tabletkę uspokajającą, po niej zapadła w płytki sen pełen zmór, krwawych śladów, pierza z rozerwanej koldry. Pomimo zażytej pastylki budziła się w nocy kilka razy z sercem łomoczącym niczym chorągiew na wysokim słupie w czasie porywistego wiatru. Oddychała z trudem, po czym znów zapadała w ciężki sen pełen makabrycznych cieni.

Rano zadzwoniła do Louise. Chciała opowiedzieć przyjaciółce, ale właściwie co? Że ktoś, jakiś chory umysł, podrzucił jej pod drzwi opis ludobójstwa z okresu drugiej wojny światowej? Czy to dlatego, że Robert poleciał do Polski? By bronić Ukrainy?

Kto jednak miałby to zrobić?

Nie ukrywała przed nikim, że Robert służy w tak elitarnej jednostce. Ba! Była z tego dumna! Chwaliła się synem wszem i wobec. Wszyscy sąsiedzi wiedzieli, dokąd poleciał.

I to miałby być powód, by podrzucać jej pod drzwi coś takiego?

Louise odebrała po trzecim sygnale, wyraźnie zaspana.

– Dasz radę odwieźć mnie dzisiaj na chemię? – zapytała po przywitaniu, a Zurianie natychmiast wywietrzała z głowy zbrodnia sprzed blisko wieku z drugiego końca świata.

– Jasne – odpowiedziała bez namysłu. – Na którą?

– Po twojej pracy, oczywiście. Wyjątkowo dzisiaj umówiłam się po południu.

– Przyjadę po ciebie jak najszybciej. I poczekam tam na miejscu.

– To może potrwać ze dwie godziny.

– Oczywiście. Wiem. I poczekam. Będę cię trzymała za rękę.

Usłyszała pociągnięcie nosem.

– Ty chyba nie ryczysz, co? – zapytała twardym głosem Zuriana.

– Skądże. Zakłócenie na linii. Samuel będzie u Marka.

– Po co mi to mówisz? Odbierzemy małego po powrocie ze szpitala.

– Na wszelki wypadek. Mogę nie mieć siły się nim zająć. Ostatnio... Nie czułam się najlepiej. Byłam bardzo osłabiona.

– To cudownie – odpowiedziała spokojnie Zuriana. – To oznacza, że chemia działa. Zabija komórki rakowe, przy okazji trochę zahacza o inne, to normalne. Tak musi być, żebyś wyzdrowiała.

– Kocham cię – stwierdziła Louise.

– A teraz muszę spadać, bo się spóźnię do pracy.

Rozłączyły się, a Louise podeszła do lustra. Zacisnęła wargi i uniosła rękę. Bez żadnego szarpnięcia wyjęła z głowy garść czarnych, kręconych włosów.

ROZDZIAŁ 14

Natasza miała za sobą ciężką noc. Była wkurzona na Sebastiana. Niepokoiła się o Roberta. Rozbiła ją niedyspozycja Karoliny. Martwił stan ojca. Złościła się na brata.

Choć wczorajszego popołudnia spotkało ją także coś miłego. Na swój sposób.

Wieczór się dopiero rozkręcał, przy stolikach siedziało zaledwie kilku gości. Po smutnym, długim okresie pluchy, zimna i szarości wreszcie wyjrzało słońce, chciało się żyć, aż Natasza zanuciła. Mama śpiewała kiedyś tę piosenkę. Zawsze nuciła, pracując w domu. Przy zmywaniu, prasowaniu i myciu podłogi. Natasza uświadomiła sobie, jak bardzo jej tego brakuje. Przymknęła na chwilę oczy, wystawiając twarz na działanie tych kilku słonecznych promieni, które wpadły przez okno.

На краю села хатина,
Загляда в вікно смерека.
В тій хатині є дівчина,
Та до неї йти далеко.
Ой, смереко,
Розкажи мені, смереко,
Чому так ростеш далеко,
Чарівна моя смереко^[1].

– Masz ładny głos – usłyszała i zacisnęła szczęki. Poczuła mrowienie na plecach, a niepokój aż szarpnął jej żołądkiem.

Odwróciła się i spojrzała w oczy żołnierzowi, który z całą pewnością wykorzystałby ją, gdyby nie Robert.

– Dziękuję, że tego nie zgłosiłaś – powiedział, patrząc jej w oczy. – Napadło mnie coś. Po prostu nie mogłem ci się oprzeć.

– To ma być komplement? – zapytała lodowatym tonem.

– Twarda z siebie sztuka. Nie, jasne. To są przeprosiny, choć może nieco nieudolne. Odbiło mi. Trochę tęsknoty, trochę alkoholu, kilka głupich odzywek w barze. – Od razu wyciągnął przed siebie ręce, jakby w obronnym geście. Nie dał w ten sposób dojść Nataszy do głosu. – Tłumaczę się, nie usprawiedliwiam.

– Jasne – odpowiedziała niby polubownie, choć wciąż patrzyła na chłopaka wrogo.

– Napiłbym się piwa – powiedział po chwili. – Jednego. Bo więcej mi szkodzi.

Kiwnęła głową i nałała do szklanicy lokalnego trunku.

– A w ogóle... wiesz, kiedy Robert wróci? – zapytała, stawiając naczynie na kontuarze.

– Dokładnie to nikt nie wie. Powinni być dzisiaj.

Aż podskoczyła. Dzisiaj!

Ale to było wczoraj, a Robert nie pojawił się barze. Zdała sobie sprawę, jak niewiele o nim wie. Znała jego dotyk i smak ust. Wciąż w uszach brzmiał jej jego głos. Miała numer telefonu, który teraz nie odpowiadał. Wiedziała, że pochodzi z Atlanty.

I co więcej?

To była niespokojna noc, pełna obaw i strachów, dlatego wstała wcześniej, już przed szóstą, z podkrążonymi oczami i piaskiem pod powiekami.

Zjadła skromne śniadanie, sprzątnęła całe mieszkanie, wstawiła i rozwiesiła pranie. Przed dziewiątą wyszła z domu, w szpitalu na pewno już trwało życie.

Wsuwała właśnie ręce w rękawy kurtki, gdy zadzwonił telefon. Odebrała, nie patrząc na wyświetlacz.

– Dzień dobry. – Nie rozpoznała głosu. – Sebastian Butkiewicz – usłyszała i odłożyła kurtkę na wieszak. – Chciałbym chwilę porozmawiać. Zaskoczyła mnie pani podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej.

– Rozumiem – odparła chłodno. – Choć nie musiał pan być tak grubiański.

– Oczywiście. Przepraszam. Po prostu...

Natasza pomyślała, że nastał w jej życiu urodzaj na kajających się mężczyzn. Wolałaby, by nie mieli powodów przeproszać.

– Do tej pory żyłem w przeświadczeniu – kontynuował Sebastian – że nie mogę mieć dzieci. To odważne oświadczenie, szczególnie że rozmawiamy drugi raz w życiu, i to przez telefon. Ale chcę, żeby pani się nie rozłączyła. Niech pani da mi dokończyć. Mój syn jest adoptowany i proszę mi wierzyć, dużo mnie kosztuje, żeby to wszystko głośno powiedzieć. Zdecydowaliśmy się z moją żoną na ten krok, bo

chcieliśmy stanowić pełną rodzinę, no i... zaskoczyła mnie pani.

– Rozumiem. I dlatego sugerował pan zabieg?

Usłyszała westchnienie.

– Mam poukładane życie, kobietę, której absolutnie nie chciałbym zranić, wiele razem przeszliśmy i...

Mężczyzna zawiesił głos. Natasza zrozumiała, że prosi ją o dyskrecję, wyrozumiałość i co tam jeszcze. Pomyślała jednak, dość sarkastycznie, że zupełnie nie pamiętał o żonie, kiedy bzykał się z Karoliną.

– Wie pan, moja przyjaciółka zabroniła mi kontaktować się z panem. Może pan zatem spać spokojnie. Pana idealne małżeństwo w niczym nie jest zagrożone. Bez żadnego stresu proszę wykasować ten numer i zapomnieć o naszej rozmowie. Do widzenia.

Rozłączyła się, choć nie miała takiego zwyczaju. Wiedziała, że to niekulturalne. To ten z drugiej strony powinien zakończyć rozmowę. Ten, kto zadzwonił. Starszy, mądrzejszy, lepszy.

Dlaczego tak myślała? Bo tak. Bo dziewczyna powinna być skromna, siedzieć ze złączonymi kolanami i spuszczonej oczami. „Ale ja jestem już kobietą” – pomyślała ze złością. „I choć tęsknię za tobą, mamo, jak szalona, to przestaję być cicha i skromna. Więc to ja będę kończyć rozmowy telefoniczne, domagać się uwagi i mówić, co myślę”.

– Przynajmniej czasami – dodała po chwili półgłosem.

Dotarła do Karoliny dwadzieścia po dziewiątej.

– Leżę i zapuszczam korzonki – narzekała przyjaciółka.

– Znaczy, że masz dobrą ziemię. W jałowej korzonki nie wyrosną. Przyniosłam ci pomarańcze i banany.

– Od bananów się tyje. Mają wysoki indeks glikemiczny.

– Nie narzekaj. Założę się, że na śniadanko nie serwowano przeglądu dań kuchni międzynarodowej.

Karolina wywróciła oczami.

– Zrobiłam zdjęcie. To było dzieło kulinarne mojego życia. Dwie połówki kromki chleba i dwa plastry mortadeli. Ale nieważne. Na sam widok jedzenia chce mi się rzygać, więc nawet danie od Gordona Ramseya nie zaspokoiliby moich potrzeb.

– Ale pomarańczka ode mnie owszem – spokojnie stwierdziła Natasza. – Więcej w niej soku niż miąższu, wsuwaj.

Karolina posłusznie zjadła dwa kawałki, po czym stanowczo zaprotestowała.

– Jeszcze odrobina i jadę do Rygi.

– Spoko. Na początek wystarczy. Przynieść ci coś jeszcze do czytania? Tamte książki oddam do biblioteki. – Natasza wskazała głową niewielki stosik.

– Wyobraź sobie, że tata dostarczył mi całą siałę lektur.

– Czyli zdecydowanie się odobrazil.

– Był wczoraj wieczorem. Podobno dziś ma przyjść mama. Nie wiem, czy mam siłę na jej wizytę. Znowu będzie o ojcu dziecka, ślubie i moralności.

– Mama cię kocha.

– Jasne, wiem. I rozumiem, oczywiście, co chcesz powiedzieć. Ty chciałabyś, żeby matka nawiązała ci makaron za uszami, byleby żyła.

Natasza kiwnęła głową.

– A ja nie chcę nawet słyszeć o ojcu tego dziecka.

– Ale on...

– Zabroniłam ci!

– Jasne. Chciałam tylko powiedzieć, że miał prawo wiedzieć.

– Czyli mnie nie posłuchałaś. Zadzwoiłaś do niego – wyszczała Karolina.

– To nic nie szkodzi. Facet jest żonaty. – Natasza wzruszyła ramionami.

– Przecież wiem. Z jakiegoś powodu nie chciałam, byś go szukała.

– I dzieciaty.

– Wiem! – rzuciła zirytowana.

– A jego dziecko jest adoptowane, bo on sam jest bezpłodny.

Karolina otworzyła usta i je zamknęła. I tak jeszcze dwa razy.

– Nie żeby mnie to jakoś specjalnie interesowało, tak tylko ci mówię. Choć właściwie to nieprawda. Jestem wściekła. – Natasza mówiła to z chłodnym spokojem. – Oszukałaś mnie, choć na to nie

zasłużyłam. Nie chcesz czegoś mówić, nie mów. Ale nie kłam. Pójdę już.

Karolina nie zatrzymała przyjaciółki. Płakała aż do południa. Wtedy wyszła do łazienki, umyła twarz lodowatą wodą i uznała, że czas wziąć się w garść.

– Za dwie godziny przyjdzie tata – powiedziała do swojego odbicia. – I nie może widzieć mnie zaryczanej.

Dla Nataszy był to jednak szczęśliwy dzień. Bardziej niż udany. Gdy przyjechała do pracy, czekał na nią Robert. Znów podparty jedną nogą o ścianę, pochylony i wpatrujący się w ekran smartfona. Stał w cieniu, kolor jego skóry zdawał się bardziej szary niż czekoladowy, dla Nataszy – najpiękniejszy.

– Jesteś – wyszeptała tylko, wpadając w jego ramiona.

Całowali się jak nastolatki na pierwszej randce. Natasza czuła obecność Roberta w całej sobie, choć to zaledwie ręce błędziły pod kurtką. A jednak odbierał go każdy mięsień jej ciała, każde ścięgno i nerw.

– Nie zostawiaj mnie więcej na tak długo – powiedziała.

– To tylko trzy dni – odpowiedział.

– To wieczność bez informacji o tobie – sprostowała.

– Tych akurat nie mogę ci zapewnić, wiesz o tym.

– Wiem. Nie pytam, gdzie byłeś i co robiłeś. Chcę wiedzieć, kim byłeś, zanim tu przyjechałeś.

– Dzisiaj. Dziś wieczorem powiem ci wszystko. Mam przepustkę, pojedziemy do ciebie i...

Gwałtownie pokręciła głową.

– Nie pojedziemy do mnie.

Zdumiony popatrzył na nią.

– Pojedziemy do Rzeszowa, do mieszkania mojej przyjaciółki. U mnie nie ma warunków. Ja... ja... ja... Kocham cię – powiedziała ku własnemu zdumieniu.

Słowa uciekły jej nieproszone, wcale nie zamierzała czynić takich wyznań! Zbyt odważnych, zobowiązujących, może nawet uzależniających.

– Cudownie, że to mówisz – odpowiedział niespeszony Robert. – Bo ja to wiem, od kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Kocham cię.

– Pójdziemy do Karoliny – powiedziała Natasza. – To moja przyjaciółka. Leży w szpitalu, bo jest w zagrożonej ciąży. To dopiero początek, więc pewnie spędzi tam wiele tygodni, może nawet miesięcy. Mieszkam u niej, bo... tak jest wygodniej. Opiekuję się jej mieszkaniem.

Robert spojrział na dziewczynę z lekko kpiącym uśmiechem.

– Bo twój dom jest za daleko.

– Nie, oczywiście, ale ja... Opowiem później.

Robert się nie upierał. Całował Nataszę, jakby świat za chwilę miał przestać istnieć.

Z trudem oderwali się od siebie. Natasza zaczynała pracę. Robert wrócił do swojej kwatery, potrzebował kilku godzin snu. Wieczorem jednak czekał na Nataszę przed zamknięciem baru i razem pojechali do mieszkania Karoliny.

Takiej nocy Natasza nie przeżyła jeszcze nigdy. Choć nie przespała ani minuty, nie czuła rano zmęczenia. Endorfiny napędzały każdy jej ruch.

– Teraz opowiadaj – zażądał Robert przy śniadaniu. – Dlaczego przyjechaliśmy tutaj? Nie żeby mi się nie podobało, ale...

– To ja miałam się czegoś dowiedzieć o tobie – zaśmiała się Natasza.

– Obiecuję, że i na to przyjdzie czas. Ale teraz ciekawość mnie zżera. Ładne mieszkanie, ale nie twoje. Więc?

Natasza opuściła ramiona z westchnieniem.

– Przyjechaliśmy do Polski z Ukrainy, kiedy skończyłam szkołę średnią. Mama zachorowała, a tujejszy szpital oferował lepsze leczenie niż we Lwowie, poza tym mama jest... była Polką. Chyba tęskniła, nie wiem, czy to nie był najważniejszy powód naszej przeprowadzki. Ojciec kochał ją tak bardzo, że bez mrugnienia okiem sprzedał nasze luksusowe mieszkanie w centrum Lwowa i kupił podupadające gospodarstwo pod Rzeszowem. Dom był w kiepskim stanie, za to tani, a pieniądze były potrzebne na leczenie. Mama czuła się lepiej, zdawało się, że wychodzimy na prostą. Jako rodzina. Nie minęły jednak dwa lata i rak przyspieszył. Osiem miesięcy i mamy nie było. Przez jakiś czas... nie, właściwie to nieprawda. Tata od razu wpadł w taką depresję, że nie bardzo umiałam z nim przebywać. Alkohol pojawił się zaledwie po trzech miesiącach. Najpierw pomagał tacie wyjść z dołka, a potem... Dziś nie ma już naszego domu. Jest zapyziała, zapuszczona ruina bez żadnego dobytku. Wyprzedał wszystko. Jeszcze do niedawna miałam tam swój pokój, zamykałam go na klucz. Nic wielkiego w nim nie było, ale chociaż miałam porządek

w majtkach. Ale ostatnio... tata wyważył drzwi i wyrzucił wszystko z szaf, szukając pieniędzy. I tak nie znalazł, ale pokój już właściwie nie nadaje się do mieszkania. Nie potrafię sobie poradzić. Pomoc społeczna ma inne problemy niż nawracanie staczającego się Ukraińca. Zresztą... Mam chyba żal do taty, że tak zakochany w mamie, kompletnie zapomniał o mnie. Więc się wyprowadziłam. Powiedziałam tylko bratu, że musi zadbać o ojca.

– A drugi brat? Wspomniałaś, że masz dwóch?

– Oleg wyjechał do Anglii. Krótco po naszym przyjeździe do Polski. Przyleciał na pogrzeb mamy i tyle. Od czasu do czasu przysyła kilka funtów i dzwoni z życzeniami na święta.

Robert przytulił Nataszę.

– Dość rozczulania się. – Potrząsnęła głową. – Twoja kolej. Kiedy cię nie było, uświadomiłam sobie, jak niewiele o tobie wiem.

– Moja matka zakochała się wysokim blondynie, który zwiął z Polski z nieznanym nam przyczyn. On też lubi wypić, z dzieciństwa pamiętam całkiem niesympatyczne sceny. Nie był złym ojcem, za to fatalnym mężem. Mieszkamy w czarnej dzielnicy, więc dorastałem z kompleksem białego ojca. To nie jest powód do dumy, nie tam. Ćwiczyłem, uczyłem się... banalna historia. Wiesz, upór, konsekwencja, stypendium, takie tam. Kiedy trafiłem do elitarnej jednostki, kumple byli ze mnie nawet całkiem dumni. Stałem się tym, który zaszedł wyżej. Nasza dzielnica to nie była skrajna biedota, ale taka niższa klasa średnia. No i całkowicie czarna.

– Piękna historia.

– Raczej banalna.

– A widzisz się z ojcem?

– Ja? Wcale. Za to moja matka opowiada mi czasami, że Wojtek ją odwiedza. Choć nie powinien. Ma swoje życie. W głosie Zurianny za to słyszę, że każda jego wizyta, cóż, nie jest jej niemiła.

– Zurianna? Piękne imię.

– Tak, uwielbiam je. Ojciec twierdził, że kiedyś wróci do Polski i zabierze tu całą rodzinę. Jakoś się nie śpieszył. A to prawda, że w Polsce jest wielu Robertów?

– Tylko nie zdrabniają ich na Bob.

– Nie?

– Absolutnie. Robcio, Robuś.

– Skomplikowane. – Zaśmiał się. – Zjemy coś?

– Śniadanie dobra sprawa. Jajecznicą?

– Na bekonie.

– I żółty ser. Podobno w Ameryce wszystko jecie z żółtym serem. I z ketchupem. A frytki dodacie nawet do kanapek.

– Chyba naprawdę musimy się wiele o sobie nauczyć. Pójdźmy do sklepu.

Rozstali się około południa. Robert pojechał do jednostki, Natasza do szpitala.

– Przyniosłam ci owoce – powiedziała do przyjaciółki.

– Odobrzałaś się? – ponuro zapytała Karolina.

Natasza wzruszyła ramionami.

– W każdym razie na tyle, że przyniosłaś mi pyszne, świeże żarełko. Poza tym czujesz się oczywiście dotknięta, że nie powiedziałam ci od razu. Ja chyba po prostu nie chcę o tym rozmawiać.

Natasza przysunęła sobie krzesło i usiadła, patrząc przyjaciółce w oczy.

– Czyli ojcem jest jeszcze ktoś inny, nie słodki, chociaż bezpłodny Sebastian? A romans z tatusem był na tyle przelotny, że kryjesz faceta? Jest zapewne żonaty, dzieciaty i całkiem znany. Przynajmniej twojej rodzinie. Zapewne też od ciebie sporo starszy. Tak zgaduję, nie pytaj, skąd wiem, bo tylko przypuszczam. Po prostu cię znam. Kiedyś mi powiesz, być może. A teraz zjedz, kupiłam szarlotkę u pani Małgosi. Specjalnie dla ciebie.

Karolina przygryzła wargę. Wpatrywała się w talerzyk z ciastem, jakby zawierał tajemnice egipskie.

– Nic nie mów, jedz. – Natasza pokręciła głową z dezaprobatą.

– Możesz się na mnie gniewać. Kiedyś ci przejdzie.

– Kiedyś mi powiesz.

– Być może. A na razie ty mi powiedz. – Natasza spojrzała na przyjaciółkę z niezrozumieniem, więc ta dodała: – Promieniejesz.

Natasza wywróciła oczami.

– Nie kryguy się. Przecież to Robert – drążyła Karolina.

– Pewnie, że Robert. – Natasza nie powstrzymała szerokiego uśmiechu. – Zakochałam się jak kilkunastolatka.

– Coś pięknego. To tak jak ja.

– Jesteś nieznośna. Pojadę już do pracy.

ROZDZIAŁ 15

Wszyscy słuchaliśmy popa. Wiadomo, ksiądz wie więcej.

Skoro więc krzyczał na nabożeństwie, że Ukraińcy nie mogą przyjść na święcone, jeżeli nie zlikwidują Lachów, to wszyscy mężczyźni pojechali do Tucznej. Przed Wielką Sobotą wymordowali tam wszystkie polskie rodziny i jeszcze niektóre mieszane. A Rusinów spowinowaconych z Polakami zmusili do opuszczenia wsi. Co kogo obchodziło, że tam mieli swój dom. Swoje... wszystko. Musieli wyjechać.

Dla nich to może i lepiej. Bo ci pozostali umierali... długo.

Nie byli jedyni. Czy współczuję?

Dlaczego miałabym się litować?

Oni zrobili nam to samo.

Kiedy Polacy przyjechali do nas, najpierw zabili popa i jego rodzinę. Choć przyznać trzeba, zwykle skupiali się na mężczyznach. Lachowie na ogół pozostawiali przy życiu kobiety i dzieci, dlatego mogę o tym opowiedzieć.

Słyszałam o samolotach Sikorskiego, słyszałam. Chociaż tak trudno mi w to uwierzyć. Dzieci z rozpiętymi wokół ciała jelitami na kształt samolotowych skrzydeł? Nie widziałam.

Polaki zawsze nas uciskali. Oni byli tymi na gospodarstwach, my im tylko służyliśmy. Obrabialiśmy ziemię i zwierzęta, cięliśmy zboża późnym latem, czyściliśmy konie, przyjmowaliśmy porody zwierząt. Kobiety sprzątały domy, pilnowały dzieci. Ot, służba. Tylko że to my, Ukraińcy, zawsze byliśmy na służbie u Polaków. Uciskali nas! Na naszych własnych ziemiach.

Polacy więc przyjechali do naszej wsi, do Chlebowic Świrskich. To był piętnasty marca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Około sześćdziesięciu chłopów. Uzbrojonych. Czy byli umundurowani? Nie pamiętam. Chyba tak. Tak, byli. Mieli na sobie niemieckie mundury, ale mówili po polsku. Tam wszyscy mówiliśmy i po ukraińsku, i po polsku, często jeszcze po rosyjsku, a nawet i trochę po niemiecku. Wszystko się mieszało. Polak i Ukrainiec to byli sąsiedzi. Rodziny się mieszały. Polka matka, Ukrainiec ojciec, a dzieci? Mieszance, w tych niespokojnych czasach niczyje. Siostra w rodzinie ukraińskiej, brat w polskiej – powinni się przecież kochać, jak to w rodzinie. Ale jak mieli się kochać?

Nic nie było wtedy proste.

Kiedy więc ci partyzanci weszli do Chlebowic, było ich, jak wspomniałam, ze sześćdziesięciu. Pop i jego rodzina poszli na pierwszy ogień. Zaraz potem klerycy, a było ich czterech, nauczyciel, sołtys. Ci, co zdawali się we wsi najważniejsi.

Zabili tyłu, ilu ich było. Sześćdziesięciu ludzi. W tym sześciu Polaków, bo pachołki nawet nie potrafili rozpoznać swoich. Patrzyłam na to wszystko oczami kilkulatki. Widziałam, jak rujnują mój świat.

My, dzieciaki, pochowaliśmy się po stodołach.

Polacy chcieli udawać tych sprawiedliwych. Że niby zabijali tylko mężczyzn. I z broni. Rozstrzelali, tak cywilizowanie. Że niby nie ćwiartowali, nie używali siekier i pił. Łaskawcy!

A to całkiem nieprawda. Może nie u nas, nie w Chlebowicach, ale Lachowie też to robili. Wianuszki z dzieci powieszonych na drzewie owocowym w sadzie za oknem. Kilkuletnie dziewczynki gwałcone na oczach matek, ojców, braci. Dziewczyny, którym odcinano piersi zużytymi sierpami. Synowie rozcinani żywcem na oczach rodziców, przecinani na pół tępymi narzędziami. Zardzewiałymi piłami, dwuręcznymi. Wyszczerbionymi siekierami. Śmiali się przy tym! Czasem pijani, nie zawsze. Kobiety przybijane żywcem do drzwi własnych domostw, na oczach mężów, mężczyźni wbijani na pal... Litaki Sikorskoho, samoloty Sikorskiego, też były. To, że ich nie widziałam, nie oznacza, że ich nie było.

Tak więc sześćdziesięciu zabiło sześćdziesięciu. U nas to była egzekucja, ale w innych wsiach zupełnie inni Polacy używali siekier, wideł, pił, łomów, wszystkiego, co było w gospodarstwie pod ręką.

To tylko takie udawanie. Że niby polscy dowódcy zabraniali mordować cywilów. To wszystko zasłona dymna. Nie mieli na to żadnego wpływu! Ci niby żołnierze się mścili. Może i spotkało ich coś złego, co jednak zrobiły im, podłym Lachom, niemowlęta? Kilkuletnie dziewczynki? Byli okrutni, prymitywni i bestialscy. Zadawali niewinnym ludziom męczarnie.

Że niby odpłacali pięknym za nadobne? To oni zawsze zadzierali wysoko nos. Pilnowali, żebyśmy my, Ukraińcy, nie mieli dostępu do szkół. Żebyśmy pozostawali, jak sami to mówili, prymitywni. Uciskali nas! Jak niby wyższa klasa społeczna. My byliśmy zawsze obywatelami drugiej kategorii, ich zdaniem, oczywiście. Kim niby byli, by tak twierdzić?

Kiedys słyszałam, z jakim wstrętem opowiadali o naszej zabawie. Chłopy popiły, prawda to, bawili się zapamiętane. Nie popieram, to jednak był tylko głupi festyn. Obdarli ze skóry byka. Żywego

wprawdzie, ale i tak przeznaczonego na rzeź. Był stary i już do niczego się nie nadawał. Zwierzę to tylko zwierzę!

A Lachowie to byli zarozumialcy. Mordy na nich były jedyną możliwością, żeby nasz naród się uwolnił z polskiego ucisku. Oni jednego z nas, my dziesięciu. To oni dwudziestu. I tak z dnia na dzień. Strach to był nasz codzienny towarzysz.

Żyję, ale czy na pewno powinnam?

Nie pal przy mnie świec. Wolę siedzieć w ciemności. Kominek, ognisko, nawet fajerwerki – to nie dla mnie. Bo pamiętam tamte domy, które płonęły zbyt jasno, zmieniając noc w dzień. Dla mnie, wtedy sześciolatniej, to był piękny widok. Pochodnie świetlistości. Myślałam, że to jakieś specjalne święto. Nawet przez chwilę kręciłam się w kółko i klaskałam w rączki. Zawsze lubiłam zabawę. Matka chwyciła mnie wtedy za rękę, szarpnęła, aż zabołało. Skrzywiłam się, bo nigdy tak mnie nie traktowała. Moja mama była dobra. Do tamtego dnia zawsze zwracała na mnie uwagę. Wtedy obraziłam się na nią, bołało mnie ramię, zepsuła mi zabawę. Zaciągnęła mnie do domu, wepchnęła za łóżko, kazała siedzieć cicho.

Dlatego nie widziałam, jak strzelali mojemu ojcu w plecy. Tchórze. Z tyłu. Co im zrobił? Był Ukraińcem. Nie znęcali się nad nim, podobno. Tego nie wiem na pewno. Widziałam jednak, co zrobili z moją matką. Przeżyła to, niestety, a spod moich powiek te obrazy nigdy nie znikły. Wystarczy, że zamknę oczy, i ją widzę. Leżącą na środku naszego największego pokoju, na dywaniku, który poprzedniej zimy utkała z różnych resztek. Nie miał być ładny, miał chronić nas od zimna, które ciągnęło od podłogi. Nie poruszała się, odwróciła w moją stronę twarz i tylko pokręciła głową. Miałam milczeć. Włożyłam więc pięść do ust i przetykałam wrzask.

Ci ludzie... to nie byli żołnierze. Przyszli później. Kładli się na mamie po kolei. Nie rozumiałam, dlaczego zadarli jej spódnicę, dlaczego przytrzymywali ręce. Tylko na początku, potem już się nie szarpała. Nie wiem, ilu ich było. Pewnie kilku, choć mnie wtedy wydawało się, że setki.

Mama była piękną kobietą. Miała takie grube, czarne włosy. Splatała je w długi warkocz, który upinała wokół głowy. Zawsze chciałam mieć takie włosy jak mama. Wtedy warkocz odcepził się od głowy, a może któryś z oprawców po prostu wyrwał przytrzymujące go spinki? Trzymali warkocz zpleciony na dłoni i szarpali głową mamy. Stukała regularnie o podłogę, dywanik amortyzował uderzenia. Potem mama patrzyła na mnie szklanym wzrokiem, leżała tak długo na środku pokoju. Nie odzywałyśmy się do siebie. Ile minęło czasu? Kilka godzin? Kilkanaście minut? Dwa dni? Nie mam pojęcia.

Nigdy potem z mamą nie rozmawiałam na ten temat. Nigdy też już mnie nie przytuliła. Ci oprawcy... Wyjeżdżając z naszej wioski zabrali wszystko. Zwierzęta, konie, krowy, kury. Nawet świnie, która właśnie miała się oprosić. Nie nadawała się do drogi, pewnie ją zarżnęli po drodze. Zwierzęta płakały, słyszałam ich skargi, nie ruszałam się jednak, wpatrzona w szklane oczy mamy. Zabrali wszystkie zapasy. Płaty słoniny, kosz jajek, worek z mąką. Wszystko. Z domu wynieśli przede wszystkim pierzyny, tego szukali najbardziej, może cierpieli zimno w lesie? Poza tym powyciągali garnki, ubrania, zdemolowali meble, roztrzaskali siekierą drzwi wejściowe. W tym czasie już nie chowałam się za łóżkiem, tylko wcisnęłam się pod nie. Chodzili po pokoju, omijając mamę jak rzecz. Kopali ją od czasu do czasu, leżała przecież na samym środku. W końcu któryś pociągnął za róg dywanika, przesunęli mamę w kąt.

Może i nie było z nami najgorzej. Kiedy odjechali, miałyśmy ciągle dom, niespalony. Cztery ściany i podłoga. Nic więcej. A nie, jeszcze wspomnienia. Takie, których nie byłyśmy w stanie w żaden sposób znieść.

Sąsiedzi podnosili się po tym napadzie. Twierdzili, że i tak nie było najgorzej. W innych wsiach Polacy wyrzynali wszystkich. W jedną noc unicestwiali całe sioło. Pozostawały tylko dopalające się sterty tego, co niegdyś było domami. I kupy trupów. Czasami nie było komu dokonać pochówku. Zwłoki leżały na powietrzu, rozkładając się stopniowo, narażone na wyżeranie przez zwierzęta, omywane deszczem, śniegiem, słońcem, aż do zaniku. Aż do kupki zbielełych kości.

U nas spalono tylko kilka domów. Wieś mogła się odrodzić. Miałyśmy dalej żyć w tym miejscu. Miałyśmy dalej tam żyć?

Może ja potrafiłabym zapomnieć. Gdyby mama potrafiła się mną zająć, wszystko mogłoby się ułożyć. Zamazałby się w mojej pamięci obraz dwóch starszych braci i najmłodszej siostrzyczki. Dziwiałam się, że mała nie płakała, potem dopiero odkryłam, że leżała przybita do stołu w swojej wiklinowej kołysce. Mama to wiedziała, nie pozwoliła mi jej oglądać, ale i tak podejrzałam. Miała twarzyczkę białą niczym śnieg, powieczki zamknięte, a włoski przykleiły jej się do główki. Pomyślałam, że ona strasznie długo śpi.

A potem mama wykopała za domem dół, w nim ułożyła małą Hanulkę.

Nie wiem, co zrobiła z ciałem taty i braci. Może pomogli jej sąsiedzi? Polacy.

Tak, byli też dobrzy Polacy, choć trudno było nam wtedy w to uwierzyć. A może ciągle trudno mi to przyznać. Zamieszkałyśmy u mojej ciotki, kilkanaście kilometrów od Chlebowic, ale nigdy już nie poczułyśmy się bezpieczne. Zresztą, nie byłyśmy. Polacy napadali na ukraińskie wsie i bezlitośnie nas wyrzynali. Wycinali całe wsie w pień.

Czemu się dziwić, że Ukraińcy robili to samo Polakom? To naturalne i zgodne z porządkiem rzeczy. Wet za wet, oko za oko. Jak to Polaczki mówią? Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Może i zapłata była sroga. A może odpowiednia.

Ja pamiętam tamtą noc do dziś, choć mam już lat tyle, co dinozaury. Tamto pamiętam.

ROZDZIAŁ 16

– Chciałabym kiedyś poznać twoją mamę. – Natasza leżała na łóżku, wtulając się w Roberta. Palcem wskazującym gładziła jego ramię. Słońce dopiero wschodziło, rozkładając cienie na jego muskulaturze. Ciemna skóra wciąż zachwycała dziewczynę.

– Na wszystko przyjdzie czas. Po wojnie. – Cmoknął ją w policzek.

– Zawsze jest jakieś „kiedyś”, „później”, „potem”, prawda?

– Zawsze jest przyszłość.

– Która dzisiaj zawiera się w niespóźnieniu do pracy. – Natasza zerknęła na zegarek, przeciągnęła leniwie i wystawiła stopy spod kołdry.

– Odwiozę cię.

Kiwnęła tylko głową.

– Ale najpierw śniadanie. Jajecznica na bekonie, bez żółtego sera.

– Cudownie. I bagietka.

– Taka, jakiej twoja mama nie dostanie w Atlancie.

Robert uśmiechnął się pod nosem.

– Z wiejskim masłem posypanym morską solą.

– Takim masłem, jakiego nie ma w Atlancie. To będzie perfekcja.

Robert wskoczył pod prysznic, Natasza przygotowała śniadanie.

– Czasem myślę – powiedział, siadając za stołem – że uważasz Atlantę za połączenie głębokiego amerykańskiego Południa, na którym wciąż czarnoskórzy niewolnicy harują na tajnych plantacjach bawełny, z nowomiejskim zurbanizowanym terenem pozbawionym zieleni i dostępu od świeżej żywności.

– Z tą bawełną to przesadziłeś.

– Może trochę. – Zaśmiał się lekko ironicznie.

– Sam przyznaj, że chciałeś na śniadanie zjeść płatki z mlekiem. Takie słodzone kuleczki.

– Mama mi takie robiła, kiedy byłem chłopcem. To wspomnienie.

– No właśnie. I może dlatego właśnie myślę, że tam u was nie ma dobrego jedzenia. Świeżych warzyw i pysznych, pachnących bagietek. Sklepy są pełne dań gotowych do włożenia do mikrofal i przetworzonych półproduktów. A tutaj zjemy jajka od szczęśliwych kurek i świeżo ubite masło.

– Prawie. – Robert parsknął śmiechem. – Bagietki są! Atlanta to wielkie miasto, pełne wyraźnych kontrastów. Wiesz, że mamy ponad pięćdziesiąt ulic z odmianą słowa Peachtree?

– A u was rosną drzewa brzoskwiniowe?

– Właśnie nie. – Śmiał się dalej. – A mamy Peachtree Plaza, Peachtree Street, Peachtree Avenue...

Nie wpisuj do nawigacji tak po prostu Peachtree, bo raczej nie dojedziesz w żądane miejsce. Poza tym Atlanta to centrala dla wielu korporacji, miasto wieżowców, hipsterów i prezesów, których jedna kolacja kosztuje więcej niż miesięczne wyżywienie przeciętnej rodziny. Ci ludzie piją francuskie wina po kilkaset dolarów za butelkę, delektują się homarami, które na lodzie, specjalnie dla nich, przyleciały dwie godziny wcześniej prywatnym samolotem, smakują makaroniki z kremem cytrynowym, lekkie jak chmurki. I tak dalej. I prowadzą największe światowe firmy, Coca-Cola, Home Depot, UPS, Delta Air Lines.

– Czyli mówiłam. Dla wybranych smakołyki, a większość ma dostęp tylko do chemicznego badziewia.

– Coś w tym jest. Jest mnóstwo fast foodów. Wiesz, że wasz McDonald's smakuje inaczej?

– Niemożliwe. To jest takie samo badziewie wszędzie na świecie.

– Skądże. W Polsce jest znacznie lepszy.

– Wolę zatem nie wiedzieć, jak smakuje w Atlancie.

– W całych Stanach. Poza tym popularne u nas jedzenie to corn dog, czyli smażona parówka w cieście kukurydzianym. Typowe jak kanapka z kurczakiem i frytkami.

– Mówiłam! Frytki do wszystkiego! I ketchup.

– Ketchup jak najbardziej. – Znów się zaśmiał. – W ogóle lubimy sosy. Serowy, pikantny, guacamole... Ja najbardziej lubię chodzić do Varsity, to chyba najpopularniejsza jadłodajnia w Atlancie. Pomieści nawet osiemset osób, jest ogromna. Właściwie to dwa budynki. Jeszcze kilka lat temu mieli *drive thru*, zamknęli je, przynajmniej w głównej lokalizacji. Słynne i tanie burgery to właśnie tam.

– Nie wierzę w tanie jedzenie – odparowała z powagą Natasza.

– Ależ ono naprawdę istnieje! Na przykład w Yeah Burger. Do tego chipsy, smażone plantany albo tater tots, małe krokiety z ziemniaków.

- A to jest jadalne?
- Przyjmijmy, że popularne. W Atlancie nawet słynne. I tradycyjne. Ale wolę twoją jajecznicę.
- Pochlebca.
- Zawsze dodajesz do niej jakieś warzywa. Chociażby pomidory. W Atlancie zwykle jedyne warzywo na talerzu to dwa plasterki ogórka z zalewy. Chociaż nie, zapomniałem. Jest jeszcze sieć Chipotle, smakowałyby ci tam burrito. Dają wyjątkowo dużo zielonego i surowego.
- Znaczy się, warzyw?
- O to właśnie mi chodziło – przytaknął z uśmiechem. – Mamy też pizzę, najlepsza jest...
- We Włoszech – weszła mu w słowo Natasza.
- W Antico. Ich specjalność to Sophia, z truflową oliwą i pieczonymi grzybami. Aż poczułem ten zapach.
- Nikt mi nie wmówi, że to jest prawdziwa pizza. Naprawdę nie ma u was żadnego porządnego jedzenia dla maluczkich?
- Zabiorę cię, gdzie tylko będziesz chciała.
- Będę chciała wszędzie – odpowiedziała z filuternym uśmiechem.
- Na przykład na smażonego kurczaka marynowanego w maślanecy.
- A może być coś niesmażonego?
- Znajdziemy wszystko, co będziesz chciała.
- Chcę zwiedzać, oglądać z tobą świat^[2]. Może jednak jest w tej Georgii coś innego niż pozostałości po niewolniczych farmach.
- Wiesz, po tych polach bawełny – kontynuował lekko rozbawiony Robert – zostało sporo terenów rolniczych. Można sobie na przykład pojechać na plantację truskawek.
- Niech zgadnę, nazbierać i się najeść.
- I za to zapłacić, oczywiście.
- Rozrywka dla bogaczy. Kiedy ja byłam dzieckiem, też jeździliśmy na plantacje truskawek. Ale nie dla przyjemności, na zarobek. Wiesz, jaka truskawka jest najlepsza?
- Nie jestem dobry w gatunkach truskawek.
- Dmuchana.
- Nic mi to nie mówi.
- To taka, którą zrywasz z krzaka, odmuchujesz z piasku i wsadzasz prosto do ust, razem z szypułką. Odgryzasz ją już w ustach. Żadna sklepowa truskawka nie może się z taką równać. To absolutnie wybitny smak. Zabiorę cię kiedyś na taką plantację.
- Po wojnie.
- Wtedy na wszystko będzie czas.
- A teraz... znowu lecę na misję. Krótką. Będę jutro. – Robert spoważniał.
- Nie lubię, jak znikasz mi z horyzontu.
- Nie lubię znikać ci z horyzontu.
- Ale jesteś na służbie.

Rozłożył ręce.

– Nie wiem, czy ciągle mi smakuje – powiedziała Natasza, odkładając sztucce.

– Mój wyjazd to nie powód, żebyś nie jadła śniadania. Musisz mieć siłę, żeby na mnie czekać.

– Pod warunkiem, że weźmiesz dokładkę. Zrobiłam za dużo.

– A dasz jeszcze tej szyneczki od szczęśliwej świnki?

Pokręciła głową z dezaprobatą.

Nie rozmyślała o tym ani tego dnia, ani następnego. Dopiero wieczorem uświadomiła sobie, że Robert powinien wrócić. Powinien tu być.

Wróciła do mieszkania Karoliny niespokojna. Kogo miałyby zapytać o jego nieobecność?

„Tak już przecież bywało” – pomyślała przed zaśnięciem.

Spała, oczywiście, fatalnie. Budziła się wielokrotnie z sennych mar, które nawet nie były koszmarami, raczej szarymi, zamglonymi obrazami, pełnymi niespokojnych postaci. Za to rano obudziła się dopiero przed dziewiątą, od niepamiętnych czasów nie spała tak długo. Być może dlatego bolała ją głowa, musiała sięgnąć po tabletkę, czego nie robiła już od bardzo, bardzo dawna.

Nie miała ochoty na śniadanie, wypijała tylko szklankę soku pomarańczowego, wycisnęła go więcej, przelała do butelki i zapakowała dla Karoliny. U przyjaciółki spędziła pół godziny. Rzuciły błahymi żartami, Natasza kupiła po drodze dwie kolorowe gazety, czytały je razem, komentując kolejne operacje celebrytek, absurdalne porady żywieniowe, banalne pseudowywiady z gwiazdami telenowel.

Natasza podniosła się z krzesła w momencie, w którym przez szybę w drzwiach zobaczyła rodziców Karoliny. Pośpiesznie zebrała swoje rzeczy, kiwnęła głową przyjaciółce i skierowała się do wyjścia.

– Zostań, proszę – powiedziała, wchodząc do sali, matka. – Masz pewnie więcej rozumu w głowie niż nasza córka. Może ty przemówisz jej do tej pustej głowy.

Natasza spojrzała lekko skonfundowana na przyjaciółkę. Karolina westchnęła ostentacyjnie.

– Jeśli chcesz mnie przekonywać, mam, do ślubu, welonu i tych wszystkich...

– Nie, skądże. To znaczy, oczywiście, zamierzam, ale nie teraz. Teraz najważniejsze jest zdrowie, twoje i dziecka.

– Miłe, że już nie każesz mi go usunąć.

– Nawet o tym nie wspominaj. To grzech!

– To nie ty wspominałaś coś o...

– To było tylko głupie nieporozumienie. Nie wiedziałam, co mówię. Teraz musisz jeść. A ty – zwróciła się do Nataszy – wspomóż mnie chociaż w tym. Żeby moja córka dobrze jadła. Mieszkacie razem, ciebie posłucha bardziej niż mnie. Masz pomarańcze.

– Piłam już dzisiaj sok ze świeżo...

– Twierdzisz, że jakiś podły sok z kartonu jest lepszy od maminego?

Natasza nie powstrzymała parsknięcia.

– Przepraszam, zakrzusiałam się.

– Od dzisiaj będziesz jadła wszystko, co powinna przyjmować ciężarna. Wątróbki i szpinak, w dużej ilości. To przede wszystkim. Poza tym musisz jeść regularnie, pięć razy dziennie. Tak właśnie powinno być, a ty – matka wystawiała przed siebie palec oskarżycielsko wskazując na Nataszę – mi w tym pomożesz.

– Tak jest.

– No. O ślubie porozmawiamy innym razem.

– Ślubu nie... – próbowała wtrącić Karolina.

– Nie będziemy dzisiaj o tym rozmawiać. Teraz masz się po prostu dobrze odżywiać. – Matka Karoliny wyjmowała z torby kolejne pojemniki. Począwszy od piątego Natasza coraz wyżej unosiła brwi. Nie zdążyła jednak nic powiedzieć.

– Jutro wrócę po pojemniki. Mają być puste. A ty – palec znów wskazał wprost na Nataszę – masz tego dopilnować.

Matka kiwnęła głową w stronę córki i skierowała się do wyjścia.

– Co zrobiłaś mamie? – zdołała zapytać ojca Karolina.

– Ma misję – wyszeptał. – Rozmawiała z ciotką Ireną.

– Pośpiesz się – usłyszeli. Ojciec rozłożył ręce i wyszedł ze szpitalnej sali.

– Co to było? – nie powstrzymała się przed komentarzem Natasza.

– Ciotka Irenka wyjaśnia wszystko – powiedziała Karolina ze śmiechem. – Ona zawsze uwielbiała karmić. To jej życiowa misja. Poza tym ma ze wszech miar racjonalne podejście do życia. Nigdy nie walczy wprost, za to zawsze doprowadza do swojego celu.

– Czyli twojego ślubu?

Karolina prychnęła.

– Musisz mi pomóc. Choćbym żuła przez cały dzień, nie przejem tego wszystkiego. Zabierz część do domu.

– A pojemniki?

– Rzeczowo myślisz. – Karolina pokiwała głową. – Wiem. Tu jest kuchenka. Taka mała pakamerka z kuchenką mikrofalową i komorą zmywaka. W szafce są słoiki. Weź je. To tylko pożyczka. Przełożymy część jedzenia, pojemniki zostaną. Jutro przyniesiesz jakieś z domu.

Rozbawione zajęły się przekładaniem jedzenia. Natasza zapomniała o swoim zmartwieniu.

Myśl o Robercie wróciła zaraz po przekroczeniu progu szpitala. I towarzyszyła jej przez całe popołudnie.

Następnego dnia rano sytuacja się powtórzyła. Natasza źle spała, do Karoliny przyszła z bólem głowy i siatką pojemników.

– Źle wyglądasz – przywitała ją Karolina.

– Kiepsko spałam. Zjadłaś wszystko?

– Ledwie. Dzisiaj zabierz więcej.

– Ja też nie zjadłam. Nie dałam rady.

– Wychodzi na to, że moja mama rzeczywiście karmi mnie za dwoje. Ty i ja razem nie dałyśmy

rady tego przejeść! Kocha gotować, a ty kłamiesz.

– Że co?

– To nie kwestia spania, tylko czymś się martwisz.

Natasza zacisnęła wargi.

– Robert powinien wrócić przedwczoraj.

– Ops – powiedziała Karolina.

– No właśnie. A ja nie mam kogo o niego zapytać. Jestem dla niego... nikim.

– Powiedziałaś to tak, jakbyś oświadczała mi o kolejnej pladze egipskiej. Hiszpanka i COVID-19, połączone ze świńska grypą i ebolą. Naprawdę cię wzięło, co?

Natasza wzruszyła ramionami.

– Tak.

– Pierwszy raz tego nie kryjesz, a to znaczy...

– Że wpadłam po uszy. Ostatnio powiedziałam Robertowi, że chciałabym poznać jego mamę.

– Grubo. Ale znacie się zaledwie kilka tygodni. Zwolnij trochę.

– Powinam, prawda?

Karolina pokiwała głową.

– Tak zrobię. Pójdę już.

Natasza zebrała rzeczy, pożegnała się z przyjaciółką i wyszła ze szpitala.

– Może i powinnaś zwolnić, ale wcale tego nie zrobisz. Obstawiam, że jak tylko kochaś wróci, to nie zobaczę cię przez trzy dni. Przynajmniej przez tyle nie wyjdziecie z łóżka – powiedziała do siebie Karolina. – I właściwie to całkiem ci tego zazdroszczę.

ROZDZIAŁ 17

Minęły kolejne dwa dni. Natasza odchodziła od zmysłów. Zapytała jednego żołnierza, który – jak sądziła – był dobrym kolegą Roberta.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział spokojnie. – Możesz zapytać w dowództwie, ale...

– Takich informacji się nie udziela osobom postronnym – przerwała mu.

– Takich informacji nie udziela się nikomu – uzupełnił.

Natasza westchnęła.

– Naprawdę nic nie wiesz?

– Mieli być dwa dni temu.

– Robert mi powiedział, że lecą tylko na jeden dzień...

– Spodziewał się widocznie krótkiej misji. Coś się pokomplikowało.

Natasza zacisnęła wargi.

– Powinam się martwić, prawda?

– Nie – mruknął żołnierz. – Daj mi proszę jeszcze piwa... – Tak – powiedział, gdy upił już kilka łyków. – Możesz się martwić, ale nie powinnaś. To nic nie zmieni, bez względu na to, czy będziesz wypłakiwać oczy, czy nie. Jest wojna, nikt nie wie, co się wydarzy. My nie mamy pojęcia, co tam się dzieje. A Robert tam teraz poleciał i ma na to jakiś wpływ. Zaufaj, że wie, co robi.

Natasza zupełnie nie czuła się pocieszona. Nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Poszła nawet do dowództwa. Nie wpuszczono jej, oczywiście, przed oblicze dowódcy, jedynie jakiś żołnierz wysłuchał jej z pozorną powagą, choć była przekonana, że w głębi duszy kpi z naiwnej dziewczyny poszukującej chłopaka.

Po pracy wsiadła w autobus i pojechała do domu, do Nowej Wsi. Nie miała żadnych informacji ani od ojca, ani od brata. Chciałaby już nigdy w to miejsce nie wracać, ale cóż, ojciec to ojciec.

Nic jej nie zdziwiło. Ostatnio furtka wisiała na jednym skrzypiącym i pordezwiązonym zawiasie, teraz stała oparta o wątle resztki ogrodzenia. Widocznie skorodowany metal w końcu pokruszył się do końca. Trawa była oczywiście nieskoszona, po zimie brązowa i wysuszona, od ziemi odbijała jaskrawą zielenią. „Za kilka tygodni chwasty wybijają i znowu będzie tu zaniedbane zielone pole” – pomyślała z westchnieniem.

Na stołku postawionym tuż przy niewielkim budynku gospodarczym, trzonkiem do góry, stała siekiera. „Jeszcze nie zardzewiała, czyżby ojciec ostatnio coś rąbał? Może na opał” – przemknęło jej przez głowę.

Weszła do domu, który od jakiegoś czasu z trudem tak nazywała. Teraz to był rozpadający się budynek, z brudnymi oknami, bez firanek, o które tak bardzo dbała kiedyś matka. W środku nie zostało nic z ich przytulnego, rodzinnego gniazda. Ogołocone ściany, wyprzedane nawet rodzinne pamiątki – obrazki, tanie wizerunki Lwowa, kupione kiedyś podczas spaceru po starówce. „Ciekawe, jak teraz jest na lwowskim rynku” – myśl Nataszy uciekła na chwilę do rodzinnego miasta. Potrząsnęła głową i wróciła do rzeczywistości.

– Tato? – zawołała w głąb pomieszczenia.

Kłęb szmat poruszył się na zdezelowanej wersalce. Kiedyś była elegancką kanapą. Mama dbała o jej skórzane obicie, smarowała odpowiednimi pastami, by zachować ją w dobrym stanie na długie lata. Teraz skóra była częściowo zdarta, jednego oparcia nie było.

– Nareszcie – usłyszała zamiast dzień dobry. – Przyszłaś starego ojca odwiedzić. Co przyniosłaś? Pieniądze masz?

– Nie mam – odpowiedziała twardo Natasza. – Przyszłam sprawdzić, co u ciebie. Jak się masz?

– Źle się mam! – wykrzyknął z pretensją. – Nikogo nie mam, żeby o mnie zadbał. Kto mi upierze, posprząta? Odkąd matki nie ma, nikt się o mnie nie troszczy!

„Ja też potrzebowałabym rodzicielskiej troski” – pomyślała Natasza, zachowała jednak tę myśl dla siebie.

– Masz co jeść? – zapytała zamiast tego.

– Jeść to się zawsze znajdzie – usłyszała. – Pić potrzeba, bez tego świata się nie da udźwignąć.

Pomyślała, że to właściwie prawda. Też chętnie by się napiła.

– Na picie nie dam, ale jedzenie mogę przygotować – powiedziała. W myślach zaś dodała: „jeśli będzie z czego”.

Żałowała, że tak spontanicznie przyjechała do ojca. „Powinam zrobić jakieś zakupy” – wyrzu-

cała sobie. Lodówka i spiżarnia były puste. Stan tej pierwszej zresztą, pozbawionej już dopływu prądu, zupełnie jej nie zdziwił, w spiżarni jednak do niedawna stało jeszcze sporo maminych zapraw, przywiezionych jeszcze z Ukrainy. Matka szykowała ich co roku zbyt wiele, wszyscy się śmiali, że dzięki tym zapasom przetrwają wojnę atomową.

A tu, proszę. Wojna jest, ale wcale nie tutaj i wcale nie atomowa, i wcale nie da się jej dzięki temu przetrwać. Zresztą ojciec sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie miał zamiaru przetrwać, jakby jego jedynym celem było samounicestwienie.

– To daj jeść – zażądał ojciec.

Natasza za późno zrozumiała, że nieroztropnie obudziła w nim demony. „Będę musiała uciekać” – pomyślała ze zgrozą, widząc, że zbliża się do niej rozeźlony.

– A Jurij u ciebie był? – zapytała, próbując zmienić temat.

– Co ty mi tu o Juriju! Jego tu nie ma! A ty nie masz jedzenia dla starego ojca? Taka jesteś wyrodna córka?

Natasza zadrżała. Przypomniała sobie czas, gdy ojciec był tatą, eleganckim mężczyzną, starannie ogolonym i odzianym. Gdy zabierał ją na ulubiony strudel z lodami, gdy odwoził na zajęcia plastyczne, gdy... Nie chciała dać się zalać wspomnieniom. Nie w tej chwili. Teraz stał przed nią zarośnięty i cuchnący mężczyzna, w którego głosie buzowała agresja.

– Przyjadę jutro, tato, przywiozę jedzenie.

– Do jutra z głodu pomrę! – Raptem uderzył w piskliwie proszący ton.

– Mam paczkę ciastek – przypomniała sobie Natasza. – Jeżyki, mama je tak lubiła...

– Ty imienia swojej świętej pamięci matki to nie wymawiaj! Ty jedna ty!

Natasza zastygła w zdumieniu. Dlatego nie zareagowała odpowiednio szybko, gdy ojciec podniósł rękę. Dłoń po prostu spadła na jej policzek, aż głowa odskoczyła na bok. Natasza zatoczyła się na ścianę, ale kolejnego uderzenia uniknęła bez trudu.

– Tato – powiedziała z rezygnacją. – W naszym domu nigdy nie było bicia.

– Nasz dom to został we Lwowie, razem ze zdrowiem twojej matki! – Usiadł bezwolnie na jedynym stołku, z którego przed chwilą uciekła przed nim Natasza.

– Tato, nie ma już naszego Lwowa i nie ma mamy, ale my żyjemy. Wciąż jest nasz czas, wciąż mamy nadzieję na jutro...

– Właśnie, jutro. Właśnie! – wykrzyknął. – Jutro to mąż i dzieci, a ty, co wyprawiasz? Wyprowadziłaś się, porzuciłaś starego ojca, nikomu już nie jestem potrzebny! – Rozplakał się.

Było to dla Nataszy całkowicie niespodziewane. Już od miesiący ojciec nie był stabilny emocjonalnie, teraz jednak nastrój zmieniał mu się radykalnie w ciągu kilku minut. Trudno było za nim nadążyć.

– Tato, pracuję, utrzymuję się. Trzeba żyć dalej. Jurij obiecał, że będzie do ciebie zaglądał...

– Jurij? Właśnie, Jurij! – Ojciec aż podskoczył. – Powiedział mi, co ty tam wyprawiasz! Prowadzasz się z jakimś! Ty bezecnico jedna! Ty! – Znów się zamachnął, tym razem jednak Natasza nie dała się zaskoczyć. Uniesiona przez niego ręka przeważyla go i zwałił się ze stołka z hukiem. Niezgrabnie gramolił się z podłogi, Natasza powstrzymała odruch chęci pomocy. „Zbliżę się i znów mnie uderzy” – pomyślała.

Gdy usiadł ponownie na zydlu, westchnęła głośno. Nie pytając o pozwolenie – przecież była w rodzinnym domu! – przeszła kilka kroków i zerknęła do swojego pokoju.

– Chciałabym przenocować – powiedziała ze smutkiem. – Ale nie mam na czym.

– Wyprowadziłaś się, porzuciłaś ojca, to idź w cholerę! – odpowiedział. Twoje łóżko porąbałem. Na opał. Źle się paliło.

„Pewnie, było lakierowanym półkotapczanem” – pomyślała.

– To pójdę już – stwierdziła Natasza.

Z niechęcią pomyślała o tym, że musi przejść spory kawałek do głównej trasy, o tej godzinie w pobliżu ich domu żaden autobus już nie kursował. Nie bała się wsi, ciągle wszystkich tu знаła, a jednak nocny spacer wzbudzał w niej niepokój.

– Siadaj! – Ojciec raptem zerwał się, chwycił jej ramię jak w kleszcze i posadził na zydlu. – Nigdzie nie pójdziesz! Kurwić się nie będziesz! I to z kim? Z kim? No z kim? – krzyczał tak głośno, aż mu ślina popłynęła cienką strużką z kącika ust.

Natasza na wszelki wypadek nie odpowiedziała.

– Czarnucha do domu sprowadzasz. Murzyna! Czyś ty całkiem zwariowała? Pamięć matki tak kałać? O ojca nie dbać? Rodzinie wstyd przynosić?

Z każdym zdaniem mówił coraz ciszej, aż w końcu Natasza przestała go rozumieć. Bez trudu

zdjęła ze swojego ramienia rękę ojca i zamieniła się z nim miejscami. Teraz ona stała nad nim, on siedział i bełkotał coś niewyraźnie, aż w końcu ułożył ręce na stoliku, oparł na nich głowę i zasnął.

Powstrzymała w sobie odruch pogłaskania ojca po głowie. Może dlatego, że włosy miał spoczone i tłuste. Wychodząc z domu, nie zamknęła drzwi, nie było w nich zamka. Potarła puchnący policzek i pomyślała ze smutkiem, że nic dobrego im ta Polska nie przyniosła. Mama umarła, rodzina się rozpadła. Oleg wyjechał i tyle go widzieli. Jurij mieszkał niby niedaleko, a właściwie w ogóle się nie widywali i nie rozmawiali. Jak obcy. A ojciec...

„Tata choruje” – pomyślała, prostując plecy. „Nie znam wprawdzie lekarstwa na chorą duszę, ale to po prostu ciężkie niedomaganie. Nie mogę mieć do niego pretensji”.

ROZDZIAŁ 18

Minęły jeszcze całe dwa dni, zanim poczuła na skórze przyjemny dreszcz. Jakby powietrze wypełniał prąd. Emocjonalna elektryczność. Potem usłyszała głos, a na koniec zobaczyła Roberta.

Miała gdzieś znaczące spojrzenia koleżanki zmienniczki i gości baru. Nie obchodził jej nikt i nic. Wtuliła się w Roberta, całowała jego usta, gładziła krótkie włosy. Sprawiała wrażenie oszalałej, a ona tylko potrzebowała jego obecności.

Robert nie pozostawał dłużny. Całowali się na środku baru, aż w końcu zgromadzeni nie wytrzymali.

– E, napaleńcy, idźcie się bzykać na zaplecze – rzucił jeden z żołnierzy.

– Apetyt tu tylko robicie! – dodał kolejny.

Doszło do tego kilka gwizdów i dopiero one otrzeźwiły odrobinę Nataszę.

– Umierałam z niepokoju – powiedziała w końcu. Łzy ciekły jej po policzkach, dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, jak bardzo napięty był w jej ciele każdy nerw i mięsień. Opadła na najbliższe krzesło z poczuciem, że nie ma siły wstać.

– Chodź – powiedział Robert, ciągnąc ją lekko za rękę.

Pokręciła głową.

– Muszę chwilę posiedzieć. Nie mam siły.

Usiadł naprzeciwko niej i zapatrzył się w jej niebieskie oczy.

– Jestem szczęśliwy, że cię poznałem.

– Nie wiem, co mi podałeś, ale nie wyobrażam sobie już bez ciebie żadnego dnia. Zakochałam się tak, że świat może przestać istnieć, bylebyś był obok.

– Świat nie przestanie istnieć. I dobrze – dopowiedział – bo właśnie w nim będziemy szczęśliwi.

– Nikt mi nie chciał nic powiedzieć. Jestem tu nikim.

– Na misjach wojskowych tak jest. Nikt nic nie mówi.

– Żebym... żebym wiedziała cokolwiek. Kiedy wrócisz. Tylko tyle, aż tyle. Nic więcej.

Gładził ją po ręce, dziewczyna uspokajała się stopniowo. Oddychała dość głęboko, uśmiechał się do niej i cały świat skupił się dla niej w tym lekko niesymetrycznym wygięciu ust.

– Chodźmy – powiedziała w końcu cicho.

Druga barmanka przejęła w tym czasie obsługę, choć jej zmiana zaczynała się dopiero za pół godziny. Natasza wiedziała, że świeci słońce, bo jego promienie wpadały jej do półprzymkniętych oczu, gdy kochali się z Robertem na zapleczu. Niepotrzebne jej było miękkie łóżko, atlasowa narzuta, szampan. Wystarczył po prostu on.

– Kocham cię – powiedział cicho. Siedzieli już obok siebie na niewysokim stole, na którym zwykle pracownicy baru segregowali zakupy. – I chciałbym, żebyś za mnie wyszła.

– To wariactwo – odpowiedziała ze spokojem. – I oczywiście się zgadzam.

– Nie mam pierścionka – zafrasował się Robert.

– Do nadrobienia – odparła. – Jest wojna, więc musi to być coś adekwatnego.

– Zastanowię się – odparł. – A teraz muszę wracać. Mam obowiązki. Ale przyjdę po ciebie po pracy.

– Pojedziemy do Rzeszowa?

– Oczywiście. Pojedziemy, dokąd zechcesz.

Natasza nie potrafiłaby powiedzieć, jak minął jej ten dzień. Zapewne wykonywała swoją pracę, bo nikt nie zgłaszał pretensji. Rozlała chyba kilka razy piwo, podała nie tę kanapkę. Nikt nie miał pretensji. Po scenie powitania, która była szeroko komentowana wśród kolegów Roberta, tolerancja dla głupawego uśmieszku Nataszy i jej elementarnych błędów w pracy była wysoka. A kto nie wiedział – szybko był uświadamiany.

– Który to taki szczęściarz, co? – zapytał jeden z żołnierzy.

– Robert Bowel.

– Ten mądrała z uśmiechem dookoła głowy? – Niektórzy wiadomość przyjmowali z niedowierzaniem, inni z kpiącym prychnięciem. Wojenna miłość? Banał.

Dziś uczucie, jutro obcość. Szybko i dogłębnie, ale krótko i bez śladu. Tak wyobrażali sobie uczucie Nataszy i Roberta. Jak każdy afekt w sytuacji skrajnej – miał być gwałtowny i tymczasowy.

Gdy w końcu wieczorem Robert pojawił się i ruszyli do autobusu, w pewnym momencie zatrzymał się. Jeszcze przed bramą jednostki.

Robert odwrócił Nataszę twarzą w swoją stronę, noc była ciemna, księżyc w nowiu ledwie doświetlał odkryty teren.

– Kochana – zaczął Robert patetycznie, a Natasza uśmiechnęła się szeroko. Tak bardzo czekała na te słowa! Choć nie spodziewała się, że usłyszy je jeszcze tego samego dnia. – Czy zgodzisz się zostać moją żoną?

– W każdej chwili – odpowiedziała i zmrużyła gwałtownie oczy. Raptem na niewielki placyk spłynęły strumienie światła. Wszystkie okoliczne reflektory zostały skierowane na to właśnie miejsce, w którym Robert klęczał przed Nataszą. Trzymał w ręku niewielkie niebieskie pudełko, w nim skromną obrączkę z małym turkusem.

– Wiem, oczywiście, że powinien tu być wielki brylant w filigranowej oprawie, nadrobię to. Na razie mam tylko to.

– Mogłoby to być kilka splecionych źdźbeł traw, też bym była zachwycona – odpowiedziała.

– Tak myślałem – odparł z powagą. – Dlatego... – Z drugiej kieszeni wyciągnął pudełko obite na czerwono. W nim spoczywał zwinięty w okrągły pierścionek żółty kaczeniec.

– Będę ryczeć – oznajmiła Natasza.

– Całkiem słusznie – odparł Robert, ale ona tego nie usłyszała. Jego głos znikł wśród gwałtownych okrzyków. Zewsząd wyskakiwali koledzy Roberta, jeden miał w ręku wino musujące, drugi plastikowe kubki.

– Mazel tov!

– Na zdrowie!

– Nie, oni tu mówią na zdrowie!

Głosy splatały się w jedną taśmę dźwięków, trudnych do odróżnienia.

„Jak muzyka” – pomyślała Natasza.

Osunęła się na ziemię, Robert złapał ją w ostatniej chwili. Zaniósł do gazika i zawiózł wprost do mieszkania Karoliny.

Ocknęła się w samochodzie. Potarła rękami ramiona.

– Zaraz będziemy na miejscu – powiedział Robert. – Ogrzeję cię.

– I ogrzewaj już do końca życia.

– Tak właśnie zrobię. A ten pierścionek jest po mojej babci. Mamie taty. Czyli z Polski wrócił do Polski. Wziąłem go na szczęście i jak widać, przyniósł mi największego możliwego farta.

Nie spali tej nocy, choć Robert wyraźnie był zmęczony. Rano Natasza wysunęła się z łóżka, wypłatając się z uścisku narzeczonego. Nie była pewna pogody – w jej duszy świeciło słońce. Przygotowała sok dla Karoliny i spakowała puste pojemniki. Gdy wychodziła, ukochany jeszcze spał.

W szpitalu była, jak codziennie, przed rodzicami Karoliny.

– Robert wrócił – stwierdziła Karolina, nim się przywitały.

– Skąd wiesz?

– Wystarczy popatrzeć. – Wzruszyła ramionami. – Zdjęłaś welon smutku.

– Romantyczka z ciebie – rzuciła Natasza.

– Nie ja! – zaprotestowała przyjaciółka. – To ty wyświeglasz emocje niczym ekran w starym kinie.

– Dlaczego starym?

– Bo teraz raczej oglądamy filmy w kinie domowym. Opowiadaj.

– Wrócił. Nareszcie.

– I tyle? – Karolina nie kryła powątpiewania.

Natasza uśmiechnęła się tajemniczo.

– Nie denerwuj ciężarnej – stwierdziła Karolina.

– Oświadczył się – stwierdziła Natasza.

– Słucham?

– A ja się zgodziłam.

– Drugie słucham?

Natasza szeroko się uśmiechnęła i wypakowała pojemniki.

– Matka nie da mi spokoju. – Karolina westchnęła. – Zawsze mi ciebie stawiała za wzór, a teraz to już w ogóle będzie miała gadane. Ty będziesz miała męża, zanim urodzisz dziecko! Dla mnie masakra.

– Zapomniałaś, że narzeczonego znam kilka tygodni. Myślisz, że to twojej mamie nie będzie przeszkadzało?

– Nawet jeśli, to teraz ten aspekt pominie. Mama zauważa tylko to, co jej w danej chwili pasuje. Szybki ślub wypomni ci przy pierwszych małżeńskich kłopotach. A i tak tylko wtedy, jeśli ja już będę po

ślubie, a na to szanse są niewielkie, nikt samotnej mamusi nie zechce.

– Jesteś pewna, że ojciec twojego...

– Nawet nie próbuj.

– Dobra, wycofuję pytanie.

– Mama się ucieszy – stwierdziła Karolina z zamyśleniem.

– Twoja mama zawsze się cieszy ze ślubów i narodzin.

– Chyba że ma się urodzić nieślubne dziecko jej córki. Ucieszy się, bo sprawa dotyczy ciebie, a ona czuje się za ciebie odpowiedzialna. Taka wiesz, zastępcza matka.

– Nigdy o tym tak nie myślałam. – Natasza zmarszczyła czoło w zastanowieniu.

– Kiedy zmarła twoja mama, u nas w domu też była żałoba.

– Wiem, przynosiłam ją ze sobą.

– Nie, nie tylko dlatego. Chociaż to też. Ty zawsze emocje nosisz przypięte do płaszcza, na wierzchu. Ale wtedy chodziło o to, że zostałaś półsierotą, a w oczach mojej rodzicielki dziecko bez matki jest... Bo ja wiem, kalekie? Dlatego zaczęła ci matkować, może nawet nieświadomie. Chociaż byłaś już przecież dorosła.

– Odczułam to – odpowiedziała Natasza z powagą. – Chociaż nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Po prostu twoja mama zawsze była mi życzliwa. Uważałam, że to z sympatii.

– To też. Ale byłaś również dla niej porzuconym pisklakiem, takim wyrzuconym z gniazda maluszkiem. I musiała się tobą zaopiekować. To znaczy chciała, ale tak bardzo chciała, że aż musiała. Rozumiesz?

– Chyba rozumiem...

– A może nie do końca – kontynuowała Karolina. – Byłam o to zazdrosna.

– Słucham?

– Większość kłótni między moją mamą a mną wybuchała z twojego powodu.

– Słucham? – powtórzyła Natasza.

– Mama zawsze stawiała mi ciebie za wzór. Aż dziwne, że cię nie znienawidziłam.

– To straszne, co mówisz.

– I znów będziesz dla niej wzorcem. Może trochę szalonym i narwanym przykładem niepohamowanej młodzieńczej miłości, ale podszytej rozsądkiem.

– Chyba trochę mi się kręci w głowie.

Karolina rozłożyła ręce.

– Jakoś bardzo się nie dziwię.

– No i muszę wracać, bo...

– Czeka na ciebie twój kochaś.

– Narzeczony.

– Właśnie. Czeka na ciebie w łóżku, rozgrzany i spragniony.

– Dokładnie. Sama więc rozumiesz. – Natasza jeszcze kręciła głową z niedowierzaniem, wypowiedź Karoliny zdawała jej się wciąż nieprawdopodobna, jednak myślami już była z Robertem. I śmiała się całą sobą.

Dotarła do mieszkania z siatką świeżych bułek, kilkoma plastrami ekologicznej szynki, pęczkiem szczypiorku, twarogiem... Zamierzała przygotować narzeczonemu śniadanie pełne smaku i witamin. Wykluczyła wszelkiego rodzaju płatki z mlekiem, szczególnie te przetworzone, słodzone.

Właśnie wychodził spod prysznic, gdy Natasza otworzyła drzwi mieszkania. Wystarczyło jedno jego spojrzenie, Natasza odstawiła siatki, zrzuciła z siebie lekką kurtkę, sukienkę, buty... Już ponownie leżeli w łóżku, w skotłowanej pościeli, oddychali sobą, zlizywali krople potu z rozgrzanej skóry.

– I to było najlepsze śniadanie – powiedział Robert, gdy oddechy im się już trochę uspokoiły. – Całkowicie ekologiczne.

– Mimo to przygotowuję jeszcze takie bardziej tradycyjne – odpowiedziała Natasza, przeciągając się. Wskoczyła z łóżka, Robert przytrzymał ją za rękę.

– Najpierw wspólny prysznic – zamruczał.

– Przecież już byłęś? – Uśmiechnęła się prowokująco.

Nie miała jednak nic przeciwko. Zabawa w ciepłej wodzie przeciągnęła się, było już wczesne przedpołudnie.

– Niedługo muszę jechać do pracy.

– Pojedziemy razem – odparł. – Ja też powinienem stawić się w jednostce. Kiedyś.

– Ale najpierw śniadanie.

- Z pyszną bułeczką, masełkiem, twarożkiem, szyneczką...
- Ale dzisiaj bez jajecznicy – uzupełniła rozbawiona Natasza.
- Nadmiar cholesterolu nie służy zdrowemu trybowi życia.
- Właśnie, a ja zamierzam o ciebie dbać, żebyś wystarczył mi do końca życia.
- To tak jak ja o ciebie. – Chwycił ją w pasie i przyciągnął do siebie.
- Do jutra nie dojedziemy do jednostki, jeśli tak się będziesz zachowywał, Robercie Bowelsie! –

zgañała go rozbawiona.

- A właściwie czemu to miałyby być niewłaściwe?
- Bo świat poza nami istnieje. Siadaj.

Zjedli bułki z twarogiem, szynkę, ale wzrokiem wciąż pożerali siebie. Głównie siebie.

- Martwię się tylko o jedno.
- Zaraz zmiotę z powierzchni ziemi wszystkie przyczyny twego smutku! – zadeklarował.
- Obrączka z kaczyńca. Zwiędnie. Będę musiała ją zasuszyć.
- Dostaniesz świeżą. Zawsze, kiedy będziesz tego chciała.
- To dobrze. Nie powinno się suszyć kwiatów. Ale wyrzucić jej nie mam sumienia...
- Dlaczego nie powinno się suszyć kwiatów?
- Bo to zła wróżba. To tak, jakby się zasuszało miłość.
- Naprawdę wierzysz w takie przesady?

Natasza uniosła ramiona.

– Noś bransoletkę ode mnie. Noś pierścionek z turkusem. A tym się nie przejmuj. – Pogłaskał ją po dłoni.

- Nie będę. – Nakryła jego rękę drugą dłonią.

W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi.

Robert, wciąż jeszcze zawinięty w ręcznik, ruszył do drzwi. Otworzył je, zanim Natasza uświadomiła sobie, że może to być niestosowne. W mieszkaniu Karoliny prawie nagi, czarnoskóry mężczyzna czuje się na tyle swobodnie, by otwierać drzwi.

Gdy dotarła do przedpokoju, stały tam dwa męskie posągi. Wysokie i wysportowane. Jeden w ręczniku, drugi w letniej kurtce. Na widok Nataszy przybyły odezwał się:

- Cześć, szukam Karoliny albo Nataszy.
- Jestem Natasza. – Lekko popchnęła Roberta do pokoju.
- Jestem Sebastian – odpowiedział mężczyzna.

ROZDZIAŁ 19

– Nie wiedziałaś? Wygodnie tak: nie wiedzieć!

Zuriana się zastanawiała, czy przypadkiem nie znalazła się w oparach absurdu. Po pracy przyjechała do domu, wcześniej zrobiła zakupy. Niewielkie. Nic szczególnego. Na następny dzień zaprosiła Louise i Marka, dla trójki nie potrzeba wiele. Tym razem zaplanowała gofry z boczkiem i syropem klonowym. Na deser kupiła donuty z Sublime Donuts. Wzięła jak zawsze więcej, z czekoladą, masłem orzechowym, karmelowo-jabłkowy, słono-kwaśny, czekoladowo-bananowy, z nutellą, nadzieniem malinowym i truskawkowym oraz z glazurą pomarańczową. Wydawało się, że dla trzech osób to zbyt wiele, z doświadczenia jednak wiedziała, że te ciastka znikają zawsze.

Rozpakowywała zakupy lekko zgrzana. Wprawdzie nastał dopiero kwiecień, ale dzień był niezwykle słoneczny i bezwietrzny. Poczowała strużkę potu płynącą po plecach. Otarła przedramieniem czoło i pokręciła głową.

– Chyba się starzeję – powiedziała półgłosem. – Niezbyt wielkie zakupy, a jestem zmęczona przy rozpakowywaniu jak niegdyś po całym dniu biegania za Robertem. Upływ czasu jest do kitu.

Nie usiadła jednak, a zajęła się przygotowaniami do wizyty przyjaciół. Zaplanowali wieczór przy winie i piwie z lokalnego browaru. Mieli także bezalkoholowe, tylko takie mogła teraz pić Louise. A przynajmniej twierdziła, że tak właśnie robi.

Zuriana wyciągnęła gofrownicę i ustawiła na blacie wszystkie potrzebne produkty. Planowała ciasto przygotować wcześniej, ale placki smażyć już na bieżąco i podawać do stołu gorące.

Nie usłyszała pukania, bo też Wojtek nigdy nie pukał. Jak zawsze wszedł do jej domu jak do swojego, bazując na tym, że kiedyś, w dawno minionych czasach, był to również jego dom.

„Ale to już minęło” – pomyślała Zuriana. Chciała powiedzieć to Wojtkowi, zgłosić protest przeciwko jego bezpardonowemu zachowaniu, jednak nie potrafiła. Jak zawsze poczuła mrowienie i ciepło w podbrzuszu, jak zawsze całe jej ciało się spięło, nawet na głowie czuła ukłucia, jakby elektryczne wyładowania.

– Cześć, piękna! – powiedział jej były mąż. Pozornie beztrzesko, a jednak wyczuła w nim jakieś napięcie. Takie, jakiego dawno już nie odbierała. Coś wypił? Zapewne. Pojawiło się kolejne znajome uczucie – wyczekiwania. Dawno już, bardzo dawno nie znajdowała się w stanie takiego napięcia, które teraz pojawiło się nagle i niespodziewanie. Był to ten rodzaj naprężenia wszystkich tkanek, który wymagał obowiązkowego rozładowania. Musiało to być coś gwałtownego, poruszającego, fizyczny wysiłek przekraczający zwyczajowe normy.

– Dzień dobry – odpowiedziała najchłodniej jak potrafiła.

– Masz wino, fajnie – powiedział i skierował się do wyspy, na której stały już trzy kieliszki i otwarta butelka czerwonego trunku. – Spodziewasz się kogoś?

– Mam ci się tłumaczyć z wizyty przyjaciół? Mogę przyjmować, kogo tylko mam ochotę.

– Jasne, ślicznotko, tylko prowadź się dobrze, żebyś mi syna nie zdeprawowała.

– Nasz syn od dawna jest samodzielnym mężczyzną. Być może bardziej niż jego ojciec.

– Uwielbiam cię taką hardą! Cała kuszisz.

– Jesteś pijany – stwierdziła Zuriana chłodno, choć wewnątrz czuła ogień. Pierwszy raz jednak nie z pożądania, a z wściekłości. Od czasu rozvodu Wojtek wpadał do niej, do swojego byłego domu, niezbyt często i zawsze po pieniądze. Ale ostatnio zaczął pojawiać się znacznie częściej, za często. – Nie możesz przyjeżdżać tutaj, kiedy chcesz, wchodzić jak do siebie i zachowywać się jak władca. Ten czas już się skończył.

– Ależ skądże. – Spojrzał na nią w sposób, od którego ugięły się pod nią nogi. Tak jak kiedyś.

Przełknęła ślinę i podparła się ręką o blat wyspy.

– A jednak – zaprotestowała. Wydawało jej się, że stanowczo. Wojtek jednak roześmiał się rubasznie.

– Wciąż jesteś moja – zamruczał. – Nawet protestujesz bez przekonania.

Zuriana miała chęć przymknąć oczy i pozwolić się porwać. Wtulić twarz w pachnące wiatrem i słońcem blond włosy, dać się posadzić na skraju wyspy, otworzyć się...

Zacisnęła dłoń na chłodnym kamieniu.

– Nie. Nie – powtórzyła już zupełnie innym tonem.

– Wojownicza. – Wciąż mruczał i zbliżał się do niej, intensywnie wpatrując się w jej oczy.

– Nie! – wykrzyknęła Zuriana i poparła to chłasknięciem Wojtka w policzek.

Zatrzymał się, rysy mu stężały.

– Taka jesteś? A czytałaś?

Zuriana zmarszczyła brwi w niezrozumieniu.

– Czytałaś, oczywiście – kontynuował Wojtek. – Doskonale wiesz, o czym mówię. Pamiętnik z Wołynia. Z Porośli. Ciekawa lektura, prawda? Fascynująca wręcz. Dziadek spisał te wspomnienia parę lat temu, ale nic nie straciły ze swojej grozy, prawda? A teraz daj mi jeść – zażądał nagle i oklapł na stół. Zgasł też ogień w jego oczach, ten, który wsysał Zurianę i nie pozwalał jej trzeźwo myśleć.

Bez tego ognia też zresztą nie potrafiłaby zachować rozsądku. Posłusznie się odwróciła, wyjęła z lodówki marynowanego kurczaka, z szafki patelnię i przygotowała Wojtkowi posiłek. Być może miała nadzieję, że najedzony wytrzeźwieje i opuści jej dom.

Wojtek rozparł się na blacie wyspy i zanim Zuriana zdołała zareagować, już opróżnił niemal cały kieliszek wina.

– Czekam na gości – powiedziała bez nadziei, że to zadziała.

– Chętnie ich poznam – odpowiedział spokojnie Wojtek.

– Znasz Louise i Marka. Niekoniecznie chcą cię spotkać.

– Wielka szkoda. Stęskniłem się za nimi.

Westchnęła głośno. Postawiła przed Wojtkiem talerz z jedzeniem i usiadła naprzeciwko. „Właściwie dlaczego karmię tego darmozjada?” – zastanowiła się.

Nie zdołała jednak skupić się nad odpowiedzią. Wojtek zogniskował całą jej uwagę.

– A skoro przeczytałaś, to jesteś już mądrzejsza?

– Zawsze byłam mądra – odparła hardo.

Uznała jednak, że głupia była i taka pozostanie.

„Dałam się omamić temu czarusiowi. I chociaż się rozwiodłam, niczego mnie to nie nauczyło” – zganiła się w myślach.

– No i? – Wojtek wyraźnie oczekiwał odpowiedzi. Tylko jakiej? Co miała zrozumieć?

Zuriana milczała. Trochę dlatego, że nie wiedziała, co powiedzieć, a trochę dlatego, że całkowicie wbrew sobie poczuła nagły przypływ pożądania. Opuściła oczy.

– Nic nie rozumiałaś, co? – Wojtek wyraźnie kpił.

Dalej nie odpowiadała.

– To ja ci wszystko wytłumaczę – powiedział powoli. – Zdanie po zdaniu. Moja babka, Teresa z domu Kołodyńska, nie chciała o tym opowiadać. Gdy padało słowo „Ukraina”, babka wychodziła z pokoju. Albo z mieszkania. O samochodzie ci opowiadałem, zsuwała się jak najniżej, najlepiej poniżej szyby. Żeby nie było jej widać. Nienawidziła ognia, nawet kominka. Mogę sobie tylko wyobrazić dlaczego. Nie miałem o tym pojęcia, o niczym, żadnego. Dopiero jej brat kiedyś przekazał mi wspomnienia. Witold Kołodyński, mówi ci to coś?

Zuriana powoli uniosła wzrok.

– Tak – kontynuował Wojtek ze złośliwą satysfakcją. – Tak. To właśnie on. Moja rodzina pochodziła z Porośli. Babka jako jedenastolatka patrzyła na to, jak zarzynają całą jej rodzinę. Jak Ukraińcy znęcają się nad ludźmi, szlachtują ich jak świnie, a właściwie gorzej. Do zwierząt podchodzili z większym szacunkiem, stanowiły pożywienie. Babcia Teresa widziała eksterminację całej wsi, która przestała istnieć w ciągu jednej nocy. Fajna opowieść, co?

– Po co mi to mówisz? Po co dałeś mi te wspomnienia? Są straszne. Nie pomogę tamtym ludziom, ale też niczemu nie jestem winna. Po co mnie tym obciążasz?

– Nie uważasz, że świadomość jest bezcenna? Sama mówiłaś, że jesteś mądra, przyda ci się jeszcze trochę wiedzy. – Wojtek nalał sobie kolejny kieliszek wina i wypił go duszkiem.

– Poznanie akurat tej historii do niczego mi nie było potrzebne – powiedziała Zuriana i poczuła, że popełniła błąd.

– Bo jesteś głupia! – Wojtek zerwał się ze stołka, przewrócił go i zaczął chodzić wokół wyspy. To zawsze był jego odruch w momentach zdenerwowania.

„Nie jestem głupia!” – pomyślała Zuriana. Chciała to powiedzieć, ale zaschło jej w ustach. Pożądanie mieszało się z przerażeniem, stopniowo to drugie przeważało. Milczała więc.

W końcu Wojtek zatrzymał się tuż przez Zurianą. Położył jej ręce na ramionach i zacisnął dłonie. „Będę miała siniaki” – przemknęło jej przez głowę.

– Pozwoliłaś naszemu synowi tam polecieć – wyszczał.

– Nie miałam nic do gadania – powiedziała cicho. Odchrząknęła. – Przypominam ci, że to jest dorosły mężczyzna. Członek elitarniej jednostki wojskowej, zobowiązany do wykonywania rozkazów.

Mamy szczęście, że w ogóle wiemy, gdzie jest. Bo równie dobrze mógłby po prostu wyjechać, bez żadnej informacji. Tak bywa na misjach wojskowych. – Stopniowo podnosiła głos, by zakończyć wysokim i głośnym piskiem.

– Nic do gadania? Nic do gadania? – krzyczał. – To co z ciebie za matka? Gówniana matka, beznadziejna! Nie troszczysz się o dziecko! Wysłałaś je na rzeź. Ci Ukraińcy to są zbrodniarze!

Zuriana dawała sobą potrząsać niczym szmacianą lalką. W końcu Wojtek ją puścił, sięgnął po butelkę i nalał sobie kolejny kieliszek. Zuriana zdała sobie sprawę, że właśnie dopijał butelkę.

A chciała, żeby wytrzeźwiał i sobie pojechał!

– Myślę, że czas, byś już pojechał.

– Nigdzie się nie wybieram – odpowiedział z pogardą. – Tu jest mój dom.

– Tu był twój dom. Jesteśmy rozwiedzeni, przypominam ci.

– Ale ciągle masz na mnie ochotę, co? – Wojtek znów podszedł do Zuriany. – Widzę to po twoich oczach. Patrzysz na mnie jak na cynamonową bułeczkę obficie posypaną trzciniowym cukrem. Jesteś mokra, co?

Włożył jej rękę między nogi i potarł krocze.

– Ty na mnie też wciąż działasz – kontynuował. – Zobacz. Przysunął się jeszcze bliżej, a Zuriana poczuła jednocześnie obrzydzenie i pożądanie.

„Zwariowałam” – pomyślała.

– Powinieneś już iść – powiedziała. Chciała, by zabrzmiało to stanowczo, ale Wojtek tylko się roześmiał.

– W tym stanie nie mogę prowadzić. Za to znakomicie poradzę sobie z zaspokojeniem mojej ślicznotki.

Złapał za kołnierzyk jej bluzki i zdecydowanym ruchem pociągnął w dół. Rozdarte poły zwisały po bokach, Zuriana zasłoniła drobny biust przedramionami.

– Zostaw mnie – powiedziała cicho.

– Ani myślę – odpowiedział chrapliwie.

– A jednak...

Usłyszeli głos w drzwiach. Zuriana odetchnęła.

– A ty tu czego? – Wojtek zwrócił się do Marka stojącego w wejściu.

– Jestem przyjacielem, który nie zawodzi. W przeciwieństwie do byłego męża.

– Nie wtrącaj się – odpowiedział hardo Wojtek.

– Już za chwilę. Tylko cię wywalę i już przestanę się wtrącać.

– Nie masz tu nic do gadania.

– Zuriana? – Mark spojrzał na gospodynię. Kiwnęła tylko głową.

Mark zamknął za sobą drzwi. Za nim wsunęła się Louise.

– Albo wyjdiesz stąd polubownie, albo cię stąd wypierdolę. Samochód odprowadzę na strzeżony parking. Wyjdź i więcej nie wracaj.

– Co ty mi tu... – zaczął Wojtek, nie miał jednak szansy dokończyć. Mark walnął agresora w szczękę, a potem zamrozonego wyprowadził na próg i zepchnął delikatnym kopniakiem z trzech wejściowych schodków. Wrócił do kuchni, sięgnął po kluczyki, które zostawił Wojtek na blacie wyspy.

– Zaczniście beze mnie – powiedział. – Odprowadzę auto, żeby szanowny pan były małżonek nie miał powodu tu więcej wracać.

Zuriana kiwnęła głową, po czym chwyciła Marka za rękę. Spojrzała mu w oczy, a po chwili przyciągnęła jego głowę do swojej. Całowali się tylko chwilę, za to Zuriana poczuła, że rozlewa się w jej ciele ciepło. Nie pożądanie, jakie odczuwała przy Wojtku, nie siłę, która władała nią zupełnie poza jakąkolwiek kontrolą. Przy Marku poczuła bezpieczeństwo.

Oderwał się od niej, spojrzał jej w oczy i wyszeptał:

– Wracam niedługo.

– Oby jak najszybciej – skomentowała Louise. – I tak za długo czekaliście.

ROZDZIAŁ 20

– Jak mogłaś mi to zrobić?

Natasza siedziała przy łóżku przyjaciółki i mrugała oczami.

– Tylko wykonałam telefon – powiedziała w końcu.

– Tylko, tylko. – Karolina nie zamierzała odpuścić.

Natasza właściwie się jej nie dziwiła. Po tym, jak Sebastian stanął w drzwiach mieszkania, lekko zszokowany czarnoskórym mężczyzną, który otworzył mu drzwi, sprawy potoczyły się szybko niż szybciej.

Natasza zaprosiła go do środka, usiadł na kanapie, krytycznie rozglądając się po wnętrzu. W tamtej chwili Natasza uświadomiła sobie, że ślady działalności Roberta i jej były jednoznaczne. Wprawdzie na dywanie nie leżały majtki, ale biustonosz owszem. I spodnie Roberta.

– Nie spodziewałam się ciebie. Po naszej rozmowie miałam wrażenie, że... Cóż, delikatnie rzecz biorąc, nie byłeś zadowolony z mojego telefonu.

Sebastian się uśmiechnął.

– Doprawdy?

Natasza westchnęła.

– Czuję się jak w filmie szpiegowskim. Wiesz, tajna akcja, konkurujące wywiady, spotkanie starych znajomych, z których każdy reprezentuje teraz inne interesy.

– Niezbyt mi to pochlebia – odpowiedział Sebastian. – Jestem po prostu inżynierem.

– Fakt. Nie szukałam cię zbyt długo.

– Nie chowam się. Przed nikim.

Zapadła cisza.

– Chciałbym się spotkać z Karoliną – powiedział w końcu Sebastian. – Po to przyjechałem.

Natasza kiwnęła głową. – Musielibyśmy pójść do szpitala.

– Zamówię taksówkę.

– Mieszkałeś w Rzeszowie kilka tygodni i nie pamiętasz, że stąd to dziesięć minut spokojnym spacerem? – skomentowała zirytowana.

– Myślałem, że ci się nie chce. – Wzruszył ramionami.

– Dla Karoliny wszystko mi się chce. Nawet wydzwaniać do nieznanych i całkiem niezycziwych facetów na drugim końcu Polski.

Sebastian westchnął.

– Nie będę przepraszał – powiedział. – Nic nie wiedziałem o dziecku. Nawet... Po prostu chodźmy do Karoliny.

– Mam iść z wami? – Robert obserwował sytuację z uwagą. Zdążył się już ubrać, dyskretnie znikając na chwilę w sąsiednim pokoju. Teraz kontrolował akcję niby nieuważnie, nie spuszczał jednak wzroku z Sebastiana. Słów nie rozumiał, język ciała jednak wystarczał. Zareagował, bo Natasza i Sebastian wstali i skierowali się do wyjścia.

– Pójdę z wami – uznał.

– Nie – zaprotestowała Natasza. Robert skupił na niej swoją uwagę. – Karolina nie będzie szczęśliwa, kiedy przybędzie do niej wycieczka kontrolna.

Robert przygryzł wargę.

– Jak sobie życzysz – powiedział.

Dlatego Natasza siedziała z Sebastianem przy łóżku Karoliny i miała wrażenie, że absolutnie nie znajduje się na właściwym miejscu.

– Nie spodziewałam się twojej wizyty – powiedziała Karolina na widok Sebastiana. Na Nataszę, owszem, spojrzała, nienawistnie.

– Ja też nie spodziewałem się, że będę zmuszony wrócić do Rzeszowa i wizytować szpital.

– Nikt cię nie zmuszał.

Natasza sięgnęła do klamki z zamiarem wycofania się ze szpitalnej sali.

– Ani się waż – stwierdziła Karolina. – Nawarzyłaś piwa, to teraz nie dawaj tyłów.

Natasza westchnęła. Stała w kącie, próbując wtopić się w otoczenie.

– Nie zapraszałam cię i nie zamierzam się z niczego tłumaczyć – oznajmiła Karolina, patrząc na Sebastiana.

– Kiedy zadzwoniła do mnie... – obejrzał się w stronę Nataszy – twoja przyjaciółka, najpierw

uznałem, że to kompletna bzdura. Jak doskonale wiesz, mam rodzinę.

– Dlatego właśnie nie chciałam, żeby Natasza do ciebie dzwoniła! – uniosła się.

– A ja miałam patrzeć, jak się zamęczasz? – Natasza nie wytrzymała.

– Ale zadzwoniła – spokojnie stwierdził Sebastian. – I namieszała mi w głowie.

– To wszystko twoja wina! – stwierdziła Karolina, wyciągając oskarżycielsko palec w stronę przyjaciółki.

Natasza wzruszyła ramionami.

– No właśnie. Tak się przejmujesz moimi sprawami. Wzruszasz ramionami! – Karolina ostatnie dwa słowa wykrzyczała.

– Gdybym się nie przejmowała, nie szukałabym skurczybyka! – Natasza nie zamierzała spokojnie przyjmować oskarżeń.

– Spokojnie! – Sebastian poczuł, że właśnie została mu przypisana rola rozjemcy. – Drogie panie, szukanie winnego chyba nie ma specjalnie sensu.

– Pewnie! – Emocje u Nataszy jeszcze nie opadły. – Ty jesteś wszystkiemu winny!

– Słucham? – Sebastian otworzył szeroko oczy.

– Zawsze facet jest winny – wyszczała Natasza.

– Do tanga trzeba dwojga! – odszczeknął Sebastian.

– Oszaaleście? Przestańcie! – wtrąciła się w końcu Karolina. – Jeszcze tu jestem!

– I właśnie z twojej przyczyny tu jesteśmy – twardo oznajmiła Natasza.

– Dlatego to ja powinnam móc podejmować decyzje! – zapiszczała Karolina. – Więc siadajcie na dupach i przestańcie podskakiwać jak kaczki na polowaniu!

– Kaczki na polowaniu?

– Jak się do kogoś strzela, to ucieka, prawda? Podskakuje – wytłumaczyła.

– To głupie – stwierdziła Natasza.

– No wiem. Ale przynajmniej się roześmieliście.

– Ha, ha, ha – odpowiedziała Natasza. – Ciągle się śmiejemy.

– I taką Karolinę znam – stwierdził Sebastian. – Lekko złośliwą i urągającą stereotypom, inteligentną żołą. Taką cię poznałem i zapamiętałem.

– I pięknie. – Karolina wzruszyła ramionami. – Wpisując się w charakter opisywanej przez ciebie postaci, powiem, że czas już zakończyć naszą rozmowę.

– Naprawdę jesteś w ciąży? – Sebastian nie dał się spławić.

– Nie. Leżę na patologii ciąży, bo włożyłam sobie poduszkę pod sukienkę.

– Pytam, bo...

– O nic nie musisz pytać. W ogóle nie musisz nic mówić. Nie ma takiej potrzeby. W ogóle nie musisz tutaj być! – Karolina znów uniosła głos. – O nic cię nie prosiłam i nie mam takiego zamiaru!

– Jak wiesz – Sebastian nie dał się wytrącić z równowagi – mam rodzinę.

– Mówiłeś to już wiele razy.

– Nasz syn, Antoni, ma sześć lat i jest adoptowany.

Natasza wciągnęła gwałtownie powietrze, a Karolina patrzyła na chłopaka w skupieniu.

– Streszczaj się, bo to wszystko już wiemy – powiedziała, gdy Sebastian umilkł na dłuższą chwilę.

– Z moją żoną staraliśmy się o dziecko przez kilka lat. Adoptowaliśmy syna. Ona jednak chciała mieć własne. Po badaniach zdecydowaliśmy się na *in vitro*. Lekarze powiedzieli nam, że razem nie mamy szansy na dziecko. O nic więcej nie pytałem. Udało nam się, żona jest w ciąży. Po twoim telefonie jednak umówiłem się ponownie z lekarzem. Przyjął mnie jak przyjaciela. W końcu w jego kategoriach jesteśmy tymi, których zapisuje po stronie „sukces”. Podnosimy statystyki. Zrozumiałem, że oczekiwał kolejnych wizyt, kolejnego *in vitro* i kolejnych wydanych przez nas pieniędzy. Nie był zachwycony, gdy zdał sobie sprawę, z czym przychodzi. Z niechęcią przyznał, że każde z nas mogłoby mieć dzieci z innym partnerem. Jak to powiedział? „Być może nawet państwo, w innych okolicznościach, innym okresie życia, po zastosowaniu długoterminowej dyscypliny w diecie, zmianie pracy, mieszkaniu w środowisku pozbawionym smogu, mogliby doczekać się w naturalny sposób wspólnego potomstwa”. Dowiedziałem się w ten sposób, że tak naprawdę nie ma przeszkód, bym został ojcem. A skoro tak...

– Sugerujesz, że nie oszukałeś mnie świadomie – stwierdziła Karolina.

– Właśnie – odparł Sebastian.

– Ty się nie zabezpieczałaś? – palnęła Natasza.

– A ty naprawdę nie potrafisz trzymać jęzora za zębami – odparowała Karolina.

– Myślałem, że nie ma takiej potrzeby – stwierdził Sebastian.

– Cudownie. Ale jednak była. – Natasza wiedziała, że nie powinna się odzywać, nie potrafiła się jednak powstrzymać.

– I co teraz? – Sebastian sprawiał wrażenie bezbronny chłopca.

– Chciałeś mieć ciastko i zjeść ciastko. Więc je zjadłeś, a teraz wracaj do swojego gdańskiego tortu z sześciolatnim Antosiem. Niczego od ciebie nie chcę.

– Ale to moje dziecko – stwierdził Sebastian stanowczo.

– Nic ci do tego. W życiu byś się o tym nie dowiedział, gdyby nie ta parszywa papla. – Karolina z niechęcią spojrzała na przyjaciółkę.

– Chcę być obecny w życiu mojego dziecka. Chcę być za nie odpowiedzialny. To na pewno będzie córka. Damy jej na imię Urszula, jak moja mama. I będziemy rozpieszczać...

– Absolutnie nie – przerwała mu Karolina. – Nie będziesz obecny w życiu mojego dziecka ani moim. Nie zostawisz swojej szanownej małżonki ani małoletniego syna. Powiem ci, co zrobimy. Za kilka minut wyjdiesz ze szpitala, wsiądziesz do taksówki i pojedziesz na dworzec. Ostatnio śpieszyłeś się na pociąg o trzynastej trzydzieści. Masz więc jeszcze czas. Poczekaś na dworcu, kupisz sobie ulubioną kawę z sojowym mlekiem i trzcinowym cukrem. Czas jakoś zleci. Potem wsiądziesz do bezprzedziałowego wagonu z dobrym wi-fi i skupisz się na kolejnym projekcie, który przygotowujesz dla swojej firmy. Na pewno masz ze sobą laptopa. A my już nigdy więcej się nie zobaczymy.

– Raczej niemożliwe – spokojnie oznajmił Sebastian. – Począwszy od tego, że najpierw muszę pojechać do twojego mieszkania. Zostawiłem tam cały swój bagaż. I laptopa.

– Moja przyjaciółka cię odprowadzi – odpowiedziała Karolina, odwracając się na drugi bok.

Natasza kątem oka zauważyła zbliżających się rodziców Karoliny.

– Wychodzimy – zaordynowała stanowczo.

– Co? Ale dlaczego? Ja...

– Natychmiast. Nie widzisz, że Karolina źle się czuje? Zwinęła się w kłębek. Dajmy jej odpocząć.

Niczego nie tłumacząc, pociągnęła Sebastiana za rękę i zdecydowanie wyprowadziła z sali. Nie przez przypadek „pomyliła się” i skierowała się w kierunku wnętrza oddziału.

– Dokąd mnie ciągniesz? – Zaprotestował, stając na środku korytarza wyłożonego szmaragdowo-zielonym linoleum. Oddział był śliczny, być może wystrój miał łagodzić cierpienie matek, które wychodziły stąd, na szczęście nie wszystkie, z pustymi brzuchami. – Wyjście jest w drugą stronę.

– Tak. Oczywiście – odpowiedziała, popychając Sebastiana jeszcze dwa kroki dalej. Stąd już nie mogli zostać dostrzeżeni przez rodziców przyjaciółki. – Karolina potrzebuje czasu. Może jutro będzie skłonna do bardziej rzeczowej rozmowy.

– Co ja tutaj będę robił do jutra? – rzucił zdziwiony. – Planowałem wrócić wieczornym pociągiem.

– No i widzisz, fantastycznie! – Ucieszyła się pokazowo. – Zrobisz, jak zaplanowałeś.

– Masz mnie za idiotę – odparł Sebastian.

– Skądże! – Natasza wykonała gest klepania się w okolice serca, choć niegdyś wysmiewała takie odruchy.

– Teraz mnie wyrzucacie, a za trzy lata moja żona dostanie wezwanie z sądu w sprawie o alimenty.

– Po pierwsze, na pewno nie twoja żona. Jeśli już, to ty. Poza tym nie my, tylko Karolina. Wszystko jest jej decyzją.

– Korespondencja przychodzi na wspólny adres – odparował.

– Po drugie, nie musisz się tego bać. Karolina nie zażąda alimentów. Nie widzisz, że nie chce cię znać?

– Ale co ja jej zrobiłem?

„Oprócz dzieciątka?” – pomyślała Natasza.

– No właśnie nic. Ona jest, sam wiesz, bardzo niezależna.

– To co? – Sebastian wciąż stał bezradnie na środku szpitalnego korytarza, aż Nataszy zrobiło się go żal.

„Wielki pan inżynier, a życiowa sierota” – pomyślała. „Zapłacił za sztuczne dziecko, bo mu wmówiono, że nie może mieć własnego, choć rzekomo tak bardzo go pragnął. A gdy w końcu je ma, to staje bezradny niczym Kubuś Puchatek przed dwoma garnuszkami miodu i nie wie, z którego uszczknąć. Niech lepiej wraca do swojego Trójmiasta i dupy nam nie zawraca”.

Ruszyli do wyjścia, gdy rodzice Karoliny zdążyli już wejść do szpitalnej sali.

– Wrócimy do mieszkania, prześpisz się. Wieczorem Robert odprowadzi cię na pociąg.

– Sam trafię – odparował Sebastian, a Nataszy przypomniało się przerażenie w jego oczach, gdy stanął naprzeciw jej umięśnionego narzeczonego.

– Spoko – odpowiedziała. – Ale teraz się pośpieszmy, bo nie zdążę do pracy.

Zanim dotarli do mieszkania, na komórkę zadzwoniła matka Karoliny.

– Natasza? – upewniła się jak zawsze, jakby nie miała przekonania, do kogo dzwoni.

– Dzień dobry pani – odparła dziewczyna grzecznie.

– Z kim wychodziłaś z pokoju Karoliny?

„Cholera, jednak nas widziała” – pomyślała Natasza.

– To mój stary znajomy – skłamała na poczekaniu. – Odwiedził mnie niespodziewanie i postanowiłam rozerwać odrobinę Karolinę. Ale trochę się śpieszyliśmy, bo dziś wraca do Wrocławia, a jeszcze chciał odwiedzić kilka osób. Proszę się nie gniewać, że nie poczekaliśmy na państwa.

W głosie Teresy usłyszała wyraźny zawód. Czyżby naprawdę kobieca intuicja miała moc?

– Miłego dnia ci zatem życzę, Nataszo.

– Do zobaczenia.

A gdy się rozłączyła, syknęła tylko do wyraźnie zaintrygowanego Sebastiana:

– Nawet nie pytaj.

– Znaczy się, teściowa – stwierdził ze stoickim spokojem.

– Raczej nie uderzaj w ten ton, bo wrócisz do domu bez bagażu i bez biletu. Bo jak rozumiem, masz go w torbie.

– Mam go w telefonie. I nie strasz mnie. I tak będę robił, co uważam za stosowne.

– A podobno tylko dorastające małolaty są głupio krnąbrne.

Sebastian uśmiechnął się szeroko.

Dotarli do mieszkania, w którym Natasza dyskretnie uzgodniła z Robertem, że przypilnuje tatuażu.

– Przynajmniej nie pozwól mu opróżnić mieszkania Karoliny – stwierdziła ponuro Natasza.

– Podejrzewasz go o coś takiego?

Natasza wzruszyła ramionami.

– Gość jest wkurzony. Kto wie, co mu przyjdzie do głowy?

Sama musiała jechać do pracy, w rzeszowskim mieszkaniu zostało dwóch panów. Sebastian świetnie mówił po angielsku, Natasza więc była przekonana, że razem miło spędzą czas. Pojechała do pracy ze spokojnym sumieniem.

W barze panował wyjątkowy rozgardiasz. Przez całe popołudnie i wieczór nie miała czasu, by spokojnie porozmawiać. Widziała wprawdzie telefon od Roberta, nie mogła wtedy rozmawiać, oddzwoniła. Nie rozmawiali jednak długo.

– Jesteś zajęta? – upewnił się, słysząc jej zdyszany głos.

– Trochę – odparła, a on doskonale zrozumiał, co tak naprawdę chciała powiedzieć.

– Czyli bardzo.

– Dosyć – Zaśmiała się.

– Zadzwon w wolnej chwili – odparł.

– Coś się stało?

– Nic szczególnego. Wszystko pod kontrolą.

Natasza odłożyła telefon i aż do wieczora nie zerknęła w niego. Wiedziała przecież, że gdyby działo się coś naprawdę ważnego, Robert zadzwoniłby na stacjonarny numer jednostki. Akurat on doskonale wiedział, jak ją tu znaleźć.

Wracała do domu już po dwudziestej trzeciej i dopiero w autobusie zerknęła w telefon. Zmarszczyła brwi, widząc trzy nieodebrane połączenia od Karoliny. Zastanawiała się chwilę, czy o tej godzinie powinna jeszcze dzwonić do przyjaciółki. Karolinę przeniesiono wprawdzie kilka dni wcześniej do jednoosobowej sali i była nocnym Markiem, w szpitalu jednak powinna odpoczywać. Po kilku minutach rozważań Natasza wybrała jednak numer do przyjaciółki.

Nie odebrała.

Natasza zupełnie się tym nie przejęła. Wręcz odetchnęła z ulgą. Jest noc. Karolina na pewno wyciszyła telefon i spokojnie śpi – wytłumaczyła sobie.

Dzwonek usłyszała już na klatce schodowej. Telefon, wciśnięty głęboko w torbę przestał dźwięczeć, zanim go znalazła. „Pewnie Robert się denerwuje” – pomyślała. „Nie oddzwonię do niego, zaskoczę go, stając w drzwiach” – uśmiechnęła się do siebie.

I rzeczywiście, ucieszył się. Na pierwszy chrobot w zamku Robert podskoczył i dosłownie zmate-

rializował się przy drzwiach. Uściskali się namiętnie, po czym Natasza zakomenderowała:

– Najpierw prysznic.

Czekał pod drzwiami łazienki.

– Może jesteś głodna? – zapytał, a ona pokręciła przecząco głową. On jednak wcale nie czekał na odpowiedź. – Ale nawet jeśli, to i tak najpierw zaspokoimy inny głód.

Zeszło im na tym do północy. Dopiero wtedy zaczęli rozmawiać.

– Ten Sebastian to całkiem narwany gość – stwierdził Robert.

– Musi taki być, skoro uwiódł Karolinę.

– Niedługo po twoim wyjściu chwycił torbę i po prostu wybiegł z mieszkania.

– Co zrobił? – Natasza poczuła zimny dreszcz spływający jej po plecach szeroką wstęgą.

– Jakby zwiewał.

– Może po prostu nie chciał, żebyś go zatrzymał? – upewniała się.

– Tak. Zapewne tak – przyznał Robert po chwili zastanowienia. – A poza tym ktoś dzwonił do ciebie, kiedy byłaś pod prysznicem.

To nie był dreszcz, raczej lodowaty prysznic.

„Ktoś dzwonił? Kolejny raz? O północy?” – Nataszy zatrzęsły się ręce, odnalazła swoją komórkę dopiero po dłuższej chwili. Na wyświetlaczu zobaczyła dokładnie to, czego się spodziewała. Numer Karoliny. Oddzwoniła bez rozważań nad późną porą.

– Przyjeźdź natychmiast – tylko tyle usłyszała Natasza. I nie miała wątpliwości, że jej przyjaciółka bardzo płakała.

ROZDZIAŁ 21

– To się nie dzieje naprawdę – powiedziała Zuriana do Louise.

– Zgadzasz się z tobą. To tylko koszmar, który nazywamy życiem. Prawda jest po drugiej stronie, w Krainie Wiecznej Szczęśliwości.

– Nasi przodkowie nie kłusowali na dzikich koniach po Wielkiej Równinie, odpuść sobie.

– Zwał jak zwał. Możemy być ewangelikami, zielonoświątkowcami, wyznawcami wschodzącego słońca albo nawet katolikami, i tak to wszystko jest o jednym. Prawdziwe życie zaczyna się po drugiej stronie.

– Louise, przestań.

– Nie zamierzam. Jestem szczęściarą. Mam czas, by wszystko poukładać przed podróżą.

– Przestań! – zdenerwowała się Zuriana.

– Ani myślę. Matkę odprowadziłam na cmentarz. Jedyne brat matki został zamordowany przez Johna Wayne Gacy’ego, ojca i jego rodziny nie znam. Babcia jest w zakładzie i nie wie, co się dzieje, więc niewiele ją obchodzi. Niczego też ode mnie nie potrzebuje. Dom, jak wiesz, spłaciłam dwa lata temu. Mam na świecie dwoje ludzi, na których mi zależy. To Samuel i ty.

– Bzdury opowiadasz!

– Masz rację. Teraz powinnam jeszcze doliczyć Marka. Dom zapisałam Samuelowi, oczywiście, ale ty jesteś jego pełnomocnikiem. Czy jak to się tam nazywa. Reprezentujesz go.

– Nie opowiadaj...

– Zgodziłaś się, nie pamiętasz? Załatwiłam wszystko przed notariuszem. Jak należy.

– Louise, przestań! – Zuriana podeszła do przyjaciółki, położyła ręce na ramionach i silnie potrząsnęła.

Obie miały łzy w oczach. Louise zacisnęła wargi w grymasie, który miał pohamować gwałtowny wybuch. Opanowała się po chwili, głęboko oddychając.

– Uciekanie od faktów ich nie zmienia.

– Chorujesz – powiedziała delikatnie Zuriana. – Przechodzisz kryzys, to normalne. Współczesna medycyna jednak potrafi radzić sobie już niemal ze wszystkim, chociaż nie zawsze od razu i...

– Zuriana, przestań. – Louise przerwała jej ze spokojem, który był przerażający. – To nie jest chwilowy kryzys.

– Oczywiście! Jesteś chora i nie wyzdrowiejesz w dwa tygodnie!

– Nie wyzdrowię, masz rację. Zuriana, nie przerywaj mi więcej. Terapia nie działa. Zgodziłam się nawet na jakąś eksperymentalną, byle tylko mieć szanse wychowywać Samuela, ale nic nie powstrzymało mojego raka. Rozłazi się po całym ciele, zżera wszystkie tkanki... Pozostało mi niewiele czasu. Chcę odejść na swoich warunkach, zostawić po sobie porządek. A przede wszystkim pozwolić Samuelowi pamiętać matkę, która nie będzie go straszyć po nocach. Dlatego nigdy nie pokazuję mu się bez turbanu. I dlatego za jakiś czas, raczej prędzej niż później, trafię do hospicjum. Gdy nie będę w stanie funkcjonować normalnie, choć od dwóch lat nic nie jest normalne, to tam zadzwonię. I chcę, żeby mój syn wtedy wiedział, że może przyjść do ciebie.

– Chcesz, żebym już teraz urządziła mu pokój?

– Mogłabyś?

– Oczywiście. Będzie czuć się jak w domu. Tylko bez matki.

– Będzie miał ciebie.

– Kocham twój syna, ale nie jestem tobą.

– Chciałabym, by miał taki dom, w jakim niegdyś wychowywał się Robert. Udał ci się syn, może i Samuel wyrośnie na kogoś dobrego.

Zuriana nie wytrzymała. Usiadła na hokerze, i milcząc, ocierała łzy ściekające po policzkach niczym małe wodospady.

– Kocham cię, Louise.

– Jesteś dla mnie jak siostra – odwdzięczyła się Zuriana. – Ale dużo młodsza. Nie wiem, czy nie będę zbyt starą matką dla Sama.

– Sam kocha cię tak samo jak ja. A z Markiem będziecie tworzyć piękną rodzinę.

– Myślisz? Jeden pocałunek, nawet bezwstydnie namiętny, nie załatwia sprawy.

– Stara, a głupia – odparowała Louise. – Kochacie się już od lat, tylko ty, oślepiona zbyt długimi blond włoskami twój przemocowego eks, tego nie dostrzegałaś. Mark zrobiłby dla ciebie wszystko,

a ty dla niego drugie tyle. A że bez słów i deklaracji?

Zuriana zastanowiła się chwilę. Właściwie... Mark był obok niej od zawsze. Jeszcze w czasie jej małżeńskich lat, kiedy zachorował Robert, a Wojtek wziął samochód i nie odbierał telefonu, to do Marka pobięła po pomoc. I otrzymała ją bez proszenia. Już po pierwszym: „Robert ma zbyt wysoką gorączkę”, Mark trzymał w ręku kluczyki i narzucał na siebie lekką kurtkę. Ile razy umawiała się z Wojtkiem, że pojedą razem coś załatwić, a jego po prostu nie było? Samochód wtedy mieli jeden, a komunikacja miejska w Atlancie od zawsze działa, jak chce... a raczej nie chce.

Mark zawsze był w pogotowiu. Gdy z pralki lała się woda i gdy wysadziło korki. Zawsze uśmiechnięty. Czy on kiedyś był w kiepskiej formie? Zuriana zupełnie tego nie pamiętała.

– Myślisz teraz o tym, że Mark zawsze był koło ciebie, prawda? – bardziej stwierdziła, niż zapytała Louise.

– Znasz mnie lepiej niż ja siebie.

– Słyszałam, ale to tylko plotka, że Mark też czasami choruje.

– No właśnie. Nigdy go nie widziałam w złej formie. – Zuriana przygryzła wargę.

– A ja nigdy w lepszej niż wtedy, kiedy dał Wojtkowi po mordzie. Dziewczyno, on po prostu cię uwielbia. A że jestem już w miejscu, w którym mogę mieć gdzieś konwenanse, to ci powiem: głupia jesteś. Wpatrzona w Wojtka jak w obrazek, tracisz życie na byle gnojka.

– Skoro on... on mnie...

– Widzę. Krew ci uderza do głowy na jego widok. Żeby tylko do głowy! Wszystkie lubimy niegrzecznych chłopców. Są fajni do łóżka, nie nadają się do życia. A ty musisz wychować mojego syna, więc załatw sobie przyzwoitego faceta.

– Sama wychowasz Samuela. Zajmę się nim zawsze, kiedy będzie potrzeba, ale to ty sama...

– Nie oszukuj się – przerwała jej Louise. – Ja już przestałam. Żeby ci pomóc zaakceptować rzeczywistość, napijemy się wina.

– Ty nie powinnaś...

– Ja już wszystko powinnam. Mnie już wszystko wolno. Po prostu nalej mi wina.

Zuriana nie ruszyła się z hokera.

Louise zaczęła się śmiać.

– Nie upiję się już. O to możesz być spokojna. Ale życia będę używać bez ograniczeń, na ile tylko starczy mi sił. Polej.

Zuriana wypełniła w trzech czwartych kryształowe kieliszki, ślubny prezent. Podobno pamiątka po babce Wojtka, choć trudno jej było to zweryfikować. Nigdy nie poznała nikogo z jego rodziny. Nigdy też, za jej pamięci, nie poleciał do Polski.

W końcu przyszło jej do głowy, pewnego pochmurnego dnia, że Wojtek był uciekinierem. Nigdy jednak nie pozwolił na rozmowę o tym, zawsze zmieniał temat. Ze śmiechem, irytacją, łagodnie, z wściekłością – ale w rozmowie też był uciekinierem. Co tym bardziej utwierdziło Zurianę w przekonaniu, że nie był typowym zarobkowym polskim emigrantem.

Bo z Polaków Amerykanie się naigrywali. Że nieuki, że się nie potrafią dostosować, że się nie uczą ani języka, ani obyczajów, nie idą z postępem. Ale zwykle byli pracowici. Prości robotnicy.

A Wojtek... Wiele można było o nim powiedzieć, ale robotny to on nie był. Złotowłosa błękitny ptak. Uroczy, czarujący. Obecny wszędzie tam, gdzie szykowałą się zabawa. Unikający odpowiedzialności. Szybko znudzony. Niedający się przyszpilić obowiązkami.

– Kieliszki piękne, wino wyborne, żyć, nie umierać – powiedziała Louise prowokująco.

– Nie drażnij się ze mną.

– Tylko troszkę. Co tam u Roberta?

– Dzwonił ostatnio. Twierdzi, że wszystko dobrze. A nawet fantastycznie. Poznał jakąś dziewczynę.

– Macie słabość do Polaków.

– Ha, wcale nie. To nie Polka, tylko Ukrainka.

– Robert przywiezie sobie żonę z wojny?

– Nie śpieszmy się tak. – Zuriana się roześmiała. – Wojna to nie czas na długofalowe plany, typowe w takim okresie są raczej przelotne miłości. Niech się nacieszy, póki może.

– Nie traktujesz poważnie słów syna?

Zuriana chrząknęła.

– Robert jest mądrym mężczyzną, jednak to tylko samiec.

– Niezbyt cenisz jego wybranek.

– Nie znam jej i pewnie nigdy nie poznam. Nawet nie będę się przyzwyczajać do myśli o jej istnieniu.

– To co tak naprawdę u Roberta? Poza jego miłosnymi podbojami.

– Na ten temat oczywiście nic mi nie powiedział. Tajemnice wojskowe. Mówił tylko, że lata na jakieś misje, nic więcej.

– To naturalne. A wiadomo, kiedy wróci do domu?

– A kiedy skończy się wojna? – Zuriana wzruszyła ramionami. – Chciałabym, żeby jak najszybciej.

– Daj życiu czas – filozoficznie stwierdziła Louise.

– Przygotuję coś do jedzenia. Smażony kurczak, macaroni z serem, wrzucę tylko pojemniki do mikrofal. No i mam świeżego colesława.

– Tradycja południa na talerzu. – Louise się zaśmiała. – Ale ja nie bardzo mogę jeść. Wymiotuję, czasami wystarczy zapach. Jeśli dostanę od ciebie maślanego tosta to będzie spełnienie moich kulinarnych zachcianek.

– Niemożliwe. Ty musisz teraz jeść, żeby mieć siłę...

– Zuriana. – Louise spojrzała przyjaciółce w oczy. – Wiem, że chcesz jak najlepiej, ale zaakceptuj rzeczywistość. Umieram. Nic tego nie zmieni. Byłoby cudownie, gdyby Robert wrócił na mój pogrzeb. Myślisz, że to się uda? Jesteście dla mnie najbliższymi ludźmi, choć nie jesteśmy rodziną. A może i jesteście ważniejsi, biorąc pod uwagę fakt, że tej z krwi nie mam.

– Louise...

– Proszę, nie zaprzeczaj rzeczywistości.

– Przygotuję dla ciebie maślany tost. Z największą ilością masła, jaką możesz sobie wyobrazić.

Louise złapała ją za rękę.

– Właśnie nie. Tego nie rób. Żyj normalnie i postępuj jak zawsze. Życie ma smak, wiesz? Najlepszy, kiedy po prostu trwa. Niepotrzebne tu żadne ekstra słowa, wszystko, co najpiękniejsze, tkwi w prostocie. Maślany tost, kieliszek czerwonego wina, rozmowa z przyjaciółką. Promień słońca wpadający przez lekko przybrudzoną szybę, piękny wzór na niezbyt drogim dywanie. Wieczór spędzony na schodach przed domem ze szklanką lemoniady cytrynowej w ręce. Zrobisz to dla mnie? Po prostu ze mną bądź.

Zuriana wstała, wyciągnęła masło i chleb.

– Zjemy, siedząc na schodach przed domem – powiedziała ze ściśniętym gardłem. – Tylko musimy się ciut pośpieszyć, Sam niedługo wróci ze szkoły.

– I lemoniada. Nie zapomnij o lemoniadzie.

ROZDZIAŁ 22

– Tylko mi nie mów, że tak będzie lepiej – powiedziała zapłakana Karolina.

Natasza milczała.

– Masz rację, nie mam nic do powiedzenia – ciągnęła przyjaciółka. – Wypiszą mnie jutro, znajdziesz dla mnie miejsce?

– Przecież to twoje mieszkanie!

– Ale zajęłaś je razem z Robertem.

– Robert jest na kolejnej misji.

– Ale wróci. Jak zawsze. I wtedy będzie nam ciasno.

– Pomieścimy się. Robert ma swoją kwaterę, ja też przecież mam... dom.

– Jasne. – Karolina nawet nie udawała zaangażowanej w rozmowę. – Pojedziesz do ojca, by zamieszkać w swoim byłym pokoju. Są tam jeszcze jakieś meble? Ale spoko, odremontujesz, powiesz białe firanki, tak przecież lubisz firanki. Wypastujesz podłogę... Podłogi ciągle są, prawda? Podłóg jeszcze ojciec nie sprzedał. A może już poszły na opał? Ładne mieliście. Takie szerokie deski...

– Przestań! – wykrzyknęła Natasza. Miała łzy w oczach. – Jesteś okrutna.

– Życie jest okrutne – stwierdziła Karolina beznamiętnie.

– Pójdę już. – Natasza wstała.

– Przynajmniej daj mi to, co przyniosłaś – powstrzymała ją Karolina.

Natasza usiadła ponownie. Sięgnęła do materiałowej siatki i wyciągnęła zakupy, które odruchowo zrobiła po drodze. Dwie pomarańcze, jabłko, jogurt morelowy i sok z ananasa. Do tego dwie kanapki na żytnim chlebie, z szynką i pastą jajeczną. I sałatkę z kaszą jaglaną.

– Samo zdrowie – stwierdziła, rozkładając przed Karoliną kolejne produkty.

– Całkiem mi niepotrzebne.

– Życie się nie skończyło – odparła Natasza.

– Zapomniałaś o misji karmienia mojej matki? Po co to wszystko przyniosłaś?

– Odruch. Poza tym, powtórzę, życie się nie skończyło, ono trwa.

Karolina rozplakała się gwałtownie.

– Kochałam to dziecko. Już je kochałam, choć jeszcze było tak malutkie. Jeszcze się nie urodziło, a ja już odprowadzałam je w myślach do szkoły. Martwiłam się o maturę. Wybierałyśmy razem suknię ślubną. A teraz... jestem pusta.

Natasza chwyciła przyjaciółkę za rękę.

– Nie ma odpowiednich słów – powiedziała cicho. – Dzisiaj będziemy je oplakiwać. Będę znosić wszystkie twoje impertynencje. Pozwolę ci się obrażać, zaakceptuję nawet najgorsze słowa. Nic nie będę miała do wybaczenia, bo jutro o wszystkim zapomnę. I właśnie to jutro będzie kluczowe. Od tego momentu zaczniemy wszystko od nowa. A teraz płacz.

– I mogę przeklinać? – Karolina uśmiechnęła się delikatnie.

– Śmiało. W polskich przekleństwach nie jestem najmocniejsza. Poduczę się.

Karolina nie wytrzymała. Zaczęła się histerycznie śmiać, a łzy leciały jej z oczu niczym kaskada w Amicalola Falls.

– Płacz – wyszeptła Natasza.

Zadzwoiła do swojej zmienniczki i uprzedziła, że dziś nie pojawi się w pracy.

Rodzice Karoliny przybyli, gdy najsilniejsze emocje już opadły, choć Karolina wciąż płakała.

– Córeczko nasza! – Matka weszła do szpitalnej sali z szeroko rozłożonymi rękami. – Jak my to teraz zniesiemy? Co teraz będzie? Nasz pierwszy wnuk! Ale to nic, nic nie będzie. Zobaczysz, będą kolejne wnuczeta. To nic, kochanie, to nic. – Usiadła na łóżku córki i objęła ją, przytulając do piersi. – Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

To mówiąc, kołysała się, niczym dziecko w ataku choroby sierocej. Karolina razem z nią.

Natasza obserwowała scenę najpierw ze zdumieniem, a potem, gdy dostrzegła minę Karoliny, z rozbawieniem. Przyjaciółka wywracała oczami.

– O ile dobrze pamiętam, namawiałaś mnie na usunięcie swojego pierwszego wnuka.

– To był tylko początkowy szok! – stwierdziła z oburzeniem matka. – To przecież dziecko, mały człowiek. A ze ślubem coś by się wymyśliło. Kiedyś byś zmańdrzała. Ale teraz musisz coś zjeść. Przywiozłam ci rosółek, wypakuj. – Odwróciła się w stronę męża. Ojciec Karoliny stał cały czas przy drzwiach i w milczeniu przyglądał się scenie.

– Mamo, nie mam apetytu – powiedziała Karolina. – Zresztą jestem po narkozie, nie powinnam jeść.

– Bzdura – zaprotestowała stanowczo kobieta. – Kilka łyżek rosółu jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Ty też zjesz, razem z nami – dodała, spoglądając na Nataszę.

– Co państwo tu wyprawiacie? – W drzwiach stanęła pielęgniarka. Obecność personelu medycznego nie powinna nikogo dziwić w szpitalu, jednak Teresa potraktowała przybyłą niemal jak powietrze. – Pacjentka potrzebuje spokoju! – dodała więc kobieta w białym uniformie, by zostać zauważoną.

– Ta pacjentka... – Matka Karoliny wzięła się pod boki. Niewysoka, korpulentna pani w średnim wieku, z półdługimi lokami, wyglądała teraz jak atakujący jastrząb. – Ta pacjentka to moja córka. I chyba najlepiej wiem, co jej służy i czego potrzebuje. W tym waszym szpitalu nic dobrze nie potraficie zrobić! Cięży tu u was nie utrzymała, wszystko przez was! I teraz muszę o nią zadbać. Zresztą – spojrzała na oniemiałą pielęgniarkę mniej groźnie – mamy dodatkowy talerz. Tak na wszelki wypadek. Panią też nakarmimy. Rosół od szczęśliwej kurki, z dodatkiem kaczuski, żeby było tłustiej. Przyda się, boś strasznie chuda, kobieto. Nalewaj, Natasza, nalewaj!

– Ja... Dziękuję bardzo, muszę wracać do obowiązków.

Pielęgniarka czmychnęła, zamykając za sobą drzwi. Szła korytarzem, potrząsając głową i zastanawiając się, co to właściwie było.

„Powinnam z hukiem wyrzucić całe to towarzystwo, jednak rzeczywiście, dziewczyna po poronieniu mogła nie być w najlepszej kondycji. Poza tym i tak jutro ma zostać wypisana. Niech się nacieszą domowym rosółkiem na szpitalnym łóżku” – uznała ostatecznie i zajęła się własnymi sprawami.

Natasza tymczasem nalała rosół do talerzy i z rozbawieniem obserwowała zmieniające się oblicze przyjaciółki. Matka Karoliny trajkotała cały czas, w pewnym momencie otoczenie zaczęło traktować jej słowa jak biały szum. Nic nieznaczący podkład dźwiękowy, regularnie szemrzący, jak strumyk w upalne letnie popołudnie. Karolina jednak najwyraźniej słyszała. I reagowała. Od czasu do czasu odpowiadała coś matce.

Natasza szybko doszła do wniosku, że przyjaciółce dobrze robi ta wymiana zdań. Wkurzająca, bez wątpienia, ale absorbująca. Odrywała Karolinę od czarnych myśli. Jej strata stawała się oswojona, jakby okiełznana, chociaż nie została zażegnana. Była. I będzie. Choć z czasem, zapewne, przykurzy ją codzienność... A może czas przyniesie radości, które włożą tęsknotę za nienarodzonym pierworodnym do szklanej bańki. Odstawiona na półkę, będzie istnieć, ale przestanie boleć. Mąż, narodzone dzieci, praca, wakacje w ciepłych krajach, święta, dni powszednie. Cierpienie zblednie.

W pewnym momencie Natasza zorientowała się, że zapadła cisza. Wróciła myślami do rzeczywistości.

– Słucham? – powiedziała instynktownie.

– Odpłynęłaś. – Karolina się zaśmiała. Była w tym... pretensja? Czy o to, że Natasza nie uczestniczyła w rozmowie? Zamyśliła się? Czy Karolina potrzebowała wsparcia, którego Natasza jej nie udzieliła? Ale kto potrzebuje ochrony przed własną matką?

„Chciałabym wciąż mieć matkę” – zdążyła jeszcze pomyśleć Natasza. „Nawet jeśli musiałabym się przed nią jakoś bronić. To bez sensu. Moja matka była najlepszą osobą na świecie. A tata...”

– Pytałam, co u ciebie – powtórzyła pytanie Teresa.

– Wszystko dobrze. – Natasza uśmiechnęła się skromnie.

– Niewiele mi to wyjaśniło.

– A jest cokolwiek do wyjaśniania? – wtrąciła Karolina.

– Oczywiście. – Matka spojrzała na córkę z wyższością. – Natasza pracuje. Prowadza się z kimś, a to jest bardzo interesujące.

– Plotkara – Córka się nie powstrzymała, a matka zmierzyła ją lodowatym spojrzeniem.

– Rozumiem, że elektryzujący jest kolor skóry mojego wybranka – wtrąciła się do rozmowy Natasza, delikatnie unosząc brwi.

– Hm... – Matka Karoliny speszyła się tylko na chwilę. – Może odrobinę. Przyznasz jednak, że nie jest to specjalnie dziwne. Wręcz, powiedziałabym, ciekawość tego typu jest naturalna i oczywista w naszym środowisku. – Na koniec uniosła wysoko głowę.

„Szybko odzyskała rezon” – pomyślała Natasza.

– Robert jest z pochodzenia w połowie Polakiem. Jego ojciec pochodzi gdzieś z tych okolic.

– Z Rzeszowa? – Teresa była wyraźnie podekscytowana.

Natasza kiwnęła głową.

– A jak on się nazywa? Skoro po ojcu, to powinien mieć nasze nazwisko, rzeszowskie. Toż on ro-

dak!

Karolina parsknęła śmiechem.

– Mamo, bliska u ciebie droga od traktowania narzeczonego Nataszy jak przykurzonego eksponatu z muzeum dziwolągów do swojego.

Kobieta wzruszyła ramionami i dalej z natężeniem wpatrywała się w Nataszę.

– Robert nazywa się Bowel.

– Widocznie jednak po matce – Matka Karoliny zmartwiła się. – A może oni tak na kocią łapę i to dlatego tak? Nie ma właściwego nazwiska?

– Nie mam pojęcia. – Natasza zaśmiała się lekko skrępowana.

– Mamo, daj dziewczynie spokój! – rzuciła Karolina z irytacją.

– Spokój, spokój – burknęła matka. – To jest ważne!

– Mamo, zachowujesz się jak stara plotkara.

– Tylko nie stara!

– No właśnie. – Karolina wywróciła oczami. – Plotkara.

Matka wywróciła oczami.

– Mów dalej, dziecko – powiedziała do Nataszy, wierząc się z zaciekawieniem na twardym krześle.

– Niewiele jest więcej do powiedzenia – stwierdziła Natasza. – Robert jest żołnierzem z elitarnej jednostki w Fort Bragg w Karolinie Północnej. Pochodzi z Atlanty. Nie ma rodzeństwa. Jego mama pracuje w dużym sklepie, kiedyś jako sprzedawczyni, ostatnimi czasy awansowała na kierowniczkę stoiska. Mieszkają w północno-zachodniej Atlancie, w dość podłej dzielnicy Grove Park.

– A ojciec? Opowiadaj o ojcu!

– Ma imię Wojciech. Wojtek. Półdługie blond włosy, niewysoki, muskularny. Podobno bardzo się kochali z matką Roberta, Zurianą.

– Kochali, czas przeszły?

– Rozwiedli się kilka lat temu. Nie wiem dokładnie kiedy. Więc pewnie dla tej miłości nastał już czas przeszły. Robert odziedziczył po matce czarne włosy i oczy, po ojcu uśmiech, taki do wewnątrz. A skórę ma mieszaną.

– Czyli jest prawie biały?

– Absolutnie nie! – wtrąciła Karolina.

– A ty skąd wiesz?

– Raz go widziałam. Może więcej niż raz. Ma skórę ciemną niczym heban.

– Chyba hebanu nie widziałas – prychnęła Natasza. – Robert twierdzi, że jego skóra jest o trzy tony jaśniejsza niż matki.

– Czyli... Zuriana? – Matka Karoliny przez chwilę zastanawiała się nad imieniem. – Ona musi być kompletnie czarna, co?

– Na zdjęciach tak właśnie wygląda.

– Masz zdjęcia? Pokaż! – zażądała Teresa.

– Dajże spokój – wtrącił się w końcu ojciec dziewczyny.

– Co spokój! To ważne jest! Natasza nie ma matki, ojciec... wiadomo, ktoś się musi Natką zaopiekować!

– Ma jeszcze braci i rodzinę w Ukrainie.

– Chyba kpisz! Rodzina daleko i nie wiadomo, kiedy znowu się zobaczą. A bracia to lepiej nie mówić. – Kobieta machnęła lekceważąco ręką.

Natasza w środku struchlała. Wojna. Tak łatwo było o niej zapomnieć, gdy jadło się pachnący domowy rosół, nawet w szpitalu. Gdzie było ciepło i bezpiecznie.

„Jak było we Lwowie?” – przemknęło jej przez głowę, ale odepchnęła od siebie tę myśl.

– Mów, dziecko. Czy masz zdjęcia?

– Nie mam – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Widziałam tylko jedno zdjęcie u Roberta. Właściwie dwa. Jedno rodzinne, matka, ojciec i on, na drugim matka i Robert. Nic więcej nie wiem.

– Nieużyteczna jesteś. A chociaż jest wierzący?

– Jest protestantem. – Natasza zaczynała czuć się zmęczona tym przesłuchaniem.

– Bezbożnik?

– Mamo! Protestanci to chrześcijanie! Jak katolicy i prawosławni.

– Dobrze, dobrze. Natka przecież też nie katoliczka. Kiedy poznamy tego twojego murzyna?

– Mamo, błagam! Murzyn to określenie pejoratywne, obraźliwe. Nie mów tak.

– A niby jak mam powiedzieć?
– Afroamerykanin – stwierdziła cicho Natasza.
– Za długo, a sprowadza się do tego samego. Murzyn jest jak biały. Kolor skóry, ot co. Pójdziemy już. Zbieraj brudne talerze, wychodzimy – zwróciła się do ojca Karoliny.

– Zostań jeszcze, proszę – powiedziała Karolina do przyjaciółki, gdy Natasza także się podniosła. Pożegnały się z rodzicami, a potem Natasza usiadła blisko przyjaciółki, Karolina chwyciła ją za rękę.

– Wybacz mamie. Śpieszyła się, żeby omówić wszystkie pozyskane informacje z sąsiadkami. Od teraz lokalne radio Rzeszów działa na najwyższych obrotach. Twój wybranek jest już znany z urodzenia, koloru skóry, imienia matki i – co najważniejsze – pochodzenia ojca. Wszyscy Wojtkowie, którzy kiedykolwiek opuścili Rzeszów, są w tej chwili wyciągani z odmetów historii. Jeszcze go zidentyfikują, uważaj. Robert wróci do domu bogatszy o znajomość historii swojej rodziny.

– Pewnie będzie zachwycony. Albo i nie. Ojciec jest dla niego, o ile dobrze zrozumiałam, niezapisaną kartą. I chyba wcale nie chce jej zapełniać. Zresztą, nie wiem.

– Może go zapytaj?

– Jak wróci.

– Znów na misji?

– I znów nic nie wiem. Kiedy wróci, dokąd poleciał. Nic. Powinien wrócić wczoraj.

– Nie denerwujesz się?

– Już nie tak bardzo. Można przywyknąć. Tylko... mam głupie sny.

Karolina pokręciła głową.

– Skończą się, kiedy się pobierzecie?

– Nie sądzę. – Natasza westchnęła. – Miną zapewne dopiero, kiedy skończy się wojna i nie będzie już latał na misje.

– Ale wciąż będzie żołnierzem.

– Ale już moim mężem.

– Czyli wracamy do punktu wyjścia. Zaplanujmy twój ślub.

– Trudne to, skoro nie wiadomo, kiedy pan młody będzie dostępny.

– Trudności nas nie zrażają, prawda? Kiedy Robert wróci, wszystko zorganizujemy.

– Robert już wystąpił do swojego dowódcy o zgodę. Potrzebne są jakieś zaświadczenia. Ja też ich potrzebuję. Amerykanin i Ukrainka mają się pobrać w Polsce, to trochę komplikuje sprawy.

– A ty już byłeś w urzędzie?

Natasza pokiwała głową.

– Wszystko teraz w Polsce jest dla Ukraińców łatwe. W urzędzie było milej niż podczas rozmowy z twoją mamą.

– Miło w urzędzie? Kpisz czy o drogę pytasz?

– Poza „dzień dobry” i „w czym mogę pomóc” był jeszcze uśmiech i konkretna podpowiedź. Urzędniczka pokazała mi, jaki druk wypełnić, co wpisać, gdzie, krok po kroku. I za dwa tygodnie będę miała wszystko, co niezbędne.

– To jest niemożliwe! Polski urząd potrafi?

– Nie wiecie, co macie – powiedziała Natasza. – Wasze urzędy działają bez zarzutu. Ulice są czyste. Wieczorem można wyjść na ulicę bez lęku, że za pierwszym rogiem ktoś da mi w głowę, zaciągnie do bramy, zgwałci...

– Natasza, wojna to straszny czas...

– Nie mówię tylko o wojnie. We Lwowie bywało różnie. My mieszkaliśmy w centrum, tam było względnie spokojnie. Na peryferiach różnie. A przede wszystkim w każdym miejscu obywatel czuł się... Nie wiem, jak to wyrazić. Jak śmieć. Niby, pozornie, tak po wierzchu, wszystko było w porządku. Przyzwyczajeni ludzie chodzili ulicami i kupowali lody w sympatycznych cukierniach. A w rzeczywistości panowała potworna korupcja. Podobno nawet na poziomie ministerialnym. Krążyły pogłoski, że wielkie koncerny przysyłały swoich przedstawicieli, by z naszymi ministrami uzgadniali odpowiednie przepisy. Korzystne dla nich, oczywiście. Wszyscy byli, podobno, zadowoleni. Ministrowie się bogacili, koncerny jeszcze bardziej, a my, szarzy ludzie... Wystarczyło zresztą zejść z głównej ulicy, by zobaczyć brud i rozkład. Sterty śmieci, których nikomu nie chciało się sprzątać. W Polsce jest inaczej. U was nawet trawniki pod blokami są zadbane. U was, nawet kiedy przyjechało nas, Ukraińców, tysiące, panował porządek. Był tłok, kolejki, to prawda, ale szybko ogarnęliście te sprawy. Ludzie przyjmowali uchodźców do swoich domów, załatwiali pracę, pomagali w zakupach. Dzieci mają darmowe przedszkola, napisy

w najważniejszych urzędach są po ukraińsku, nawet do muzeum mogę wejść za darmo. Pomogliście szybko, sprawnie, bez zadawania pytań. Jesteście zorganizowani.

- Może i tak, ale co to ma wspólnego z twoim ślubem?
- Tyle, że papiery będę miała za dwa tygodnie.
- A Robert?
- Podobno za trzy.
- Czyli za miesiąc ślub. Cudownie. Pomówmy zatem o twojej sukience.

ROZDZIAŁ 23

– Robert, dobrze, że dzwoniysz.

– Brzmisz, mamo, jak bardzo stęskniona.

– Pamiętasz, jak ci się skarżyłam, że czuję się samotna?

– Rozumiem, że już nie będziesz. Tylko mi nie mów, proszę, że wrócił ojciec i zamierzacie od dzisiaj tworzyć zgodne stadło małżeńskie.

– Co? Skąd! – Zuriana aż się wzdrygnęła. – Absolutnie. Wojtek owszem, pojawił się, ale niekoniecznie byłam tym zachwycona.

Oszczędziła synowi opowieści o tym, jak działa na nią były mąż. Dzieci, nawet jeśli są już całkowicie dorosłe i prowadzą własne życie erotyczne, nie muszą znać szczegółów takowego u rodziców.

– Zresztą był dosyć...

– Znowu popił i się do ciebie dobierał?

– Oj tak, pieklił się o Ukrainę. Twierdził, że doszło tam kiedyś do jakiejś masakry. W Porośli, czy gdzieś. Nawet podrzucił mi pamiętnik, podobno swojego dziadka. Straszna sprawa. Na szczęście, pojawili się Louise i Mark. Byliśmy umówieni na kolację i dlatego przyszedł...

Dlaczego tłumaczę się własnemu synowi?

– Mark, powiadasz? – Robertowi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

– I Louise – podkreśliła Zuriana chłodno. – To jest w tym najważniejsze. Bo...

Zuriana się zacięła. Próbowwała udawać, że to tylko życie, okres przejściowy w drodze do egzystencji wiecznej. Wola jednak okazywała się za słaba. Łzy płynęły, a Robert rozumiał to lepiej, niż mogła przypuszczać.

– Będziesz miała koło siebie Marka. I Samuela – powiedział.

– Skąd wiesz?

– Ilekroć przyjeżdżałem, Louise wydawała się coraz bardziej przeźroczyta. Chudsza, bledsza, gasła w oczach. Miałem wrażenie, że gdyby nie kolorowe ubrania, można by ją przeoczyć na ulicy. Zapytałem ją kiedyś o rokowania. Odpowiedziała mi spokojnie, ale prosiła, żeby nic ci nie mówić. Nie rozumiałem, skąd w niej tyle siły, jak może o tym mówić tak pogodnie.

Zapadła cisza. Zuriana nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

– Dopiero wtedy połączyłem kropki – dokończył Robert.

– Louise piła, żeby zagłuszyć myślenie. – Zurianę w końcu odetkało. – A gdy pojawiła się możliwość terapii, otrząsnęła się i poszła walczyć. W jej przypadku nic nie zadziało. A może jeszcze pogorszyło sprawę? Nie wiem. W każdym razie rozrost komórek nowotworowych przyspieszył. W przyszłym tygodniu jest pogrzeb.

Robert wciągnął głośno powietrze.

– Nie wiedziałem, że to już...

– Chciałabym, żeby to była nieprawda.

– Nie dam rady przylecieć.

– Wiem. Louise wcale tego nie oczekiwała. – Zuriana gładko skłamała. Tak było łatwiej. – Doskonale wiedziała, gdzie jesteś. I że będziesz dobrym wzorem dla młodszego brata.

– Mamo... będę myślałami z wami.

– Wiem.

– Nie zapytam, czy czegoś potrzebujesz...

– ...bo tego, czego potrzebuję, nikt nie może mi teraz zapewnić.

– Myślałami będę też z tobą.

– Niech cię Bóg błogosławi, synu.

Rozłączył się. Zamyślony patrzył na widoczną przez okno jego kwatery płytę lotniska. Potem zerknął na biurko. Leżały na nim dokumenty z urzędowymi pieczęciami.

„Cholera! Nie powiedziałem mamie o ślubie” – pomyślał. „Zdążę jeszcze. Teraz inne sprawy są dla niej ważniejsze. Na ślub i tak nie przyjedzie, a kiedy przylecimy z Nataszą do Stanów, weźmiemy ślub w kościele, jak należy. Pastor się ucieszy. Od dawna mnie już swatał”.

Uśmiechnął się na wspomnienie duchownego, który wiele razy nagabywał Roberta o wypełnianie rodzinnych obowiązków: ślub, dzieci. Życzliwie, ale uparcie starał się kierować wzrok chłopaka na co atrakcyjniejsze przedstawicielki lokalnej społeczności.

Robert, owszem, był kiedyś zakochany. W córce nauczyciela matematyki. Wydawało się, że oby-

dwoje mają się ku sobie, spotykali się, trzymali za ręce, mieli za sobą pierwsze pocałunki. Umiarkowanie romantyczne, w korytarzu koło szatni, późnym popołudniem, kiedy wydawało się, że już nikogo w szkole nie ma. Traf jednak chciał, że ojciec dziewczyny jej szukał, a miejsce wcale nie było aż tak oryginalne.

Po dwóch latach spotkań dziewczyna zniknęła, tak z dnia na dzień.

– Susan wyjechała do Kalifornii – odpowiedział jej ojciec na pytania Roberta.

Odezwała się do niego na czacie, wcale nie była w Kalifornii, tylko w Nowym Jorku, u ciotki. Widocznie jednak Wielkie Jabłko wciągnęło ją na tyle, że szybko zapomniała o Robercie. Zresztą po zakończeniu roku szkolnego nauczyciel matematyki też opuścił Atlantę.

Czy miał na to wpływ fakt, że ona była biała?

Czy miał na to wpływ, że pięknie grała na fortepianie, brylowała z matematyki i pochodziła ze starej południowej rodziny z tradycjami? Zubożałej wprawdzie, ale jednak.

Nie było żadnej tragedii. Nikt nie umarł. Świat nie przestał się kręcić.

Czy miało to wpływ na Roberta?

Twierdził, że nie. Żył dalej. Spotykał się z dziewczynami, kobietami, nie praktykował celibatu ani nawet go nie udawał. Żadna jednak nie przypominała Susan. A on nie zdawał sobie z tego sprawy, ale właśnie jej szukał. Niebieskookiej, blondwłosej, wiotkiej.

Gdy zobaczył jednak Nataszę zrozumiał, że ani Susan, ani żadna inna dziewczyna na świecie nie była dlań istotna. A teraz, przejęty śmiercią Louise, nie zdążył powiedzieć mamie o ślubie.

„Jeszcze zdążę” – pomyślał ponownie. „Mamy przed sobą całe życie”.

Postanowił, że zrobi wszystko, by Samuel otrzymał dobre, bardzo dobre wykształcenie. W ich dzielnicy to nie było oczywiste. On sam wylądował wyjątkowo dobrze – bo w wojsku. Jego rówieśnicy, koledzy ze szkoły, z ulicy, nie zawsze mieli tyle szczęścia.

Robert przyglądał się młodym ludziom w Polsce. Miał z nimi trochę styczności, społeczność Rzeszowa aktywnie współpracowała z amerykańskim wojskiem. I niejedno go zaskoczyło. Większość Polaków miała wyższe wykształcenie lub jeszcze studiowała. Byli czytani. Z reguły swobodnie porozumiewali się po angielsku, sporo znało płynnie także inne języki. Wielu miało na koncie mnóstwo szkoleń, byli fachowcami w swoich dziedzinach. Poruszali się swobodnie w międzynarodowym środowisku. Podróżowali po świecie.

Robert wyobraził sobie przeciętnego amerykańskiego nastolatka, a może i nawet młodzieńca w podobnych warunkach... i słabo to widział. Gdzie się podział ten wyśmiewany Polaczek? Nieudacznik z mikromózdzkiem i umiejętnościami osiemnastowiecznego wyrobnika?

Coś się chyba zmieniło.

Przede wszystkim zmienił się on sam. Po prostu się zakochał.

I to teraz było dla niego najważniejsze. Ślub.

Nie sądził, że to może być tak ważne. Kilka słów wypowiedzianych przed urzędnikiem. Przecież nikim dla niego istotnym. Ot, po prostu, mężczyzna albo kobieta, którzy teoretycznie zostali uprawnieni... Przez kogo? Dlaczego oni?

Nie miało to dla Roberta żadnego znaczenia. Chciał, by Natasza czuła się ważna. By czuła się pewniej. Dla niej wyruszył na zakupy do Galerii Rzeszów. W sklepie, którego wcześniej nie znał, Lanę, wybrał koszulę, garnitur i buty. Sprzedawczyni krzątała się wokół niego, spinając szpilkami materiał, zaznaczając coś krawieckim mydłem.

– Ta koszula nie będzie najlepsza – powiedziała w końcu. – Proszę przymierzyć tę.

Robert nie przypuszczał, że spędzi w sklepie prawie dwie godziny i ani przez chwilę nie będzie się nudził.

– Garnitur będzie do odebrania za tydzień.

– Kiedy? – szczerze się zdziwił.

– Za tydzień – odparła, patrząc na niego ostrożnie.

– Nie zabiorę go teraz?

– Musimy go dopasować – odparła. – Jeśli potrzebuje go pan szybciej...

– Nie. Nie o to chodzi. Tylko nie spodziewałem się... Myślałem, że to gotowa odzież. Wybiorę, zapłacę i wyjdę.

Sprzedawczyni uśmiechnęła się, rozluźniona.

– Ubrania są gotowe, ale w cenie dopasowujemy ją do indywidualnych potrzeb klienta. Nie wypuszczamy z naszych salonów po prostu marynarek i spodni, tylko dopracowaną konfekcję. Gotową, dopasowaną na miarę.

– Niesamowite – odpowiedział. – Przyjdę za tydzień.

– Ależ przystojny gość – powiedziała konsultantka do koleżanki. – Szczęściara z tej dziewczyny.

– A ty chciałabyś wyjść za murzyna? – odpowiedziała.

– Czyżbyś była rasistką?

Nie usłyszała odpowiedzi.

Dla Nataszy to był dzień marzeń, choć standardowo inaczej wyglądał w wyobraźni przeciętnej dziewczyny. Jej prywatne szczęście musiało zmieścić się w wielu „nie było”. Ale wcale jej to nie przeszkadzało.

Nie było białego trenu i welonu ciągnącego się za nią po posadzce kościoła. Nie było nawet kościoła. Nie było ojca, którego wprawdzie zaprosiła, ale zapewne o tym nie pamiętał. Nie było braci – jeden stwierdził, że nie jest w stanie w tak krótkim czasie zaplanować przylotu do Polski, drugi... cóż, Jurij wykrzyczał jej, że wolałby mieć szwagra, z którym mógłby porozmawiać.

– Trzeba było się uczyć angielskiego – odpowiedziała zirytowana.

Usłyszała tylko trzask odkładanej słuchawki.

Nie było także matki i było to jedyne „nie”, które naprawdę ją obchodziło. Wszystko inne było na tak.

Sukienkę miała bladuróżową, sięgała do połowy uda. Wykończona została szeroką falbaną, materiał o matowej fakturze szlachetnie odbijał światło. Na szyi zawiesiła złoty łańcuszek z brylantowym wiśiorkiem, błyskotkę Robert kupił dla przyszłej żony w Aparcie, zaraz po wizycie w Lančerto.

Wysoki, wysportowany, przystojny, na wszystkich sprzedawczyniach robił podobne, piorunujące wrażenie. Tak samo jak na Nataszy. I na świadkowej, czyli Karolinie. I na świadku, czyli swoim koledze z jednostki.

Robert był przystojny. Natasza była piękna. Obydwoje byli zakochani.

Świat właśnie rozkładał przed nimi czerwony dywan.

Co mogłoby pójść nie tak?

ROZDZIAŁ 24

Do listy „nie było” można by także dopisać wesele. Był zaplanowany obiad w eleganckiej restauracji, to musiało wystarczyć. Zresztą, nikt ze zgromadzonych nie oczekiwał niczego więcej.

– Nie będziemy planować wesela – ostrożnie stwierdził Robert. Trochę obawiał się reakcji Nataszy. Sądził, że każda dziewczyna chce mieć długą białą suknię, ryż sypiący się garściami na państwa młodych i wystawne wesele.

– Nie jest mi do niczego potrzebne – odpowiedziała ku jego radości.

– Bo ja... wiesz, w każdej chwili mogę dostać rozkaz...

– Wiem. – Natasza westchnęła. – Mam jednak nadzieję, że weźmiemy ślub w spokoju.

– Dowódca mi to obiecał. Jeśli nie wydarzy się nic nagłego, nie wezwie mnie. – Przytulił narzeczoną.

Jednogłośnie więc postanowiono, że wesela nie będzie. Miał być uroczysty obiad, a potem wieczór w doborowym towarzystwie. Państwo młodzi i Karolina, najmodniejszy klub w mieście, noc bez końca.

Robert zatańczył z Nataszą, całowali się na środku parkietu. Natasza rzuciła za siebie bukiet, co wzbudziło aplauz wszystkich dziewczyn.

Nie mieliśmy wesela, nie rozdałam gościom bukietów do butonierek, więc chociaż rzucę bukietem. – Uśmiechnęła się do męża. Wciąż tańczyli na środku pustego jeszcze parkietu. – Taki ukraiński obyczaj.

– W Ameryce jest tak samo – powiedział Robert. – Panny młode noszą welon, goście zakładają najbardziej wyszukane stroje, jest mnóstwo druhen, rzucanie bukietem, sypanie płatków i zbyt wiele jedzenia.

– Prawie jak u nas. – Zaśmiała się.

– Ślub to ślub. Wszędzie najważniejsi są zakochani – stwierdził Robert i uniosł Nataszę w powietrze. Zakręcił się z nią wkoło, rozległy się wokół oklaski. Cały klub wzniosł toast na cześć młodych. A nawet kilka toastów.

Karolina stała z boku i piła do dna. W końcu, gdy Natasza zeszła z parkietu, przytuliła się do przyjaciółki. Dziewczyny zakołysały się lekko na skraju parkietu, wspólny taniec jednak im nie wychodził. Wyszły zatem na korytarz. Spocone – emocjami, alkoholem, tańcem – parowały.

– Jestem szczęśliwa – powiedziała Natasza.

Karolina prychnęła.

– Ty nie – uzupełniła Natasza. – Wiem. Żałoba często jest głębsza niż radość.

– Musiałas mi przypomnieć?

Natasza wzruszyła ramionami.

– Przepraszam.

– Nie o to chodzi. – Karolina patrzyła na Nataszę twardo. Z nienawiścią? Jak to możliwe?

– Chyba ciut za dużo wypijaś – powiedziała łagodnie Natasza.

– A chciałabym znacznie więcej. To najczarniejszy dzień mojego życia. – Ostatnie słowa Karolina wysyczała.

– Co ty powiedziałaś?

Karolina odwróciła się i szybkim krokiem skierowała się w stronę wyjścia z klubu.

Natasza pobiegnęła za przyjaciółką. Pewnie by jej nie dogoniła, gdyby nie fakt, że Karolina od rana prawie nic nie jadła, wypijała za to więcej niż kiedykolwiek. Zachwiała się dwukrotnie, Natasza chwyciła ją za łokieć i poprowadziła na zewnątrz.

– Pojedziemy do domu – powiedziała. – Zaraz znajdę Roberta i pojedziemy...

– Nic nie rozumiesz! – wykrzyknęła Karolina. – Nic. Jesteś głupia jak zawsze. Nic.

Natasza westchnęła. Sięgnęła do kieszeni w poszukiwaniu telefonu.

– Zadzwoń do Rober...

– Od zawsze cię kocham – powiedziała niespodziewanie Karolina. – Jak nikogo. Nigdy nikogo nie kochałam tak jak ciebie. A ty? Zakochałaś się w facecie. Pojawił się znikąd, zawrócił ci w głowie i ot, tak po prostu mu się oddałaś. Wyszłaś za męża. Wszyscy wokół cię kochają, nawet moja matka woli ciebie niż mnie. Matka! Zawsze byłaś stawiana mi za wzór. Ale to nic. I tak cię kochałam. Kocham.

– Ale... – Natasza zamrugnęła.

– Nawet teraz nie wierzysz. Nie rozumiesz. To nie bajdurzenie pijanej laski, która niedawno stra-

ciła dziecko. Miłość to miłość. Pragnienie bycia z kimś. Mieszkania, dzielenia się wszystkim. Łóżkiem też. Znasz to, prawda? Masz tak z Robertem. Ja mam tak z tobą. Tylko ty jesteś ślepa i głucha. Zawsze byłaś. A teraz mnie zostaw – powiedziała Karolina i zamachała na taksówkę.

ROZDZIAŁ 25

Robert odnalazł świeżo poślubioną żonę przy barze.

– Chyba już dość, moja piękna? – zamruczał do ucha całkiem wstawionej Nataszy. – Kiedy ty się zdążyłaś tak ululać?

– Robią tu dobre drinki. – Natasza czknęła. – Podobno najlepszy klub w Rzeszowie.

– Idziemy do domu – powiedział i wziął żonę na rękę.

– Ale nie możemy – odpowiedziała, wisząc na jego szyi. – Musimy znaleźć inny dom.

– Jasne, jasne – odpowiedział.

– Nie mogę iść do Karoliny. – Natasza bardzo się starała mówić jak najwyraźniej. Wychodziło jej prawie dobrze.

– Jutro będziesz się wstydziła tego, co teraz mówisz.

– Karolina – Natasza powstrzymywała się przed torsjami – jest zazdrosna.

– Karolina cię kocha – odpowiedział ze śmiechem.

– No właśnie! Ona się zakochała.

Robert w tym czasie zdążył upchnąć Nataszę do taksówki. Zasnęła w trakcie drogi, dlatego bez przeszkód ułożył ją na łóżku w mieszkaniu Karoliny. Sam umościł się obok, Karolina spała już w sąsiednim pokoju.

Rano kompletnie nie mógł zrozumieć, jak mogły się tak upić. Obydwie były nie w sosie, omijały się wzrokiem, nie chciały zjeść wspólnie śniadania.

– Śniadanie – oznajmił zadowolony. – Jajecznica bez sera. Ale z ketchupem. Dziewczyny, szybko, bo wystygnie!

Usiadły przy jednym stole, dziobiąc w świeżym jedzeniu.

– Obydwie powinnyście się napić herbatki z króliczych odchodów.

– Co? – zareagowały równocześnie.

Robert się zaśmiał.

– Tak sobie radzili podobno rdzenni Amerykanie. Ale przynajmniej się ożywiłyście. Zrobię wam po przypalonym toście.

Wywróciły równocześnie oczami.

– Jesteście jak siostry, wszystko robicie tak samo, nawet miny. Węgiel absorbuje toksyny, spalona grzanka jest lekarstwem.

Kręcił się po kuchni, zagadując, w końcu usiadł przy stole.

– Nie pasuje mi to – powiedział spokojnie. Oczy dziewczyn równocześnie zwróciły się w jego stronę. – Wczoraj się ożeniłem, a moja żona jest jak chmura burzowa.

– Powinniście właśnie otwierać drzwi obsłudze hotelowej. Śniadanie na srebrnych tacach w apartamencie dla nowożeńców, w hotelu na Teneryfie byłoby adekwatne – mruknęła Karolina. – Z widokiem na ocean.

– Całkowicie się zgadzam! – przytaknął Robert. – Ale jesteśmy tutaj i jemy razem śniadanie, a ja się zastanawiam, czy jednak nie powinienem pojechać do jednostki. W tej kuchni coś wisi w powietrzu.

– Upiłam się wczoraj – powiedziała w końcu Karolina. Patrzyła przy tym dość wyzywająco na przyjaciółkę.

– Ja też – odpowiedziała Natasza. – I niewiele pamiętam.

– Ja coś wygadywałam chyba. Zdaje się, jakieś głupoty.

– Dzień jak co dzień – burknęła Natasza.

W kuchni zapadło milczenie.

– Nie smakuje wam? – przerwał je w końcu Robert.

– Pyszna – odpowiedziała Natasza.

– Znakomita – zawtórowała Karolina.

– Jakoś nie widać. Ledwie ruszyłyście.

– Mamy kaca – powiedziała Natasza.

– Mówisz za mnie? – Karolina spojrzała prowokująco.

– To znaczy, ja mam kaca.

– Nie, skądże. Mamy kaca obydwie. Jak zawsze masz rację. – Karolina opuściła wzrok na podziabaną jajecznicę.

– Trudno się z wami dogadać. Nie wiem, czy to naprawdę radość z naszego ślubu? – Robert po-

kręcił głową. – Plan jest taki. Najpierw zjecie śniadanie, bez marudzenia. Jajecznicę popchniecie zwęgloną grzanką, a potem grzecznie zmyjecie z siebie klubowe szaleństwo pod prysznicem. Mamy popołudnie dla siebie.

– Wy macie je dla siebie – przerwała mu Karolina. – Nie będę wam przeszkadzać.

– Jesteś przyjaciółką mojej żony. Zrobiłyście wczoraj jakiś cyrk, to się zdarza po alkoholu, nie zamierzam w to wnikać. Mam za to plan na dziś. Zbierajcie się, pojedziemy do pałacu w Julinie.

– Nie wiem, czy... – zaczęła Karolina.

– Dobrze, że to ty zaczęłaś – przerwał jej Robert. – Własnej żonie głupio byłoby przerywać, ale tobie mogę. Ty nie wiesz ani ty nie wiesz – wskazał po kolei na Karolinę, potem na Nataszę – ale ja wiem doskonale. Śniadanie prysznic, wycieczka. Świetny pierwszy dzień małżeństwa.

Bez względu na wszystko, nie traktował scysji żony i przyjaciółki poważnie.

Czy miał rację?

Może nie, ale popołudnie spędzili znakomite.

Myśliwski pałac Potockich w Julinie, zbudowany w stylu szwajcarsko-tyrolskim, gościł kiedyś najwybitniejszych przedstawicieli polskiej arystokracji. Świetnie bawili się tutaj zwłaszcza co roku w sierpniu. Przyjeżdżali na poranne polowania, wieczorami tańczyli na wystawnych balach, czasem aż do rana. Bawili tu pomiędzy wizytami w Paryżu, Wiedniu, Londynie... Odwiedzał to miejsce także słynny arcyksiążę Franciszek Ferdynand Habsburg i arcyksiążę Rudolf, następca cesarza Austrii. W latach dwudziestych gościli tu prezydent Ignacy Mościcki i księżę Kentu, Jerzy. Wtedy już za sprawą Alfreda Potockiego dwór był skanalizowany i zelektryfikowany^[3].

Po wojnie miejscem zarządzali komuniści, któż by inny, dworek stał się ośrodkiem wczasowym, w którym dorośli zażywali kąpiele słonecznych, a zimą świętowali nadejście nowego roku. Sylwestry bywały tutaj huczne. Latem niszczyły infrastrukturę dzieciaki na koloniach.

Niegdyś tętniący życiem pałac z czasem stał się miejscem wymagającym pilnego, kompleksowego remontu. Wstęp kosztował przysłowiową złotówkę, a wizyta oferowała niezapomniane przeżycia. Otaczający pałacyk sosnowy las wciąż był przepiękny, nieliczne dęby, buki i modrzewie dodawały mu magii i czaru. Choć nie dało się wejść do samego dworku, urządzili sobie piknik na terenie ogrodu.

Wieczorem Robert pomyślał, że świat jest bardzo skomplikowany. Ta dziwna Polska, w której po ulicach miały chodzić niedźwiedzie, a w rzeczywistości piesi poruszali się po futurystycznych okrągłych kładkach, miała całkiem bogatą, skomplikowaną historię. Niegdyś to było mocarstwo, przy czym „niegdys” dotyczyło szesnastego wieku.

„Kiedy jeszcze mojego kraju nie było na mapie” – myślał Robert.

Naród, który żyje swoją historią. Dumny z przeszłości. Niepotrafiący udźwignąć teraźniejszości.

I właśnie tutaj przyszło mu służyć. I ożenić się z Ukrainką. Ze Lwowa, czyli miasta uznawanego za rdzennie polskie, choć przecież było ukraińskie.

Strasznie to wszystko skomplikowane.

ROZDZIAŁ 26

Kraina szczęśliwości może mieć różne wymiary i kolory. Czasem ogranicza się do czterech ścian niewielkiego mieszkania, a czasem trzeba się nią dzielić z bezkresną przestrzenią rozciągającą się przed dziobem samolotu. Miłość bywa zaborcza, ale życie czasami kpi ze wszystkich i wszystkiego.

Tak właśnie – odrobinę okpiona – czuła się Natasza, gdy Robert zniknął. Czasem na dwa dni, ale bywało, że nawet i na tydzień. Choć już była żoną, i tak niewiele wiedziała.

– Właściwie żyję jak dotychczas – opowiadała któregoś dnia Karolinie. – Pracuję w barze i czekam na czas, który mogę spędzić z Robertem. Nawet nie mogę mieszkać w bazie. Żona, nie żona, nie ma tam warunków dla rodzin.

– I całe szczęście. Dzięki temu ciągle mieszkasz ze mną. Szczęśliwa pani mężatko.

Po wyznaniu w dniu ślubu ciężko im było odnaleźć dawną bliskość, a jednak okazało się, że wszystko jest możliwe. Robert nigdy nie dowiedział się, co wtedy zaszło. Z czasem rozmawiały ze sobą coraz swobodniej. Zapomniały? Nie. Po prostu wygodniej było udawać niepamięć.

Natasza spojrzała na przyjaciółkę z uwagą. Przygryzła lekko wargę, Karolina parsknęła śmiechem.

– Taką minę masz tylko wtedy, gdy chcesz powiedzieć coś bardzo, bardzo niewłaściwego.

Natasza się roześmiała.

– Masz mnie. Co u Sebastiana? Teraz ty przygryzasz wargę, zupełnie tak, jakbyś nie chciała czegoś powiedzieć.

– Był tu w ubiegłym tygodniu.

– Szósty raz w ciągu dwóch ostatnich miesięcy. To oczywiście, nic nie znaczy. Tak tylko, z Gdańska ma po drodze do Rzeszowa.

Karolina prychnęła.

– Nachodzi mnie.

– Jasne. Wbrew twojej woli. Seks z nim uprawiałaś też właściwie mimochodem, tak przez przypadek. – Natasza uchyliła się przed rzuconą przez Karolinę kuchenną ściereczką. Akurat była pod ręką.

– Seks z Sebastianem jest wspaniały – powiedziała, unosząc dumnie głowę.

– No właśnie. Ciągłe jest.

Karolina spojrzała na przyjaciółkę.

– To tylko seks. On jest żonaty.

– To po co do ciebie przyjeżdża?

– A bo ja wiem. – Karolina wzruszyła ramionami. Dość nieprzekonująco. – Twierdzi, że z żoną mu się nie układa.

– A on nie ma przypadkiem małych dzieci?

– No właśnie. Jedno adoptowane, niebawem drugie, własne.

– Dużo o nim wiesz.

– Nie tylko się bzykamy – stwierdziła Karolina. – Czasami też rozmawiamy.

– I z tych rozmów wynika, że chce zostawić żonę, synka i przeprowadzić się do Rzeszowa.

Drobne osiemset kilometrów.

– No właśnie, niestety, dokładnie tak. Facet oszalał. Wcale go nie chcę. To znaczy, seks jest w porządku, ale nie zamierzam rozbijać rodziny. To miała być tylko... zabawa. A ty – Karolina wystawiła oskarżająco palec – sprowadziłaś go tutaj.

– To moja wina. – Natasza ściągnęła usta w ciup i kpiąco popatrzyła na przyjaciółkę.

– I jeszcze sobie z tego żartujesz. To się nazywa przyjaciółka!

– Byłaś w ciąży. Facet był ojcem. Nie uważasz, że to trochę nie w porządku, żeby o tym nie wiedział?

Karolina wzruszyła ramionami.

– Sebastian nie ma dla mnie znaczenia.

– Miałby, gdyby...

– Ale nie ma. Był tylko próbą zapomnienia.

– Chyba ciągle jest. – Natasza zacisnęła wargi. Rozmowa dryfowała w niepożądanym kierunku. – Mówiłaś, że cały czas się bzykacie.

– Poroniłam. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. – Karolina zacisnęła wargi. – I nie będziemy o tym rozmawiać.

– Może i nie będziemy – zgodziła się Natasza. – Pamiętaj tylko, to już na zakończenie – wystawiła ręce w geście uciszającym Karolinę, która wyraźnie chciała jej przerwać – że dzięki tobie facet upewnił się, że może mieć dzieci. To dosyć istotny dla niego fakt. A z resztą zrobisz, jak będziesz chciała. Jadę do pracy.

– Jutro nie pracujesz, prawda? – zapytała Karolina.

– Jutro mam wolne, więc jeśli...

– Tak, wiem, jeśli Robert nie wróci, to spędzimy czas razem. Proponuję tańce.

– Słucham?

– Nie tańczyliśmy od twojego wesela. Tak się bawić już nigdy nie będziemy – zastrzegła od razu.

– Ale ja muszę odreagować Sebastiana. Może w szaleńczym wirze, przyprawionym ciut większą odrobiną alkoholu, uporządkuję myśli.

– Odrobiną – zastrzegła Natasza. – Większa ilość szkodzi naszym relacjom.

– Absolutnie ściśle kontrolowaną odrobiną. – Karolina uśmiechnęła się chłodno.

– Skoro to ma być terapia – odpowiedziała Natasza – to jesteśmy umówione.

– A poza tym, mama chce się z tobą spotkać – dodała Karolina.

– Prośba twojej mamy jest dla mnie rozkazem.

– Jutro pójdziemy do niej na obiad.

Do jednostki Natasza pojechała z nadzieją, że zobaczy Roberta. Że już wrócił, że wtuli się w niego, wciąż jeszcze pachnącego potem, że wieczorem razem wejdą pod prysznic.

Nic takiego się nie wydarzyło.

Robert się nie pojawił, Natasza wróciła do mieszkania Karoliny zmęczona. Nie miała siły nawet na kolację, zresztą w ogóle ostatnio nie chciało jej się jeść. Zeszczuplała jeszcze bardziej, może z tęsknoty za mężem?

Następnego dnia wybrały się do matki Karoliny. Uraczyła je rosółem, który Natasza z trudem w siebie wmusiała. W drugim daniu ledwie mieszała widelcem, jednego kotleta za plecami gospodyni przełożyła na talerz Karolinie. Ta zaprotestowała tylko gestem, nie zdradziła jednak przyjaciółki.

– Za to zjesz deser – wyszeptała tylko.

– Nie ma mowy – odpowiedziała również szeptem Natasza.

Teresa była tego dnia odrobinę rozkojarzona. W innym przypadku z całą pewnością zorientowałyby się w żywieniowych machlojkach dziewczyn.

– A teraz siadaj – powiedziała do Nataszy, która przyjęła polecenie ze zdziwieniem. Siedziała przecież od dłuższego czasu. – Siadaj na kanapie i oprzyj się wygodnie.

Natasza wykonała polecenie. Obok niej usadowiła się Karolina. Znała swoją matkę i przeczuwała bombę.

– Poznajesz? – Matka Karoliny podsunęła Nataszy fotografię.

Dziewczyna zaniemówiła. Spoglądała na fotografię, na panią Teresę, znów na fotografię. – To ojciec Roberta – powiedziała.

– Tak myślałam! – Matka Karoliny aż klasnęła z zadowolenia. – On jest Kiskowskiak. Wojtek Kiskowskiak. Wnuk Tereski, z domu Kołodyńskiej, jak jej było za męża, nie wiem. Toć ten twój Robert nasz jest!

Natasza kompletnie nie wiedziała, co powiedzieć.

– Pytałam sąsiadki. Takich, co stąd wyjechali, jest dużo. Ale takich, co wyjechali i ślad po nich zaginął, nie aż tak wielu. A z Wojtków to tylko jeden. To musi być ten! – mówiła z zadowoleniem.

– Mamo, a wiesz może, czemu nie wrócił?

– Czemu, czemu. – Matka wrzuciła ramionami. – Co ja, encyklopedia jestem?

– Właściwie to tak – odparła Karolina. – Wiesz wszystko i o wszystkich w promieniu trzydziestu kilometrów i zasięgu osiemdziesięciu lat.

– Nie pochlebiaj mi. – Kobieta aż się rozpromieniła. – No może i trochę wiem. Wojtek rozkochał w sobie pannę, zbałamucił, z brzuchem zostawił i wyjechał.

– I to powód, żeby nie wracać?

– E tam. – Teresa machnęła ręką. – Panna to może by i na niego czekała, ale szybko ją za innego wydali, a tamten brzuch i tak zgubiła. Ojciec dziewczyny jednak, sołtys z niedalekiej wsi, poprząsił zębem Wojtkowi. Obiecał mu, w kościele pod przysięgą, że go na widły nadzieje, do drzwi stodoły przybije i tak zostawi, może jeszcze żywego, żeby psy sobie z niego pojadły.

– Przecież takie groźby to między bajki włożyć.

– Może i włożyć, a może i nie. Gorzej, że ojciec Wojtka poparł sołtysa, wydziedziczył łachudrę,

który i inne bezceństwa miał na sumieniu. O, miał ci on!

– Mamo, opowiedz – pogoniła matkę Karolina, zirytowana przedłużającą się ciszą.

– Skoro ja nie wiem, co tam było.

– Ty nie wiesz?

– Nikt już nie pamięta, niestety. Musiało to być coś całkiem zwyczajnego, skoro się w ludzkiej pamięci nie ostało. Ale podział majątku, jaki został zapisany, taki się ostał. Wojtek wyjechał i tyle go tutaj widzieli. Podobno matka dostała jeszcze od niego ze dwa listy, tak twierdził listonosz. No i nic więcej nie wiadomo. A teraz proszę! Dzięki Nataszy wszystko się wyjaśniło!

– Ale... to chyba niewiele wnosi, prawda? Oczywiście, powiem o tym Robertowi, pewnie się ucieszy, nic to jednak nie zmienia.

– Zmienia, nie zmienia, rodzinę trzeba znać. A teraz jedzcie deser. Szarlotka, dzisiaj pieczona. Taka jak lubisz – zarekomendowała, podając Nataszy talerzyk z hojnie ukrojonym ciastem.

Natasza się zastanawiała, czy nie dostanie skrętu żołądka. I tak ciągle ją ostatnio bolał, a słodkie przecież generalnie nie służyło zdrowiu. Zapach świeżego ciasta podziałał jednak na nią rozluźniająco. Spałaszowała cały kawałek i jeszcze tęsknie zerknęła na talerzyk przyjaciółki. Karolina jednak udała, że wcale tego nie widzi.

Musiała jednak widzieć jej matka. Nie pytając nikogo o zdanie, po prostu nałożyła Nataszy kolejny kawałek.

– Jedz, ptaszyno, jedz. Ostatnio schudłaś, że prawie cię nie widać, miłością chyba żyjesz, co?

– Żołądek mnie ostatnio pobolewa, ot i wszystko.

– Żołądek? Dobrze, że mówisz, kochana. Najlepsze na to są takie ziółka, gdzie ja je mam, zaraz ci znajdę...

Matka Karoliny wyszła na chwilę do kuchni. Przyjaciółki spojrzały na siebie lekko zaaferowane.

– Powiesz Robertowi? – zainteresowała się Karolina.

– Oczywiście. To jego rodzina. Ale nie sądzę, żeby to cokolwiek mogło zmienić w jego życiu. Nikogo z tych ludzi nie zna. Bez względu na więzy krwi... Nic go z nimi nie łączy. To będzie tylko ciekawostka.

– Myślę, że moja mama ma na ten temat zupełnie inny pogląd. Ciemnoskóry potomek rodziny! Ty wiesz, co się będzie teraz działo w lokalnej osiedlowej rozgłośni radiowej?

– Tej, której szefową jest twoja mama?

– Przywództwo się zmienia, w zależności od zasług. Mama teraz będzie miała wielotygodniowy zarząd nad sąsiadkami. Dostarczyłaś jej sporo szczęścia! Będzie cię kochała jeszcze bardziej, choć i tak jestem już o ciebie całkiem potężnie zazdrosna.

Natasza wywróciła oczami. Nie skomentowała. Przecież nic nie pamiętała.

– Znalazłam! – Rozmowę przerwało im wejście Teresy. – Zaparzaj sobie trzy razy dziennie, jedna łyżeczka na pół szklanki wrzątku. Pij przed jedzeniem. Powinno pomóc.

– Dziękuję serdecznie – Natasza się uśmiechnęła. – Będę parzyć codziennie.

– Trzy razy dziennie!

– Tak jest.

– Mamo, musimy już iść. – Karolina postanowiła przejąć inicjatywę, bo inaczej mogłyby zostać zatrzymane na kolacji. – Mamy zaplanowane sprzątanie. – Doskonale wiedziała, że taki argument podziała na matkę. Sprzątanie było zawsze dobre i z zasady potrzebne.

Dziewczyny wyszły na zalaną słońcem ulicę.

– Powinnaś być bardziej przejęta – zagadnęła Karolina.

– Ani myślę.

– Zatem nasz dzisiejszy wspólny wypad jest aktualny?

– Oczywiście – przytaknęła z uśmiechem Natasza.

Wieczór pokazał jednak, że ich wspólne plany muszą ulec przesunięciu. Po przyjściu do domu Natasza zaparzyła sobie ziółka od Teresy, wypila je i położyła się na chwilę. Obudziła się około szesnastej i gwałtownie pobiegła do łazienki. Karolina usłyszała niedający się z niczym pomylić dźwięk torsji. Westchnęła i zaparzyła Nataszy mocnej czarnej herbaty. A gdy przyjaciółka wyszła z łazienki, pogłaskała ją po głowie.

– Mama nas czymś zatrula – skwitowała stan Nataszy.

– Chyba żartujesz! Twoja mama? W życiu! Musiały mi zaszkodzić te ziółka. Albo wręcz przeciwnie. Dzięki nim wyrzuciłam z żołądka to, co mi w nim zalegało. I teraz już będzie tylko lepiej.

– Tego się trzymajmy – powiedziała Karolina. – Teraz coś zjesz?

- A chcesz, żebym znowu rzygała?
- To może jednak nie jedz. I chyba odpuścimy dzisiejsze wyjście do klubu?
- Nie rezygnuj tylko ze względu na mnie – odparła Natasza. – Opowiesz mi później, jak było.

I tak dokładnie Karolina zrobiła. Założyła cekinową, gorsetową sukienkę. Do tego pończochy, których koronka wychylała się spod krótkiej materii. I srebrne szpilki. Nie piła alkoholu, upijała się spojrzeniami zachwyconych facetów, przeglądała się w ich oczach. Miała poczucie, że wodzi ich wszystkich na sznurku. Nie mogli powstrzymać rąk. Otaczali jej kibić dłońmi, ocierali się krociami, rozchylali usta. Niektórzy próbowali całować szyję, żadnemu nie oddała pocałunku. Pozwalała się dotykać, z żadnym nie wyszła. Niedługo po północy poprosiła barmana o wezwanie taksówki, a potem o odprowadzenie do czekającego auta.

Bawiła się do utraty tchu, ale nie zamierzała tracić kontroli.

Już więcej nie.

ROZDZIAŁ 27

Jadąc do domu, który już dawno przestała określać tym mianem, rozmyślała o Lwowie. Ktoś przekazał jej list od szkolnej koleżanki. Natasza cieszyła się, że dziewczyna żyje. Że cała jej rodzina, poza bratem, wciąż żyła. Byli razem i mieszkali wciąż w tym samym mieszkaniu, choć w mieście brakowało prądu i wody. Choć nie było lodów i ulicznych sprzedawców obrazków na starówce.

My i tak mamy dobrze. Wciąż mieszkamy w naszym mieszkaniu i chodzimy po ulicach. Na wschodzie Ukrainy ludzie mieszkają w schronach, przyzwyczajeni do codziennych bombardowań. Dziwnie wygląda nasza starówka. Wiesz, że rzeźby wokół katedry łacińskiej są owinięte folią? Niektórzy się śmieją, że folia akurat pomoże na spadające bomby, a przecież kilka już Rusczy na Lwów zrzucili. Ale podobno to ma uzasadnienie. Jeśli bomba spadnie wprost na rzeźbę, to nic jej nie pomoże. Ale uchroni przed falą uderzeniową.

Spacer po Lwowie jest więc teraz inny, niż jeszcze dwa lata temu. Pamiętasz, jak siadałyśmy w katedrze, podziwiając kolorowe światło prześwitujące przez witraże? Teraz wszystkie są zasłonięte. A rusztowanie wokół Kaplicy Boimów służy do mocowania płyt zabezpieczających.

Ja wiem, że powinnam pisać ci o rzeczach ważnych... Ale chciałabym od nich uciec. Zazdroszczę ci spokoju. Na razie na Lwów spadło tylko piętnaście bomb, wszyscy jednak boimy się tego „na razie”. Co będzie dalej?

Mój brat walczy. Nie wiem, gdzie jest. Nie mamy pojęcia, czy żyje. Jest bohaterem, czasem jednak myślę, że bohaterstwo pięknie wygląda w nagłówkach. W życiu to tylko balast.

Jeśli możesz, napisz. Może wraz twoim listem dotrze do nas trochę nadziei. Trochę dobrych wspomnień. Trochę normalności... Tak, normalności potrzebowalibyśmy teraz najbardziej.

Natasza czytała list i zastanawiała się, czy możemy przewidzieć, jakie skutki będą miały dla nas samych i naszego otoczenia nasze decyzje? Te spontaniczne i te przemyślane?

Gdyby nie choroba matki, byliby wciąż we Lwowie.

Mama by umarła, to właściwie pewne. W Polsce czy w Ukrainie.

Czy ojciec zacząłby pić?

Zapewne. Czy Oleg by wyjechał? Czy straciłaby dobry kontakt z Jurijem?

Polska nie miała z tym nic wspólnego. To wszystko wydarzyłoby się bez względu na miejsce.

Ale ona teraz byłaby we Lwowie. W którym trwała wojna. I nie poznałaby swojego narzeczonego. Teraz już męża.

I nie miałyby najlepszej przyjaciółki na świecie. Która wprawdzie wyznała jej miłość, ale... to było tylko pijackie bajdurzenie. Na pewno.

Wysiadła pod domem, w którym ostatni czas życia spędziła jej matka. I to były dobre lata. Wtedy jeszcze dbali o siebie. Troszczyli się o wspólny byt, jakim jest rodzina. Mama, chociaż słabsza z miesiąca na miesiąc, często się śmiała. Natasza wtedy przypuszczała, teraz była pewna, że radość matki była wymuszona, a jej postrzeganie świata przytłumione lekami. Wtedy jednak wszyscy potrzebowali tego uśmiechu.

Wysiadła z autobusu, dźwigając zakupy. Chleb, dżem, herbata. Blister żółtego sera, mielonej szynki i paczka margaryny do smarowania. Opakowanie borówek amerykańskich, papierówki, pęczek rzodkiewek.

Weszła na posesję. Nic się tu nie zmieniło. Tylko wyrosły zielone, wyższe chwasty. Krzaki przy rozpadającym się ogrodzeniu, sadzone jeszcze na prośbę matki, która sama już nie mogła pracować w ziemi, obsypane były zielonymi liśćmi. Niektóre kwitły. Forsycje na wiosnę zasłaniały świat żółtym parawanem, magnolie wystawiały do słońca pąki na jeszcze bezlistnych gałęziach, bez co roku pachniał w maju, jabłonka zawiązywała owoce. Teraz, w środku lata, zieleń stawała się przykurzona, jakby upał brudził żywotność roślin.

Natasza przeszła zarośniętą ścieżką do domu. Ojciec siedział na zydlu na środku tego, co niegdyś było ich salonem. Weszła, przywitała się, po czym ustawiła siatkę z zakupami na kuchennym blacie. Popyłany i brudny, ale blat wciąż był.

Ojciec zmierzył ją zmęczonym spojrzeniem spod krzaczastych brwi.

„Kiedy mu tak zgęstniały brwi?” – zastanowiła się Natasza. „Czy to oznaka starości? Wszyscy się starzejemy” – pomyślała.

– To ty? – zapytał charczącym głosem.

– To ja. Przywiozłam ci coś do jedzenia.

– Do picia byś lepiej przywiozła.

Pokręciła głową. Przygotowała kanapki, położyła je na opróżnionym blistrze po szynce. Przetrzywanie szafek w poszukiwaniu talerza mogłoby być dla niej zbyt przykre.

– Tato, chciałabym ci pomóc. Może poszedłbyś na leczenie? Wszystko da się uratować, trzeba tylko chcieć...

– Niczego nie potrzebuję – burknął ojciec.

– Kiedy był u ciebie Jurij?

Ojciec wzruszył ramionami.

– Tak dawno, że nie pamiętasz. – Natasza westchnęła. – Od kiedy nie jadłeś? Nieważne.

Podsunała ojcu talerz z kanapkami. Patrzył na nie pożądliwie.

– Jesteś głodny, przecież widzę. Spiżarnia pusta, nawet okruszki chleba się nie ostały. Brudny słoik po dżemie, mrówki zdołały wszystko ze środka wyżreć. Nie zachowały się żadne inne resztki. Jurij nie przyjeżdża do ciebie, chociaż obiecał.

– Matki nie ma, stary ojciec wam niepotrzebny. – Mężczyzna zaśmiał się chrapliwie.

– Nie mów tak, tato. Jestem tu. Przywiozłam...

– Wiem, co przywiozłaś! Jestem stary i śmierdzący, ale nie głupi! Ani ślepy. Ani głuchy. Wiem i słyszę. – Ostatnie słowa zabrzmiały złowroźnie.

Natasza odwróciła się do ojca. Stał za nią, wyraźnie wściekły. Zaciśnięte w pięści dłonie uniósł na wysokość torsu.

– Tato? – zapytała odruchowo.

– Tato? Nie jesteś godna być moją córką. Ty szmato. Dziwko jedna!

– Tato, co ty opowiadasz? To jakieś... delirium?

– Będziesz tu ojcu wypominać, kurwo jedna?

– Jak możesz? Tato...

Natasza miała wrażenie, że ojciec chciałby ją uderzyć, uniósł nawet odrobinę rękę, zabrakło mu chyba jednak siły. A może jednak odwagi.

Dziewczyna stała przed ojcem, bez lęku, raczej z ogromnym zdumieniem. Przekrzywiła z ciekawością głowę i przyglądała się mu zmrużonymi oczami.

– Prowadzasz się z jakimś dzikusiem!

– Z nikim się nie prowadzam, tato.

– Nie? Nie? Jurij cię widział! I sąsiedzi! Wszystko mi mówią!

– A pamiętasz, tato, że zapraszałam cię na ślub?

– Ślub? Ty chciałaś wziąć ślub z czarnuchem?

– Tato, przestań! Robert jest cudownym, ciepłym człowiekiem. Nie będziesz chyba wypominał mi koloru skóry, prawda? Wtedy ty stałbyś się dzikusiem!

– Nie jesteś w stanie nawet zapewnić mi codziennie obiadu, a chciałabyś wziąć ślub? Założyć może rodzinę? – Ojciec zaśmiał się tak intensywnie, że aż się zachwiał.

Natasza podeszła dwa kroki, podtrzymała go za rękę. Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, jak chudy stał się ojciec. Ręka, niegdyś tak silna, wspierająca, która podnosiła Nataszę do góry niczym piórko, dziś przypominała patyk. Tors, do którego przytulała się w smutku, za każdym razem znajdując ukojenie – już go nie było. Zapach, który dawał poczucie bezpieczeństwa... jego też nie było. Teraz ojciec przypominał pusty worek po ziemniakach. Kiedyś zawierał obietnice – sytości, smaku, ciepła, i wszystkie je spełniał. Teraz był tylko brudnym kawałkiem... czegoś.

– Siadaj, tato – powiedziała.

– Usiądę – potwierdził, tylko pozornie zgodnie. – Ale ty wypierniczaj z mojego domu.

– To też mój dom, tato.

– Był, dopóki nie zaczęłaś się dziwaczyć z... z tym.

Natasza westchnęła.

– To nic nie szkodzi, że on jest czarny – powiedział w końcu ojciec. – To nic.

– Czym się zatem denerwujesz? – zapytała spokojnie. Odwróciła się znów do talerza.

– Ten skurwiel to potomek Polaków! Wszystko mi powiedzieli! Wszystko!

– No i? Walczy za nasz kraj, chociaż wychował się na drugim końcu świata.

– Walczy, bo mu kazali – wyszczał ojciec. – Czy ty wiesz, co Polacy robili Ukraińcom?

– Tato, czy ty...

– Nie masz pojęcia, bo jesteś głupia gęś! Nie znasz historii? Naprawdę nie znasz? Moi dziadowie pochodzili z Chlebowic. Wiesz, co tam zrobili Polaczkowie? Wiesz, głupia ty, wiesz?

– Tato?
– Czego?
– Tato. Ty chyba naprawdę potrzebujesz się napić.
– Wreszcie coś mądrego!
– Gadasz takie bzdury!
– Jak śmiesz tak do ojca! Ty łachudro! Gzisz się po kątach, nie szanujesz rodziny i jeszcze mi mówisz, że Lachy nie są złe?
– Tato. – Natasza poczuła, jak wściekłość zalewa jej duszę. – Polacy przyjęli nas, setki tysięcy ludzi z Ukrainy, pomogli. Oddali swoje mieszkania, dzielili się pieniędzmi, dachem nad głową, jedzeniem, wszystkim. Otworzyli swoje domy. Naszej rodzinie, mamie, też pomogli...
– Nie wspominaj swojej świętej pamięci matki! – Ojciec podniósł się gwałtownie. – Nie wspominaj mojej żony!
– Twoja żona była moją matką! – wyszczała Natasza. – Opiekowałam się nią, kiedy ty siedziałeś ze zwieszoną głową i zajmowałeś się... niczym!
– Rozumiałem, co się dzieje, ty głupia smarkulo. Ona umierała i nic, nic!, do jasnej cholery, nie mogliśmy na to poradzić!
– Powinniśmy sprawić, by umierała w spokoju. Ze świadomością, że jej rodzina jest bezpieczna. A potem powinniśmy zapewnić spokój jej duszy, pamiętając o mamie, kultywując jej pamięć i tradycje, dbając o siebie. A ty? Oddałeś naszą rodzinę w szpony smutku. Pozbawiłeś nadziei na dobry czas, który mógł kiedyś nadejść dla naszej rodziny! Zająłeś się sobą, i tylko sobą. Nawet o pogrzeb mamy nie zadbałeś. Wszystkim zajęliśmy się my. Dzieci. Właściwie to ja. Nie poświęciłeś mi ojcowskiej uwagi. Zostawiłeś mnie samą sobie. A potem zająłeś się... piciem. Staczałeś się, dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Przepiłeś nasz dom. Wszystko. Takim jesteś ojcem. I ty wypominasz mi, innym? Obrażasz Polaków?
– Wynoś się, ty niewdzięczna suko. Wynoś się i nigdy więcej nie wracaj! Nigdy!
Ojciec zamachnął ręką, Natasza zdążyła się odsunąć. Ojciec zwałił się ciężko na podłogę.
Natasza wyszła z rodzinnego domu z policzkami mokrymi od łez. Nie wsiadła do autobusu. Postanowiła piechotą pójść do pracy.
Po kilkudziesięciu metrach zatrzymała się jednak. Zawróciła i weszła ponownie do domu.
– Możesz mówić, tato, co chcesz. To tylko choroba. Jesteś moim tatą i wciąż mnie kochasz, choć czasami o tym zapominasz.
– Bo to ta pieprzona Polska.
– Nie, tato. W Ukrainie nie byłoby inaczej. To życie. Po prostu życie. Połóż się. Przykryję cię.
– Skąd wiesz, że cię kocham? – wyszeptał mężczyzna.
– Bo ja też ciebie kocham, tato.
Do pracy zdążyła dosłownie na ostatnią chwilę.

ROZDZIAŁ 28

– Mówisz serio?

– Nie wiem. – Natasza przygryzła wargę.

– Kiedy będziesz wiedziała?

– Dzisiaj.

– A kiedy wraca Robert?

– To było dość podłe pytanie.

Karolina uniosła ręce w obronnym geście.

– Wycofuję.

Patrzyła na Nataszę, która nerwowo zbierała swoje szpargały.

– Znowu się uczysz?

– Angielski zawsze wskazany. Wystąpiliśmy z Robertem o obywatelstwo dla mnie. Ślub nie daje go automatycznie, a ja zawsze lubiałam robić wszystko dobrze.

– Mówisz perfekcyjnie – zdziwiła się Karolina.

– Ale zamierzam zdać egzamin. – Natasza uniosła głowę z zadowoleniem.

– Kolejny?

– Trzeba się rozwijać.

– Zawsze ambitna. Zawsze najlepsza.

– Po prostu ja. – Natasza westchnęła.

– Nie przejmujesz się dzisiejszą wizytą?

– Właśnie dlatego, że się przejmuję, biorę ze sobą podręcznik. Oderwę dzięki niemu myśli.

Karolina pokręciła głową.

– Sebastian ciągle cię nachodzi?

– Ale zmiana tematu. Ten facet to przeszłość.

– I dlatego dzwonił wczoraj dwa razy?

– Jak to: dzwonił? – Karolina chwyciła za komórkę. – Nie mam żadnych połączeń.

– Dzwonił do drzwi – wyjaśniła Natasza.

– Był tutaj? – Karolina wywróciła oczami. – Czy ten facet naprawdę się ode mnie nie odczepi?

– Zakochał się.

– To niech się gnojek odkocha.

– Jesteś bez serca. – Natasza się zaśmiała. – Facet zostawił dla ciebie rodzinę, a ty wybrzydzasz.

– Kpisz, a dla mnie to nieśmieszne – powiedziała poważnie Karolina.

Natasza usiadła.

– Mam jeszcze chwilę – oznajmiła.

– Ale ja nie wiem, czy chcę o tym rozmawiać.

Natasza spojrzała na przyjaciółkę, unosząc brwi. Czekwała w milczeniu.

– Zawsze wiesz, jak ze mnie wszystko wyciągnąć. Nie podoba mi się, że zostawia żonę. I synka.

Adoptował go, a teraz zostawia? Tak nie postępuje odpowiedzialny facet.

– Też tego nie rozumiałam.

– Czas przeszedł?

– Wczoraj go o to zapytałam – oznajmiła Natasza z zadowoleniem.

– Co zrobiłaś?

– Zapytałam niedoszłego ojca twojego dziecka, jak to możliwe, że tak łatwo rezygnuje ze swojego gdańskiego życia.

– Zamorduję cię!

– Wstrzymaj się. Wytłumaczył mi to. Otóż ta kobieta...

– Jego żona.

– Jego partnerka, bo chyba nie żona, zdaje się, że ślubu nie mieli, zdecydowała o adopcji synka swojej kuzynki. O ile dobrze zrozumiałam, Sebastian nie był pomysłem zachwycony, ale wmówiono mu, że jest bezpłodny.

– Co za ściema – mruknęła Karolina.

– Pewnie tak. Nie wiem. W każdym razie twierdzi, że więzi emocjonalne z jego rodziną są mikroskopijne.

– Dokładnie tak samo, jak więzi między nami.

– Naprawdę nie dasz mu szansy?

– Pod żadnym pozorem – odpowiedziała Karolina chłodno. – To był tylko incydent. Gość mnie nie interesuje.

– Cóż. Moja babcia mawiała w takich sytuacjach: musisz wiedzieć.

– I wiem. Daj mi spokój. – Karolina powiedziała to twardo, jakby rzucała kamieniami.

– Teraz to już naprawdę się śpieszę. – Natasza zerknęła na zegarek.

Pełnia lata spadała upałami na centralną Europę, nie dając mieszkańcom wytchnienia. Gałęzie drzew uginały się od dojrzałych owoców, żółte zboża złociły się w silosach, nastał czas sytości i dostatku. Natasza, idąc na przystanek, pomyślała, że to dobre słowa. Nasycenie, zaspokojenie, ukojenie... Wszystko to adekwatne dla dojrzałego lata, ale także odpowiednie dla ludzi.

Na miejscu była idealnie o czasie. Wyszła z przychodni i zadzwoniła do Karoliny. Ta nie odebrała. Natasza wzruszyła ramionami. Przyjaciółka nie musiała przecież warować przy telefonie.

Pojechała do pracy w doskonałym nastroju. Uśmiechała się do wszystkich, także do pierwszych klientów w kantine. I do kolejnych. Zrobiła sobie chwilę przerwy, usiadła na zapleczu, popijając lemoniadę. Zmienniczka w tym czasie obsługiwała klientów.

Nie było ich aż tak wielu, jednak w barze zawsze panował jednostajny szum. Nie hałas, raczej szmer. Zawsze ktoś rozmawiał.

A teraz Natasza słyszała tylko radio i jednostajny szum lodówki. Nie pracował nawet ekspres do kawy.

Wyszła z zaplecza i spojrzała w oczy zmienniczce. Dziewczyna była blada, spłoszonym wzrokiem spojrzała na oficera, który stał po drugiej stronie baru.

– Ktoś do ciebie – powiedziała dziewczyna.

– Możemy porozmawiać? – zapytał spokojnie.

– Oczywiście – odpowiedziała Natasza, wskazując stolik.

A potem nic już nie było takie samo.

ROZDZIAŁ 29

Od ponad dwóch godzin Natasza siedziała w mieszkaniu Karoliny przy kuchennym stoliku i się nie odzywała. Ostatnie, co powiedziała, jeszcze w kantynie, to „zadzwońcie tu” – i na ekranie swojej komórki wskazała numer przyjaciółki.

Karolina poprosiła ojca o szybki przyjazd. Uznała, że czekanie na autobus jest ostatnim, co powinna w tej chwili zrobić. Przyjechali błyskawicznie. Karolina poganiała ojca, który – jej zdaniem całkiem niepotrzebnie – przestrzegał przepisów drogowych.

– Jeśli spowoduję wypadek, będziemy znacznie później – tłumaczył jej spokojnie. Przynajmniej na tyle, ile potrafił.

Zastali Nataszę wpatrzoną w ścianę, z błakającym się po ustach delikatnym uśmiechem. Zamrugała na widok przyjaciółki, ale się nie odezwała.

Karolina usiadła obok niej.

– Jedziemy do domu – powiedziała.

Natasza pokiwała głową.

I nie odezwała się ani słowem aż do przyjazdu do domu.

Tam Karolina zakrzętnęła się w kuchni. Zaparzyła herbatę, zrobiła kolację. Kanapki pozostały nietknięte. Przyjechała matka Karoliny, Natasza przywitała ją takim samym pustym, nic niemówiącym uśmiechem.

Dopiero późnym wieczorem, około jedenastej, spłynęła po jej policzku pierwsza łza. Dziewczyna sięgnęła do torebki, wyciągnęła plastikowy prostokąt z dwiema kreskami.

– Lekarz potwierdził – powiedziała cicho, nie wiadomo, bardziej do siebie czy do Karoliny. – To byłaby wspaniała wiadomość, prawda?

– To jest wspaniała wiadomość – stwierdziła Karolina.

– Dziecko to zawsze radość – dodała jej matka. Karolina spojrzała na nią zdumiona. – Tak, córeczko. Nawet nieślubne, dziecko to życie, to dar.

– Co innego mówiłaś...

– Chciałam cię tylko zmusić do ślubu. Ot, co. Odpuść matce.

– Dziecko to dar? – zapytała Natasza głosem wyzutym z wszelkich emocji.

Matka Karoliny przytuliła ją bez słowa. Karolina zrobiła to samo z drugiej strony. Tak trwały, we trzy, niczym zatrzymane w stereometrycznej rzeźbie wielopostaciowej.

Tej nocy Natasza nie zasnęła. Rodzice wyjechali z mieszkania córki około północy, Karolina siedziała z przyjaciółką do rana. Najpierw w kuchni, przy kwadratowym stoliku, potem w pokoju, na kanapie, przykryte puchatymi kocami. Karolina donosiła dzbanki herbaty, bo uznała, że kawy, większego pobudzenia już im nie potrzeba.

Natasza na zmianę krzyczała i milczała, a Karolina po prostu pozwoliła jej na wszystko.

ROZDZIAŁ 30

Nieszczęścia podobno chodzą parami.

Cały ten okres Natasza pamiętała jak przez mgłę. Dopiero po roku powiedziała Karolinie, że bez niej by nie przetrwała.

Robert zginął, choć nie powinien. Utrwaliła sobie, że jak bohater, choć była to po prostu głupia śmierć. Nie powinno do niej dojść. Ot, wypadek.

W takich momentach człowiek zadaje sobie pytanie – po co?

Po co żyć? Dlaczego umieramy? Jaki jest sens życia? Czy warto się trudzić? Kiedy należy uznać bezsens? Czy siła fizyczna ma wartość? Co to jest równowaga? Czy istnieje ocalenie? Opłaca się starać? Kiedy działanie naprawdę jest potrzebne? Czy powinno się zrezygnować? Kiedy? Egzystować – co to właściwie oznacza? Czy powinniśmy dążyć do przetrwania pomimo wszystko?

Po śmierci Roberta Natasza wegetowała. Nie miała siły cieszyć się rosnącym w niej życiem, choć często nieświadomie, ale czule, głaskała brzuch.

Nie pamiętała pogrzebu.

A co gorsza, nie pamiętała także drugiego pogrzebu. Świadomość śmierci ojca dotarła do niej dopiero po kilku miesiącach. Nie miała potrzeby odwiedzać go na cmentarzu. Prochy Roberta zgodziła się wysłać do Ameryki. Do domu. Do Atlanty, w Georgii.

Potem tego żałowała. Nie miała nawet miejsca na cmentarzu, w którym mogłaby...

Robert jednak nigdy tutaj nie mieszkał. Nie był u siebie.

A ona? Mieszkała tu, ale czy była u siebie?

Śnił jej się Lwów. Spacerowała ulicami miasta razem z mamą. Trzymały się za ręce, z tyłu siedł ojciec i trzymał przy uchu komórkę. Rozmawiał chyba z Jurijem, a może z kimś innym? One szły w stronę rynku, Natasza popychała przed sobą dziecięcy wózek. Szary, w delikatny perłowy wzorek. Brzegi wykończone czerwoną lamówką miały podwójne znaczenie – ozdabiały, ale też zabezpieczały dziecko przed złym spojrzeniem.

W koszyku wózka leżały zakupy. Kupiły łososa na obiad, na deser zaplanowały placki, syrniki, racuszki serowe z rodzynkami. Natasza powiedziała do matki, że tak dawno ich nie jadła.

Z tego snu budziła się w różnych momentach. Czasem tylko rozmawiała z matką o obiedzie, czasami komentowały obrazy wystawione przez lokalnych artystów na lokalnym rynku, bywało też, że we śnie wracały do domu i przygotowywały razem obiad. Za każdym razem Natasza czuła się spełniona. Budziła się zadowolona, z chęcią do życia.

A potem otwierała oczy, uśmiechała się i... docierała do niej rzeczywistość. Uświadamiała sobie, że może odwiedzić matkę i ojca na cmentarzu. I że jest osoba, której odwiedzić tam nie może, choć bardzo za nią tęskni.

Powinna radośnie wybierać śpioszki, wózek, kupować pierwsze pieluchy. A zajmowała się tylko jednym – tęsknotą.



POSŁOWIE

Drogi Czytelniku!

Po raz kolejny udaliśmy się razem we wspólną literacką podróż. Tym razem postanowiłam wraz z bohaterami zastanowić się, czy świat pozostaje biało-czarny. Czy jest jednoznaczna wersja historii, jedyna słuszna interpretacja? Jakie mamy moralne prawo oceniać? Zło, dobro, czym naprawdę jest? I czy szlachetna idea usprawiedliwia czynienie zła?

To oczywiście są pytania uniwersalne. Szczególnie aktualne stają się w obliczu wojny, i to każdego konfliktu zbrojnego. A my teraz mamy wojnę tuż za naszą granicą...

Oczywiście, nie próbuję udzielać odpowiedzi. Nie jestem pewna, czy nawet najmądrzejsze głowy potrafiłyby znaleźć jedyną słuszną odpowiedź. Uważam jednak, że warto zadawać pytania.

Opis historii eksterminacji ludności polskiej w Parośli jest wzorowany na przejmującym dokumencie, którego można wysłuchać na stronie Programu I Polskiego Radia (<https://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/2258867,Zbrodnia-w-Parosli-początek-rzezi-wolynskiej>). To wspomnienie Witolda Kołodyńskiego, przygotujcie się na ekstremalnie silne emocje... Jego słowa ujęłam w opowieść fabularną, ale fakty starałam się oddać wiernie.

Z kolei opis masakry w Chlebowicach Świrskich, choć ta również miała miejsce, jest moją imaginacją. Nie udało mi się znaleźć tak bezpośredniego wspomnienia, zatem na podstawie dostępnych informacji stworzyłam własny obraz.

Obydwa zdarzenia były straszne. W tej najbardziej oczywistej warstwie każde ma innych winowajców. Czy na pewno? Czy warto to podkreślać? A może ważniejsze jest ujęcie tych zdarzeń po prostu jako ataku człowieka na człowieka? Sama nie umiem na to odpowiedzieć. Ja potrafię tylko zadawać pytania.

PODZIĘKOWANIA

Za pomoc w sczytywaniu tekstu książki z całego serca dziękuję Dorocie Gronkowskiej i Monice Szydłowskiej. Jak zawsze byłyście niezastąpione, dziewczyny.

Agnieszce Czapczyk, z którą redaguję już entą książkę (nie jestem w stanie policzyć), kłaniam się w pas. Dzięki niej moje książki mają szansę stać się znacznie lepsze.

Oczywiście niezmiennie wyrażam wdzięczność całemu zespołowi Wydawnictwa Skarpa Warszawska. Podkreślam – całemu. Bo wszyscy są wspaniali.

I na koniec to, co najważniejsze. Mężu – dziękuję za wszystko.

Agnieszka Lis

www.agnieszkalis.pl

<https://www.facebook.com/Agnieszka.Lis.Pisarka/>

<https://www.facebook.com/groups/232591423844651/>

<https://www.instagram.com/agnieszka.lis.pisarka/>

https://pl.wikipedia.org/wiki/Agnieszka_Lis

PRZYPISY

[1] Na skraju wsi stoi chata, / Świerk zagląda przez okno. / W chacie dziewczyna, / Tak do niej daleko. // Oj, świerku, / Powiedz mi, świerku, / Dlaczego rośniesz tak daleko, / Mój uroczy świerku. [2] Opisy popularnych w Atlancie restauracji i potraw zainspirowane zostały blogiem: <http://www.followthetaste.pl/usa-na-talerzu-z-mojego-telefonu/> (dostęp: 24 marca 2023). [3] Informacje dotyczące dworu w Julinie na podstawie: <https://atlasrezydencji.pl/palac-mysliwski-potockich/> (dostęp: 14 kwietnia 2023). 3 lipca 2020 roku zastępca podkarpackiego wojewódzkiego konserwatora zabytków w Przemyślu wydał pozwolenie na przeprowadzenie prac konserwatorskich i robót budowlanych w pałacu w Julinie wraz z pozwoleniem na zmianę przeznaczenia obiektu na Muzeum Kultury Leśnej i Łowiectwa. W okresie pisania tej powieści pałac pozostawał w remoncie.